

METAMORFOZY.

OBRAZKI

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

Tom III.



WILNO.

Nakładem i drukiem Józefa Zawadzkiego.

1860.



M E T A M O R F O Z Y.

THE UNIVERSITY OF CHICAGO

METAMORFOZY.

OBRAZKI

PRZEZ

J. J. Kraszewskiego.

In nowa fert animus mutatas dicere
formas

Corpora.

P. OVIDII *Metamorphoseon. Lib. I.*

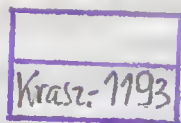
T O M III.



W I L N O.

Nakładem i Drukiem Józefa Zawadzkiego.

1859.



nr inu. - 1195

Pozwolono drukować z obowiązkiem złożenia w Komitecie
Cenzury prawem oznaczonej liczby exemplarzy. Wilno, 18
Maja 1859 roku.

Cenzor, PAWEŁ KUKOLNIK.



1986 D 26

ALE jeśliśmy tu się płakać zebrali, to bywajcież zdrowi,— zawołał po chwili Longin, tu trzeba sobie jaśniejszą młodość przypomnieć, a nie szlochać, bo tego dostanie wszędzie... No? panowie, kto ma weselszą życia powieść, niech wystąpi, bo zacny preopinant zachmurzył oblicza wszystkich... No? kto gotów?

Ale nikt nie odpowiedział na wyzwanie, czy że nikt weselszej nie miał powieści, czy że w nim nie było usposobienia do spowiedzi.

Poczęła się rozmowa obojętna, w której chwilami przemagały wspomnienia z Łotoczka i długi czas upływał, nim namówiono Albina, żeby on swe życie rozpoczął.

—Jabym prawie odgadł co on nam powie,
rzekł Longin, z premissów jakie znam... oto

przybył do domu, rzucił się wraz z Anusią do nóg rodzicielce, ona pobłogosławiła, pobrali się i mają dużo dzieci, i żyją szczęśliwi, co widać z twarzy Albina. Że mu się i materyalnie powodzi, znać z tego co otacza... *Cognac* doskonały, rum *primae classis*...

—Jeśli zgadł, dodał—tobym się wódki napił?

—Nie zgadłeś, odparł Albin wygodnie zasiadając w krzesło, bo któż ludzkiego życia odgadnie koleje? (ale to nie przeszkadza ci napić się wódki). Są w niém nie zbadane tajemnice, tu rozum ludzki najwprawniejszy zawsze się myli w rachubie, bo nie zna wszystkich żywiołów i nie bierze w rachubę ani woli Bożej, ani okoliczności maluczkich na pozór, a mogących przecie obalić największe nadziei rusztowania.

Podano wódkę dla Longina, który raz jeszcze cognakiem się pokrzepił, a Albin odprawivszy ludzi, tak począł, nie bez zafrasowania i wahania.

—I moje życie nie poszło tą drogą, jaką dlań młoda wyobraźnia i serce wyznaczyły. Los je inaczej urządził, i zwał wątle nadzieje, z któ-

remiście mnie widzieli odjeżdżającego. Leciałem rozmarzony, szczęśliwy, bo tam czekała na mnie Anna moja... ale nie bez smutnego jakiegoś a raczej tęsknego przeczucia, bo od kilku miesięcy ani od niej ani o niej żadnej nie miałem wiadomości. Śpieszyłem tém bardziej im to milczenie jęj i matki mojęj dziwniejszém było i mnieję zwyczajném. Jeszcze życie nie nauczyło mnie tēj obawy, z jaką dziś po kilku godzinach niebytności powracamy wszyscy pod strzechę, którą w jedném oka mgnieniu może nawiedzić śmierć, może zniszczyć i w garść popiołu obrócić iskra jedna. Ale przeczucie jakieś napelniało mnie tęsknotą, tak, że gdy pożegnawszy się z wami wyruszyłem za rogatki, nie dałem ani sobie ani towarzyszowi chwili spoczynku, i bez wytchnienia leciałem do domu.

Nie znacie mnie i tego co nas otaczało tylko z dawnych opowiadań moich, muszę więc choć rys wam dać tēj postaci, dawno mi znauēj, która pierwsza spotkała mnie z wieścią o matce, na kilka mil przed domem. Był to opiekun sądownie jęj dodany, stary przyjaciel mojego ojca, niejaki sędzia Powodowicz, poczciwy i serde-

czny człowiek, ale dla mnie tém nienawistny, że on pierwszy sprzeciwił się matce, gdy mu o mojem przywiązaniu do Anusi powiedziała i zdawała się nakłaniać do moich zamiarów. On to oparł się jéj, doradził zwłokę, nareszcie przekonał, żeby mi uchyliła swojego błogosławieństwa i pozwolenia, jeżelibym trwał w przedsięwzięciu. Byłbym wszystko łzami i prośbą wymógł na matce, której znałem miłość dla siebie, gdyby Powodowicz nie stanął mi na przeszkodzie. Zimny i wyrachowany, pospolity człowiek łatwo potrafił przekonać ją, że to ożenienie z ubogą sierotą zawiąże mi świat, pozbawi nadszic i podźwignienia majątku posagiem, a nie może dać szczęścia w przyszłości, gdyż lata nasze są prawie jednakowe, a charakter y nazbyt dziecinne. Bronila sprawy mojej matka jak umiała i mogła, ale głosu zimnego rozsądku usłuchać musiała, bo w istocie Powodowicz miał słuszność po swojemu, a dla niego miłość moja była rzeczą zupełnie niepojętą. Kobięta byle piękna i młoda jedna czy druga, ta czy inna, zdawała mu się zupełnie równą... nie pojmował jak się ludzie kochali... Zresztą sam majątny i nie-

żonaty, oddawna miał chłodne wyrachowanie ożenienia z Anusią, której wiek dla siebie znajdował bardzo stosownym.

Przejeżdżaliśmy przez miasteczko o mil dwie tylko od domu, najbliższe wsi naszej, gdy mnie złapano na rogatce od Powodowicza i zmuszono na chwilę się zatrzymać.

Prośba jego była tak nagła i usilna, że mimo pośpiechu i niepokoju musiał stanąć, i nim do karczmy zajechałem, już nie wiem jakim cudem Powodowicz był przy mnie.

Jego uściski, przywitania, serdeczności, mina pomieszana, dały mi niezmiernie do myślenia.

—Cóż się dzieje u nas w domu? spytałem— dla czego mnie pan wstrzymałeś? nie ma nic złego?

—Nie! nie! wszystko dobrze...

—Matka zdrowa? rzekłem nie śmiejąc go pytać o Anusię.

—Zdrowa i z utęsknieniem oczekuje na kochanego Albina.

—Puść-że mnie pan, niech jadę...

—Odpocznij chwilę, rzekł gładząc łysę czoło— mamy z sobą do pomówienia, pragnałem cię

zobaczyć, wyglądałem, czekałem, musimy... porozumieć się...

—Ale czy nie możnaby później? rzekłem zdziwiony jego miną tajemniczą i zmieszaną.

—W żaden sposób, kochany panie Albinie... chociaż znowu nie ma to nie tak ważnego... wprost rady opiekuńcze dla szczęścia twojego.

—A więc i za dni kilka jeszcze mi się przydadzą? odpowiedziałem.

Powodowicz wstrzymał mnie za rękę, bo już mu chciałem uciekać.

—Stój, rzekł zagadując, nie wrywaj się. Jakże ci poszły egzamina? z jakimi do nas przybywasz projektami? my tu myśleliśmy, żeby cię wyprowadzić za granicę...

—A ja, odpowiedziałem, przyjeżdżam wprost rzucić się do nóg matce i nie wstać aż na moje ożenienie zezwoli.

Powodowicz pobił jak ściana, zmieszał się, zakłopotał i ściskając mnie za rękę:

—Kochany panie Albinie, rzekł— czyż zawsze jeszcze trwasz w tém jakimś dziwnym zakochaniu? Nie przeczę, że *osoba* warta two-

jego przywiązania, ale ty i ona macie po lat dwadzieścia i dwa, ona w kwiecie ty w pączku... ona się zestarzeje, gdy ty zaledwie dójrzwać zaczniesz, miłość zgaśnie, a niedostatek bez niej ciężej przemieść będzie. Ty jesteś rozmarzony, nicogłębny, lecz my za ciebie powinniśmy mieć rozum. Majątek twój dosyć szczupły, matka wychowała cię do pieszczót i wygódek, z ubóstwem nie masz sił walczyć. Przyszłyby dzieci, oszczędność konieczna, ofiary, którymbyś ze swym charakterem nie podołał, trzeba więc, żebyś sobie powiedział, że to być nie może, matki nie dręczył, a słów prawdy i życzliwości wysłuchał.

—Nigdy i nikt, rzekłem mu na to, nie oderwie mnie od niej,— majątek jest niezem, gdzie dwoje serc wiekuiście się sobie czują potrzebnemi, gdzie jest nadziemską sympatya. Co mi to szczęście podsędkowskie jakie mi pan przedstawiasz, dodałem, co mi dostatek, gdy to co jedno życie rozjaśnić może, chcecie mi wyrzucić? na co mi chłodno obmyślane mienie, pieszczoty, wygódkę, gdy ja z tęsknoty po niej, a ona za mną umierać będziemy?

—Ani ty po niej, ani ona za tobą... nie po-

umieracie, to pewna, odpowiedział Powodowicz to pewna! Indzie już z miłości przestali umierać, mości dobrodzieju! Z głodu, z niedostatku, ze zgryzoty... trafia się... ale z takiej synogarliczej tęsknoty!..

—Ale ja ją kocham nad wszelki wyraz... a ona...

—No, a ona? uśmiechnął się Powodowicz.

—Ona mi dała słowo, że nieczyją nie będzie, tylko moją i dotrzyma go... dotrzyma!

—Małoś się tedy nauczył w Wilnie, odpart zimno stary, kiedy nawet wartości przysiąg kobiecych nie znasz, i lezmany bierzesz za dobrą monetę... A to plewa, mości dobrodzieju! Co dziwnego, że ona ciebie polubiła, żeś ty ją pokochał? to były miłostki dziecinne... płoche... prawdę mówiąc, niepotrzebne... ale winieneś jej, jeśli ją istotnie kochasz, więcej niż takie ożenienie dać może.

—Mów pan jaśniej, rzekłem znecierpliwiony, nie rozumiem.

—Jasno, jasno... jak najjaśniej, zawołał Powodowicz... oto masz... jasno, że... Tu się zająknął i spójrzył mi w oczy.

— Że z tego nie być nie może? podchwyciłem.

— Tak, i nie może, i nie będzie...

— A ja panu powiadam, że musi! zawołałem gwałtownie.

— Kiedy nie może!

— Dla czego?

— Bo panna Anna... za mąż poszła!

Było to dla mnie uderzenie piorunu.

— Waćpan kłamiesz! wykrzyknąłem rzucając się ku niemu... kłamiesz! jeśli tak jest... to sprawa twoja i życiem ją przypłacisz...

Stary przeląkł się gwałtowności wybuchu, i do drzwi uskoezył, ja pierwszy raz w życiu trząśłem się z gniewu nieprzytomny, ale wnet siły mnie opuściły i płacząc padłem na krzesło.

Powodowicz biędny, sam rozplakany także, nie wiedział już co począć ze mną, ale na prośby moje i błagania, aby wyznał, że to co powiedział nie było prawdą, milczał uparcie.

Szalałem, łzy płynęły mi z oczów, dalej już nawet do matki, którą tak ujrzyć pragnąłem, jechać nie miałem ochoty.

Są chwile w życiu tak okropne, że ich nie odmalować nie potrafi, ale na szczęście czy nie-

szezęście nie trwa, i to co jak burza jest gwałtowném, jak burza łamiąc i druzgocząc—przechodzi. Jeżeli żal jak piorun nie zabije od razu, człowiek się z nim jak z blizną zasklepioną oswaja i żyje.

Powodowicz mimo swojego chłodnego i wyra-
chowanego charakteru kochał mnie jak dziecko
i widząc boleść, której się nie spodziewał, drżał,
całował mnie, cieszył, nie wiedząc jak dalej ra-
dzić mnie i sobie, mając jeszcze w perspektywie
matkę, która mu żalu mojego przebaczyćby nie-
potrafiła.

—Otożem sobie biedy nawarzył! powtarzał
nieustannie kręcąc się koło mnie... co ja tu z nim
pocznę!

—Ale to być nie może! Anna nie złamała
przysięg swoich. Anna nie opuściła mnie! wo-
lałem—nie wierzę, nie mogę...

—Uczyła tę ofiarę dla twojego własnego
szczęścia, rzekł poważnie, poświęciła się, aby
ciebie uleczyć i wyswobodzić, wiedziała, że ina-
czej wiecznie byś się czuł słowem związany.

—Ale ślub ten można rozerwać, zawołałem—
męża mogą zabić, zabiję, porwę ją i ucieknę.

Gwałtowność moja znowu przeraziła Powodowicza, który po cichu posłał wezwać doktora... cały drżący, nie śmiejąc ani wyznać, że sam był od dwóch miesięcy mężem Anny, ani mnie tak rozdrażnionego opuścić. Mnie to nawet na myśl przyjść nie mogło, żeby Anna i kto? ten stary, zmówili się na tak szkaradną zdradę.

Najprozaiczniejsza w świecie okoliczność dokonała reszty... Andruszka chłopak, który ze mną był w Wilnie, wpadł nagle do pokoju z wielkim krzykiem i miną przestraszoną.

—Paniez nie nie wie!.. a to pan Powodowicz ożenił się z panną Anną!

Winowajca zbladł i ręce załamał, ja dopiero pojawiawszy wszystko opadłem na krzesło bezsilny, gniew mnie opuścił, a żal i smutek opanowały, wyszedłem nie odezwawszy się słowa do niego, pieszo ku domowi.

Powodowicz powlókł się za mną biedny długo, nie śmiejąc przybliżyć, wyprawił konie i przykazawszy, ażeby mnie na bryczkę wsadzono, i do domu odwieziono, sam do miasteczka powrócił.

Dałem im zrobić z sobą co chcieli, myśli bez

ładu krążyły mi po głowie zbolałej, a gdy ujrzałem znowu ten dom osierocony, pusty, którego dla mnie nawet miłość matki zapełnić nie mogła, te miejsca tak mi drogie, tyłą usłane nadziejami, ozłoczone wspomnieniami, zdało mi się, że umrę, że się we łzy rozplnę, że przeżyć mojego sieroctwa niepotrafię. Nie ma Anny! nie ma Anny! wołałem, nie ma szczęścia! nie ma życia... wszyscy zdradzili, nawet matka, nawet ona!

Najbliższe projekta przechodziły mi przez głowę, chciałem ją wykraść, uciec z nią, rozwodzić, a stanawszy w ganku, gdy matka niespokojna przeciwko mnie wybiegła, nie mogłem do niej przemówić słowa, prócz jednego,

— Oddaj mi Annę!

Jest temu lat dwadzieścia, bracia moi, jam ostygł, ochłódłem, odmieniłem się, zestarzałem i z dziecka stałem się dójrzałym mężczyzną, a jeszcze mi serce bije na myśl téj chwili, którą przebyłem wówczas. Są boleści, których się już nie pojmuje, a po których wiecznie coś boli w człowieku. Ja nie znam straszniejszego cier-

pienia nad wiekuiste rozstanie, to milczenie nic-
cości, które po niém idzie, tę tęsknotę pustko-
wia, jaką ono zostawia... gorszą od śmierci,—
bo żywcem wkopanie w grób.

Matka biedna sto razy przeklęła Powodowi-
cza, siebie i godzinę, w której rady jego usłu-
chała, widząc, że daleko ciężej przyszło mi prze-
chorować na tę boleść, niżeli się ona spodzie-
wała. Sama już nie wiedziała czy pisać do An-
ny by powróciła, bo i na to była przygotowana,
czy żądać by się od nas oddalili.

Byłem jeszcze w téj epoce Werterowskiej mi-
łości, i zdało mi się, że dla kobiety warto dać
życie, a uczucie i chwila szczęścia jakie ono
daje, stanie za lata ośtygłe choć długie. Z po-
czątku pilnowano mnie bardzo, po parze dni gdy
się nieco uspokoił, zwolniono strażę, i namówi-
łem Andruszkę, aby dla siebie i dla mnie, miał
wieczorem gotowe konie. Szczęściem sama mat-
ka dowiedziawszy się, że życzę sobie przejażdżki,
a nie wiedząc dokąd mam jechać, pozwoliła na
nią chętnie. Ledwie siadł na koń byłem na
drodze do miasteczka, dokąd przybiegłem o mro-
ku. Skwarny był dzień letni i burza nadcho-

dząca zdawała się grozić. Czekąłem zupełnego zmierzchu tylko, aby się wkraść do dobrze mi znajomego ogródka Powodowicza i widzieć się z Anną raz ostatni. Po tém pożegnaniu chciałem udać się do Ameryki i osiąść w świecie Nowym, któryby mi nie mógł przypomnieć, bo wspomnienia zabijały i dusiły mnie niewypowiedzianie.

O dobrym zmierzchu, z nadechodzącą burzą wysunąłem się z mieszkania, przebiegłem ulicę miasteczka puste, niepostrzeżony, i wyłamawszy opierającą mi się furtkę, wpadłem z wiatrem razem do ogródka.

Dopóki mnie nicopamiętanego wiodła namiętność, szedłem bez namysłu nie wiedząc co czynię, tu dopiero znalazłszy się, uczułem złodziejem, upokorzonym, ostygłem nicco i zacofałem prawie w chwili, gdym ją już miał ujrzeć.

Nowy i niespodziany szereg myśli, stanął przedemną: świat, ludzie, obowiązki, przysięgi, ale to mignęło z błyskawicą.

Ujrzałem okno od ogródka otwarte, a przez nie doszedł mnie głos jój fortepianu, ciche

towarzystwie śpiewa, której śpiewać nie mogła... przypominając ją sobie tylko kilką urywkami dźwiękami... piosenka tak mi była znajoma! Kierując się głosem usłyszonym, pobiegłem do balkonu, i z niego... ujrzałem ją... Siedziała przy fortepianie, ale nie sama! Powodowicz w krzesle przed nią ze złożonemi rękami nasyczał się jej widokiem... ona uśmiechała mu się łagodnie, smutna, ale z jakimś wyrazem życzliwości... Nie mogłem w niej poznać Anny; zdało mi się, że inną istotę podobną tylko do niej mam przed sobą; chciałem krzyknąć, szczęściem głos zamarł na ustach.

Przestała grać, mąż wstał i w rękę ją, pieszcząc się, pocałował, potem w białe czoło, ona go także, choć czułem że westchnienie się jej wyrwało leciuchne, bo pocałunek ten musiał mnie przypomnieć i przechadzki nasze w kwitnących bzach i różach młodości.

—A! nie dziwię się temu trzpiotowi Albino-
wi, zaczął Powodowicz, jakby na mnie z tém czekał, że się w tobie tak szalenie kochał... kiedy ja, stary... com myślał że tam na dnie nagromadzonych życiem popiołów, nie już nie ma ani

iskierki, czuję pod oddechem twym powracającą młodość... kiedy ja stary szaleję...

— Biedny Albin! cicho wyrzekła kobieta...

— Muć się serce kraje, rzekł Powodowiez, ale nie mogło być inaczej dla twojego szczęścia, lubuini;— te gwałtowne przywiązania nie obiecują nic na przyszłość prócz zawodów; co ma trwać, musi wzrastać cicho i powoli jak dąb, tylko uczucia co się same zniszczyć mają, objawiają się wybuchami. Jest to prawda ogólna, Anno, służąca wszelkim istotom i wszelakim objawom...

Wykladał jej chłodniuteńko Ontologiją, a ja słuchałem.

— Biedny Albin! powtórzyła Anna z litością.

— Ale cóż było robić! gdybyśmy byli nie pośpieszyli, później, oboje byście mogli upoić się chwilowém złudzeniem, i życie zatruć sobie.

— Ale ja się boję o niego— on...

— On jest dziecko, mimo lat dwudziestu i dwóch, lękam się o jedno dla niego, żeby nie umarł dziecięciem, jak wielu siwych młokosów: fraszka go zabawi, podróż rozerwie, pieszczoty matki ból ułagodzą... Tylko na Boga, Anno ty z nim unikaj spotkania, dla ciebie samój.

— Dla mnie? pochwyciła Anna poważnie i z urazą, co chcesz powiedzieć?

— Tyś go przecie kochała!

— Jak brata, odpowiedziała— jak brata!

— Nic więcej?

— Nie! ach nie! taki dziecinny... tak smutny!

Sędzia w nagrodę w czoło ją pocałował, a ona przytuliła się do niego, jam patrzył, słuchał i wrzałem jak kipiątek.

— Mój drogi mężu, dodała po chwili z uśmiechem, któżby w moim wieku nie dał się upoić harmoniją tych słodkich słów miłości, która choć nie dochodzi do serca, karmi i oszala człowieka... Nie śmiałam mu nigdy powiedzieć prawdy, bo by jój nie zniósł i nie zrozumiał, wdzięczność moja dla nich, moje położenie kazały mi kłamać i milezić... o ile razy ostudzić go pragnęłam, odczwać mi się nie dał...

Włosy powstały mi na głowie, oblałem się potem zimnym, błysnęło w chmurze i sędzia rzucił się zaraz okno zamykać, a ja odskoczyłem od niego przebywszy chwilę najstraszniejszej męczarni, na jaką kiedy człowiek co kochał był narażony.

Powróciłem z téj wyprawy do domu szalony, gniewny, rozpaczający i od téj chwili powiedziałem sobie, że na sereu ludzkim nie budować nie można, że to krucha podwalina, na której ani gmach szczęścia, ani nawet kryształowy pałac nadziei utrzymać się nie może... powiedziałem sobie, że miłość kobiety jest heroicznym kłamstwem młodości— nie więcej.

I tak jest, bracia moi... to tylko wspomnienie ze świata, z którego dusza zstępuje na ten padół z rąk przedwiecznego Ojca, jeszcze cała wonią niebios przesiąknięta. O! miał słuszość Platon, bo są idee wrodzone i człowiek nie gołą tablicą, ale wryty napis przynosi z sobą na duszy... Młodość rozbudza powoli wspomnienia mgliste niebios; i dla tego świat tak się nam wówczas innym i piękniejszym wydaje.

Nie mamy pamięci niezego, ale obraz starty innego świata przynosimy z sobą, i kto go zmazać nie zechce, nosi przez życie całe. Dla tego każdy ziemski krok jest zawodem, dla tego wierzymy w ideały, gdy tu są tylko skalane i ułomne istoty, i biedziemy się chodząc w ciemnościach,

po za któremi świeci jasność z której Bóg duszę utworzył.

Więziem ona w tych cielesnych okowach, wśród spętanych równie i wlokących się po noce towarzyszków. Wiem, że wielu zaprzecza tym wspomnieniom raju w duszy dziewiczej, któreby jakiś byt przedświatowy i nie orthodoxyjny znamionowały, ale cóż może zbić fakt żelazny? dosyć spojrzeć we własną duszę, żeby postrzedz że nie do ziemi jesteśmy stworzeni, aniśmy wyszli z téj ziemi; dusza nie pamięta bo nie była, ale naturą swą nieśmiertelną tęskni i wyrывa się; przeczuwa i boleje. Dla czegoż później żywot smutny i błady ściera z nas cośmy na sobie mieli pochodzenia niebieskiego? dla czego wszystko się spika aby nas uczynić ludźmi zwierzętami, zamiast ludzi aniołów, aby nas kolonistów innej ojezyny, do tego wyguania przywiązać?...

—Ślicznie mówi, przerwał Longin, ale dla czegoż, kochanie, nie idziesz na pustynię i nie obleczesz się szatą pustelniczą, nie posypiesz głowy popiołem i nie zatopisz się w kontemplacyi niebios, a wozisz z sobą likwory, szynkę westfal-

ską i séry angielskie, które nie zdają się przypominać niebieskiej ojczyzny!

Albin się nśmiechnął.

— Dziś, rzekł, jestem już istotą zgasłą, żyjącą ciałem tylko, słomną, znałogowaną, nieszczęśliwą...

— A na twarzy wcale tego nie widać, boś podobien róży Jerychońskiej! czy... Saronu!!

— Robię co mogę aby się na coś przydać na świecie i nie być ciężarem nieużytecznym, alem słaby— obyczaje i nawyknienie zrobiły ze mnie poczciwego ale niedołężnego Sybarytę.

— Dobrze żeś się przyznał, rzekł Longin, a teraz już nie przerywam i słucham dalszego ciągu dziejów; mówisz wcale przyjemnie. Spodziewam się żeś też zaniechał przerabiania świata, o którym marzyłeś tyle, przekonawszy się że to tylko drugi tom romansu z Annsią.

— W tém toś się trochę omylił, przerwał Albin, nie znasz jeszcze co to jest egoizm takiego jak ja Sybaryty... listek róży złożony we dwoje dokueza śpiącemu, ależ i cierpienie ludzi, na które zmuszony patrzeć, jest dlań nie do zniesienia. W tém egoizm bywa narzędziem dobrego i

pobudką enoty, musimy uszczęśliwiać co nas otacza, aby na nędzę nie patrzeć... bo widok nieprzyjemny... Nie wielem zrobił, bo czynić cokolwiekbądź z rzeczą martwą łatwo, ale przetwarzając świat i ludzi, dzieło nie człowiecze... sił nie ludzkich wymagające. Siebie jestem panem i to nie całkowicie, drugimi trudno zawiadnąć zupełnie. W pierwszych chwilach zdaje ci się, że nie ma łatwiejszego jak przekonać człowieka o tém co dlań dobre, ale spróbuj waleczyć z uprzedzeniem, nałogiem, niewiarą, nieufnością, lenistwem?

Z temi wszystkimi musiał się zetknąć kto miał do czynienia z ludem, i nie jednemu, jak mnie, ręce opadły. W dodatku po ludzku sądząc, czynisz co dobrém znajdujesz, a z posianego przez cię mniemanego żyta przepyszny kłókol wyrasta... Najczęściej nie znamy się na ziarnie, na roli i na porze zasiewu...

Nie dziwię się modlącyemu ze mną do Ducha Śgo. bo rozum ludzki nie potrafi tu poprowadzić, istotnie potrzeba jasności z góry, przecucia, które często jest większe od rozumu, namaszczenia do téj pracy.

Nie sądźcie bym zrobił wiele, choć pragnąłem świat przekształcić miłością; poznałem wprzód, że zadanie najpierwsze człowieka ograniczyć się powinno promieniem jego działalności.

Zrobić to co najbliższe, nad sobą, potem dalej nad drugimi, ulżyć nędzy, rozpędzić ciemnotę, pomódz, poratować, pocieszyć, nie smjąc ani dalekich planów, ani rachub na lata—oto co nam pozostaje. Zrobiłem też com podolał i nie patrzę na nędzę, podniosłem moralnie wiarą tych co mnie otaczają... i kiedy jem moją szynkę westfalską, mniej mnie ona dławi, bo wiem, że wieśniak ma słoninę, która dlań tę samą co mnie szynka sprawia przyjemność.

—Aleś się ożenił, zapytał Konrad uśmiechnięty rozwiązaniem romansu Albina.

—Ożeniłem się i czysto dla tego tylko, że chciano po mnie abym się ożenił, bez miłości w sereu, chłodno, wyrachowanie, rozumnie.

—I? spytało kilka głosów ciekawych.

—I na przekór teoryj jestem zupełnie szczęśliwy... Nie tak szczęśliwy jak chciałem, ale po ludzku, po ziemsku...

—Jakże to było? rzekł Konrad.,

— Naprzód musiałem odboleć przeszłość, rzekł Albin... powróciwszy z téj przejażdżki do domu, obudziłem się z goryczą w sercu, ale innym człowiekiem. Spadłem z nieba, potłukłem się, żyłem. Ujrzałem matkę rozplakałem się jak dziecko... Ona sama poddała mi myśl podróży, którą przyjąłem jak lekarstwo. W kilka dni potem byłem upakowany, opatrzony we wszystko i gotowy do drogi. W takiem usposobieniu w jakim zosta wałem, podróż jest istotnie może najlepszym środkiem, widok świata ochładza, studzi, wyziębia, gdy samotność egzaltuje. Człowiek mimowolnie musi zejść do stopnia otaczającej go atmosfery, co chwila też ostyga, wstydzi się zapału, którego nie nie podziela i przychodzi do uznania go szalem.

Nie byłem wcale ciekawy obcych krajów, ale mnie one zajęły gdym nasz opuścił, wielką odmianą jaka zaraz mi się uczuć dała... świat był całe inny jakiś, ludzie z innéj gliny.

Tu u nas on jeszcze stary, podaniowy, niemal biblijny, a przynajmniej średniowieczny, tam nowy, tworzący się i kipiący fermentacją octową, z której daj Boże żeby doszli do cukrowej; tu

wszystko jeszcze tradycją, nałogiem, przekazem starym, tam gorączka jakaś prze naprzód, wre ludzkość, szamocze się, wyrywa a choć ślepo dąży nie wiedząc dokąd i dojdzie pewnie nie tam gdzieby chciała, pewna jest, że prostą drogą do celu niewidomego trafi. Przebywszy granicę, czujesz przy pierwszej stacyi, żeś porzucił spokojną dziedzinę historyi, a wszedł w świat żywego czynu... u nas wszystko żyje przeszłością i jej siłą, tam wszystkiem jest przyszłość. Ale na cmentarzu stoją krzyże i jest coś świętego w prochach wiekowych, gdy w rynku hałastra i gawiedź, wrzawa i smród życia.

Zdaje mi się, że na każdym nieuprzedzonym człowieku to wrażenie musi zrobić po naszym kraj obcy. Śmieszna kto sądzi, że po zagranicami naszymi są jeszcze jakieś narodowości, są indywidualne charaktery ludzi;— tam epoka narodowości już przeszła, jedni Słowianie w nią wierzą i piastują tę świętą ideę starą, która tam wydaje się przesadą. Tam wieża Babel zmieszanych ludów i języków, nie ma przywiązania do ziemi, które zastąpiła miłość grosza, nie ma poszanowania tradycyi, a jest wiara w nieomył-

ność rozumu. Francuz, Anglik, Niemiec, Włoch, jeden mają cel żywota... jedną ideę, ojczyznę, religiję, wiarę...

Grosz...

Money is a good soldier, powiedział Schakespeare, a tam u nich i żołnierza i prawo i uczucie i kościół i cnotę zastępuje pieniądz. Rzekłbyś że ta ludzkość cała oszalała, że ją chwyciła jakaś choroba zaraźliwa, jakaś gorączka i manija... o niczem nie mówią, nie słuchają, na nic nie patrzą prócz grosza. Stare uczucia, przekonania, świętości, służą tylko za narzędzia, są to czeze formuły, czasem użyteczne, któremi jeszcze się posługują, ale celem jedno... z bogacenie.

Zrazu mimo poszanowania jakie we mnie wzbudzały co krok spotykane wielkie pamiątki... obrzydliwość uczulem dla tego tłumu nawróconego przez Izraela na wiarę żydowską i życie żydowskie... Nie można tego nazwać inaczej:—spełniły się przepowiednie, przyszło królestwo Izraela i bankier stał się panem świata.

Stara Europa, pełna relikwii życia zgasłego,

żadnego nie ma związku z tą nową, która na jój gruzowisku kocznie jak naród przybyszów. Sterczą katedry olbrzymie, w których się nikt nie modli, pokazują je za pieniądze, przestały być świątyniami Boga, są to *dzieła sztuki!* Dzieła sztuki — myślał-że lud pobożny co je stawiał, i tę skamieniałą modlitwę wznosił nie znając prawideł budownictwa, że dźwiga... *dzieła sztuki!*

Pełno grobów postaci olbrzymich, zdobywców, bohaterów, męczenników, świętych, a wnuki ich wszyscy... żydzi.— Jedno jest tylko co ten świat wielki rozdziela na dwa olbrzymie pokolenia, wybitnie się od siebie różniące, jedno jak żyd w dobroku skąpi obrzydliwie i brudno, drugie jak żyd bogaty nadyma się, używa, zbytknie i popisuje zdobyczą.

Drugą plagą tego nieznane go nam universum nowój fazy, jest zbytek, który naturalnie wynika z żądzy i posiadania grosza... trzebaż się wreszcie pochwalić z nim i ciału dogodzić, gdy się dlań tyle pracowało. Cały ów świat myśli o dwojgu—zdobyć i użyć!—nie więcej. Wszystko święte dawniejsze zostało martwem słowem bez zastosowania i możliwego użycia. Cóż zrobisz z Ewan-

geliją wśród tego żydowstwa?? Chrystusa ukrzyżowaliby raz drugi, gdyby to mogło podnieść kurs papierów na giełdzie.

W naszym kraju, przy mnóstwie wad, są jeszcze niestrwonione zapasy które nagromadziła przeszłość, troskliwa prababka... jest z czego zbudować coś na jutro;— tam wszystko zabite i wyzerpane. U nas nie czeżem słowem braterstwo, prawdą choć chwilową, tam już o nie i nie pytaj? Dla ubogich są szpitale, jest niewola i zamknięcia, jest urzędnik wyznaczony co się o nich troska, reszta nie ma czasu niemi się zajmować. Natchniony prorok jeśli nie prorokuje za pieniądze, za pozwoleniem urzędu, w najętej sali gwoździ naniętościom, to go policya za kark weźmie z rynku choćby krucyaty głosił;— natchniony poeta nie docisnie się nawet do akademii francuzkiej, a któżby śpiewu jego słuchał, kiedy tak ładnie świszeze parochod i grają maszyny?

Cześć świętości dawnych chroni się po strychach i poddaszach, po ubogich lepiankach.

O! gdybyśmy nasze skarby znali i cenić umieli, jakby dla nas ta ułudna cywilizacya materya-

lizmu nie uroczego nie miała! jakbyśmy jasno w niej ujrzeli ziarno grzechu i pochodzenie pogąńskie! Ale wielu z nas powraca zachwyconych geometrycznym ładem Europy, przemysłem dokazującym cudów, suchemi zjawiskami rozumu żydowskiego, a nie widzi, że u nas nie tam jest życie jutra, że u nas siły jeszcze, gdy tam starość niedołężna co się poi i podbndza aby żyła po troszę, durzy się i szaleje.

Mnie tam nie to co jest, ale to co było, zajmowało, dodał Albin... wspomnienia.

Kości praojców nawet pokazują tam za biletami płatnemi, bo nie bez grosza... Nie pytaj gościnności słowiańskiej, ani uprzejmości naszej, filuci tylko co się odrzść pragną są grzeczni, a kupcy gdy im płacisz uprzejmi, zresztą kręć sobie kark na rynku nikt się nie odwróci, to im wszystko jedno, byle drogiego czasu nie trać... bo czas to grosz... życie grosz... wszystko grosz.

Gdym zobaczył pogrzeb ubogiego w Paryżu, ten dół wspólny (fosse commune) w którym go, jak u nas bydle na rozdrożu, bez modlitwy rzuca-

ją—wzdrygnęła mi się dusza. Tam już ziemia jest za droga, aby jój każdy umarły mógł mieć bezpłatnie trzy łokeie dla siebie samego, metr płaci się po kilkaset franków, więc nawet majątniejszym pożyczają się groby na lat dwadzieścia, trzydzieści, póki ciało nie zgnije, później kości zapewne obracają na szuwx, i tylko bardzo bogaty człowiek na wieczność może kupić ściśle obrachowaną przestrzeń, w której spocznie, jeśli kolei żelaznej lub municypalności nie podoba się nieboszczyka wywłaszczyć i wyrzucić z dołu...

Co krok fakta podobne... Całą tak Europę, pokazywaną dziś za biletami, przejrzałem bez entuzjazmu, z bolem w sereu dojmującym.

Nasz kraj dziki wydał mi się po niój rajem—tu szeroko, swobodnie, ludzko, swojo; tak jakieśmy nawykli... tam jeden sklep i kramy żydowskie. Wkrótce na stopniach Śgo. Piotra, zrobią giełdę, a relikwije będą miały kurs na bursie... ale któż je kupi?... chyba my.

Z duszą uciśnioną powróciłem...

Długiego bym potrzebował opowiadania, aby wam dać pojęcie podróży, którą chcąc uczynić

znośną, potrzeba kierować w pustynie i miny. Co nowe jest często dziwne, ale ani cech wielkości nie nosi, ani piętna trwałości, celem użytku tylko. Dość tu jeszcze wspomnieć, że wiek co tyle buduje, nie znalazł nawet formuły nowój dla swego budownictwa, musi się zapożyczać nieustannie od gotyku, który się sam z siebie nrodził, to z odrodzenia, które samo jest pożyczane, to od starożytnych... Toż w innych sztukach;— gdzie ducha i natchnienia potrzeba, brak go wszędzie; gdzie dosć rachuby, jak w naukach i przemyśle, rozwijają się z wielką potęgą:— Zamiast Hymnu zostanie po nas księga rachunkowa...

Może usposobienie, z jakim ten świat przebiegałem, tak mi go odmalowało czarno, wiem, że zdumiewając się nad tém, co od lat kilkuset zawsze skutecznie wszystkim turystom gębę otwiera, nie znalazłem nic takiego co by mi otworzyło serce. Mylę się... spotkałem na nieznanym wiejskim cmentarzu we Włoszech, w małej miejscinie pod Florencją, zapadły grób i kamień omszony wygnaneńca, który umarł z tęsknoty o kilkaset mil od swojego kraju, i— zapłakałem nad nim.

Powróciłem do domu spokojniejszy, chłodniejszy, ale tak już wyuczony życia od mistrzów co je w moich oczach praktykowali, że mi się ono stało dosyć obojętne... Matka pragnęła, żebym się ożenił, i po powrocie zaraz poczęła mnie naglić o to.

Może się jeszcze obawiała spotkania, przypomnień, powrotu mojej miłości dla Anusi, i ztąd wynikać mogących nieprzyzwoitości.

Prosiłem już, żeby mi sama wybrała żonę, z góry będąc pewien, że jej macierzyńskie oko i serce instynktem niechybnym wiedzione najlepszy uczyni wybór.

Tak się stało... kazano mi jechać, pojechałem. Przyszła moja miała lat osiemnaście, odebrała wychowanie wszystki u nas pannom wspólne, i doszła do wprawy takiej na fortepianie i w śpiewie, że publicznie w koncertach na ubogich występowała— była piękna, skromna, a jako jedynaczka przeszło milijon obiecywała posagu. Serce jej nie było zajęte, może w niém na chwilę zagościł jaki kuzynek, ale go wypędził zaraz i z moją miłą zuudzoną, obojętną, wystygnięciem i sceptycyzmem miłosnym mia-

łem się szczęście podobać. Rodzice nie mi nie mieli do zarzucenia, nie kochając się więc, nie marząc, powiedziawszy sobie, że sen mój jedyny przeszedł bezpowrotnie— stanąłem z nią do ołtarza.

Lata wyrobiły we mnie dla niej przywiązanie cieple, serdeczne, miłość jakąś nałogową, przyjaźń i szacunek— oboje zimni jesteśmy, oboje dosyć świat lubimy, wystawę, wygodki, porządek... i bardzo nam z sobą dobrze. Kocham ją właśnie tyle ile mi potrzeba do spokojnego szczęścia małżeńskiego, a ospa którą przebyłem w młodości, i po której blizny w głębi serca zostały, zabezpieczyła mnie na całe życie od drugiej podobnej gorączki.

— Widziałeś kiedy potem Annę?— spytał Konrad.

— Zaraz po powrocie moim z zagranicy, i matka i Powodowiec sami się o to starali, żeby nas zbliżyć i pojednać, ona też o to musiała prosić, bo była pozbawioną towarzystwa mojej matki i stosunków z nią potrzebnych jej w przyszłości.

Na balu w sąsiedztwie wśród gwaru i zgiełku, muzyki i hałasu, zeszliśmy się nagle w wiel-

kim salonie... moja Anusia, niegdyś moja... Choć zmieniona bardzo, choć różowsza, pełniejszych form, pospolitsza, zaświeciła mi wspomnieniem i jakkolwiek cały już dla mnie straciła urok, serce na widok posagu uderzyło po staremu, słów mi na powitanie zabrakło, bałem się, żeby ludzie co wszystko widzą zmieszania mojego nie postrzegli... Trząsłem się cały, łzy chciały wybuchnąć oczyma, choć usta krzywiłem do uśmiechu... Ona była przytomną i chłodną,— podała mi rękę swobodnie, z minką nieco szyderską, w której się i politowanie i ciekawość malowały.

—Jakżeśmy się to dawno niewidzieli! zawołała.

—W inném życiu i świecie!— rzekłem.

Spójrzeliśmy sobie w oczy.

—A jak się spotykamy! dodałem, a! pani! mógłbym przewidzieć, że się tu dopiero zejdziemy i powitamy tak chłodno, tak cudo!

—Panie Albinie, rzekła z dziwnym oczów wyrazem, mam nadzieję, że mi pan nie będziesz czynił wymówek... wszysej na nas patrzą!

— Jakież ja mam prawo!— odparłem— dziś żadnego! stary znajomy.

— Prawda, że bał prześliczny!— dodała Anusia wodząc oczyma po sali.

— Cudny! uśmiałem się— gdyby nie to, że gorąco, duszno, ciasno i nikt się nie zna...

— Wszakże pan do mnie już nie masz urazy! szepnęła szybko uśmiechując się dla patrzących.

— Do pani żadnej! rzekłem, do przeznaczenia mojego— nie darowaną nigdy!

— Ależ już dziś możnaby się pośmiać wyśmienie z téj naszej dziecinnej miłości, tak idealnej, poetycznej, a tak śmiesznej, tak śmiesznej panie Albinie?

— Pani, rzekłem poważnie, nigdy się sam z tego świętego dla mnie uczucia nie uśmiałem, ani komukolwiek z niego, prócz tobie, śmiać się dozwolę. Była to chwila, w której ja stałem najwyżej może, bom wierzył w człowieka, w kobietę, w serce, w przysięgi... dziś ta wiara pod nogami, zdeptana,— a! nie ma się śmiać z czego!

Spójrzała na mnie trochę niespokojna.

— Pan bo się jeszcze gniewasz na mnie, — rzekła zimno.

— Nie, pani, na nikogo nawet na siebie się już nie *gniewam*, ale wielu *żałuję*.

Chwilę milezeliśmy, ale tłum tak nas ścisnął, że ani ona choć niespokojna widocznie, ani ja odejść nie mogłem. Ochłonawszy nieco, przybrałem twarz obojętną i uśmiechając się.

Im więcej przypatrywałem się jęj, tém więcej zdumiewałem i bolałem... Zmiana była straszliwa, metamorfoza niepojęta! Nie moja to już była Anna, urok poezyi, którym ją otaczała młodość dziewicza, który dawała jęj miłość moja — prysnął cały, coś pospolitego, chłodnego, czyniło ją jakby starszą siostrą tęj, którą niegdyś kochałem. Oko było bez wyrazu, usta nie miały wdzięku dawnego, myśl jęj nie podnosiła się nad strop salonu. Jeśli co to ta chwila, w której mi ona odebrała i zatarła nawet ten obraz dotąd w zakątku mojej duszy zachowany jak świętość — była nie wysłowioną boleścią... Uczułem spotęgowane stokrotnie to wrażenie, jakiego się doznaje przy niecznośnej sztuczce prestidigitatora,

który ci bukiet róż niesiony do ust i piersi, zamienia w obrzydliwe osty i pokrzywę.

Nie wierzyłem oczóm i uszóm, szukałem mojej Anny, ale jej już na świecie nie było... Anioł przemienił się w żonę pana Powodowicza... nią tylko już była—niestety! dobrą gospośią i najtroskliwszą z matek... a myślała więcej o oszczędzeniu sukni balowej, niż o mnie com się przy niej męczył rozezarowując.

—Jaki pan jesteś smutny, jaki zmieniony!—rzekła mi usiłując rozweselić... czy już nie tańczysz?

—Zapomniałem, pani... odpowiedziałem—razem wszystkiego dawnego, i wesela i uczuć i tańcu... No! a pani?

—A! gdzież mnie teraz tańcować! zawołała... ja tylko patrzę co mój mąż robi, bo się obawiam, żeby gdzie nie siadł do preferansa, zawsze się biedny ogrywa i potem martwi.

Nie śmiałem jej powiedzieć, że go już w drugim pokoju widział u stolika wywołującego, osiem bez at!

—Pani więc... rzekłem po chwili z cicha—jesteś szczęśliwą... i nie, niezego... nie żal jej?

—Dobry panie Albinie, odezwiała się z uczuciem, jakiéś kobieceém, jednego mi żal tylko... Pana, żem go zawiodła... że sobie nie możesz wyperswadować młodości, dzieciństwa... i tych naszych marzeń dziecinnych... Mybyśmy z sobą nigdy nie byli szczęśliwi, ja się obawiałam pana, a w chmury z nim lecieć nie mogłam... ja potrzebowałam takiego ciełego ziemskiego szczęścia, jakim mnie Pan Bóg obdarzył... Sumienie mi nie pozwalało za opiekę nad sierotą odwdziżyć wniesieniem niepokoju i ubóstwa do waszego domu.

—A Anno! Anno! zawołałem, nie mów tego—byłabyś miała czém zapłacić za opiekę, gdyby twe seree... aleś ty nigdy tak jak ja nie kochała...

—O! to prawda! odparła uśmiechając się—pan jesteś poetą, a mnie Bóg stworzył na prostą gospodynię... Nie wiedziałam jak stąpić, co mówić, gdyś mnie pan przebieirał za bóstwo ze skrzydłami... robota to daremnaby była, kochany Albinie... Zostaw mi tylko przyjaźń swoją, dodała, o nią cię proszę, nie gniewaj się już na mnie, sam więcćj winien jesteś, żeś się o-

mylił... żeś był ślepy... i wziął biędną ziemską istotę za twój marzony ideał.

Mógłsem się gniewać na nią potém? nie! za-
prawdę!— ale ostatki złudzeń się rozwiały,
przystawszy wierzyć w kobiety, młodość, serce,
zostałem ezém umie widzieie, kapłanem spoko-
ju i przyjacielem żołądka... Dziś pani Powodo-
wiczowa jest szczęśliwą matką czworga dzieci
tłustych i ezérwonych, mafroną poważną, gra-
jącą w preferansa lepiej od męża, a ja tym sma-
koszem, jakiego przed sobą widzieie.

Na losy uskarżać się nie mogę, ale jest-że co-
w stanie zastąpić raje, które się widziało we
śnie? Jeszcze dziś moja Anna, ta którą znałem
i kochałem w dzieciństwie, śni mi się czasem
jak anioł czysta i piękna... ale wiem obudzony
że jój nie ma na świecie.

Chłodno i wyrachowanie idę po ścieżce pro-
stój i wybitój, nie mi nie braknie, prócz szczę-
ścia, w które uwierzyłem zawezesnie.

Jem, piję, śpię, nie trwożę się wiece i staram się
stać najpospolitszym z ludzi, najchłodniejszym
z obywateli, najporządniejszym z kuratorów ma-
gazynowych. Robię majątek mimowoli, a idea-

ły moje zwróciwszy w inną stronę na trakt bity, staram się o wyidealizowanie mieszkania i wygod życia. Radbym was widzieć, kiedy w kątku, który sobie usłałem jak gniazdeczko, który wycacałem i wyświeżyłem, jak gdybym wiekuiście miał w nim przebywać. Co roku dodaję coś do tego pałacyku mojego i nie miałbym się z królem żadnym na najwspanialsze gmachy, z takim smakiem wykończyłem tę uroczą całość.

Cóż więcéj wam powiem? Sama postać Albina powinna téj historyi dokończyć— możesz się choć kropelka poczyi mieścić w téj okrągławéj postaci, rumianéj, białéj, pulchnéj, zdrowéj i uśmiechnionéj?

Przestałem nawet nosić żalobę po młodości.

—Historya jakich wiele,— rzekł Longin powoli ziewając, bo go znać była znudziła,— jam się jéj nie domyślał, chociaż te Anusie zawsze wyrastają na Powodowiczowe, jeszcze to szczęście, że pod trzydzieści lat nie przyszła jéj ochota odegrywać roli opuszczonej Didony, choćby na jakie dni parę— byłbyś w niepospolitym kłopotcie. Miłość dziewicza i dziecinna jest świeża,

rozumna, dowcipna... ale w człowieku wszystko trwa chwilę i po tym błysku mroki długie... Gdyby ta prozaiczna pani chciała z tobą dla igraszki dalej romans prowadzić pod pozorem niewypłaconych Annsi długów... dopióróżbyś był w szalonym kłopotcie!

Albin zamilkł.

—A! nie wiem, rzekł po namyśle— ale i dziś jeszcze to dla mnie wspomnienie święte, nie wierzę w to czém byłem, a żal mi tego stanu... pogrzebałem ideał, ale grób jego szanuję...

—No! i jużby warto zejść z tego ementa-rza, niechby kto inny rozpoczął swe dzieje, bo nas tu jest jeszcze kilku kandydatów do konfes-yonału, rzekł Teofil, ja, Konrad, Jordan, na którego próżno oczekujemy, Cyryll, a choćby i Baltazar, to jeszcze ni mniej ni więcej pięć ta-kich historii...

—Jeżeli wszystkie smutne, rzekł Lougin, war-to by z nich dać treść tylko i zrobić buljonik— a gdy mowa o buljonie, dodał— wszak miała być wieczerza?

Albin się uśmiechnął.

— I będzie — rzekł — nawet na pamiątkę lat młodych kasztany, alem je kazał osmażyć w eukrze... i kotlety, ale z truflami, spuście się na mnie, wieszczę obmyśliłem starannie, wina sam wybierałem, i znalazłem tu stare, suche Bordeaux, takie jakiego już dawno nigdzie nie piłem. Ręczę, że kolacyjka będzie wedle wszelkich prawideł sztuki, i co się zowie comfortable... Mój kucharz podróżny pilnuje wykonania szczegółów, a że pulmiski nosić potrzeba, urządziłem tu fajerki, aby nie postygły... Zalecam wam z góry *beignets aux ananas*, które w swoim rodzaju, po rzeczach posilniejszych, są królewskim jadłem...

— No, już ja się na tém nie poznam, to pewna, odparł Longin, alem żem głodny jak pies, jeść będę choćby trawę smażoną za czterech... Nie szkodzi też zapas w żołądku na jutro niepewne; kto wie czy trafię na obiad, i czy na samych kartoflach *au naturel* po siwusze poprzestać nie będę musiał... A ten szczęśliwiec oblizuje sobie już weześnie palec mówiąc mi o truflach i ananasach!

To muszą być rzeczy niestrawne! dodał śmie-

jąc się z błyskiem oczów okropnym,—wcześnie-
by antieipando wódki się napić potrzeba!

Apostrofy téj nikt nie słyszał, a raczej uda-
no głuchych.

—Na kogoż kolój panowie, aby czasu nie tra-
cić?—zapytał Longin zagadując już wódkę, któ-
rój się powstydził—czy będziemy losy ciągnęli,
jak kiedyś, gdy jednemu z dziesięciu potrzeba
było paść ofiarą Pietraszewskiego lub złośliwe-
go Giedrojeia i winę przestępstwa wziąć na
siebie?

—Dobra myśl, rzekł Albin wiążąc węzełek—
Baltazar zostanie nakoniec jako *moralité de la*
fable, lub raczej Jordan, który dotąd się nie zja-
wił, my ciągnijmy... tylko uczciwie!

I podał im batystową chusteczkę, z której ra-
zem wysunęły się cztery końce... węzeł został
w ręku Konrada.

Rozśmiał się nieco pomięszany.

—Wolałbym po wieczery przystąpić do rze-

czy, rzekł zakłopotany jakoś, i widocznie nieprzygotowany do tak prędkiego wystąpienia.

— Dla czego?

— Bo to długie dzieje; a nie życzyłbym sobie przecinać ich na dwoje.

— Wieczera poczeka, rzekł Cyryll.

— Za pozwoleniem, przerwał Albin, wieczera czekać nie może, lub skompromitujecie i ją i mnie zarówno, pieczone wysekną, kasztany ostygną i stwardnieją, ananas... pączki... wszystko w niwecz pójść może... Nie! protestuję jak najmocniej... Czyż Konrad potrzebuje tak długiego czasu?

W tej chwili obżałowany ku któremu zwracały się oczy wszystkich, ukazał z za surduta różek białego papieru zwiastujący rękopism.

— Jaki? tyś opisał żywot swój? prozą czy wierszem?

— Autobiografia! na wzór Dycalpa! zawołał Longin.

— Cóż nakształt tego — odparł Konrad z cicha, z tą różnicą, że zamiast prostej, a nudnej biografii przynoszę wam bajkę...

— A bajka wedle prawideł, przerwał Cyryll, nie może być długa.

— Bajka, bo to prozą, w rodzaju tych, które stare baby opowiadają dzieciom, o królewiczu... Wy sami sobie w niej mojej biografii ukrytę i sensu moralnego dójdziecie.

— Ale to dalipan ciekawe! zawołał Teofil, kto-
by się był po Konradzie żyłki autorskiej spodziewał... Miał ten żyd słuszość co się obawiał, żeby kij nie wystrzelił do niego, nigdy przewidzieć nie można, co się trafić może...

— Co dziwnego lat dwadzieścia do tego się gotował? dorzucił Longin.

— Tak jest moi panowie—począł Konrad—nie od lat dwódziestu, ale od trzech zacząłem sobie pisać powoli, i dziś stoję w zupełnej gotowości przeczytania wam pierwszej elukubracji mojej... Jest to jedyne dzieło i wydać go się nie spodziewam, ale jeśli się znudziecie pocieszajcie się tćm, że wyłącznie dla was pisane było.

— Aby się wykpić od spowiedzi!

— Choćby i tak.

— Nadoś nas zaoskomił, rzekł Albin, a więc poradzimy inaczej z wioezera... przez umię-

tnie w razie potrzeby fajerek użycie... a ty...
czytaj!

—Naprzód tedy krótka przemowa! zawołał
Konrad.

—Ach! i przemowa jest! niestety! zakrzy-
knął Longin, za tém epilog i dwadzieścia czte-
ry rozdziały... zlituj się choć nad żołądkami i
naśladowaj pamiętniki Roztopczyzna...

—Czytaj-że, nie strzelaj! przemowa tylko
ustna i improwizowana, dodał autor, powoli do-
bywając rękopismu na welinie przepisanego sta-
rannie z kieszeni surduta... Ojcowską pieczę młod-
dego autora widać było w sposobie obejścia
z dziecięciem spowitym w glansowane papiéry
i powiazanym w różowe wstążeczki... Tytuł był
kalligrafowany trzema atramentami... przedmo-
wa, rzekł, tyce się wyrozumienia baśni...

—Mybyśmy ją może i bez tego wyrozumieć
potrafili! szepnął Longin.

—Oto, siedząc na wsi i nie mając co robić...

—Wymówka stara jak świat i zużyta...

—Ale proszę mi nie przerywać. Począłem
zbierać podania i baśnie naszego ludu, z nich
to a raczej na ich tle napisałem historią mo-

ją, w której słuchacz łaskawy znajdzie łatwo *mutatis mutandis* zastosowanie do pisarza. Chodzi mi o to żem się nieprzyzwolicie może nazywał królewiczem, ale w bajkach wszyscy bohaterowie są królewiczami...

— I to ci się należało... przerwał Longin...

— Lud na weselach pana młodego jeszcze dotąd tak nazywa, a małżeństwo nbiera w korony, bo młodość czyni nas więcej niż królewiczami może.

A teraz poczynam moją historią...

— Którój tytuł?

— *Historja o Królewiczu Rumianku i siedmiu Królewnach.*

OPUS TUMULTUARIUM.

— A toż co znaczy? zapytał Baltazar.

— U starożytników, przerwał Cyryll szybko, jakby z prawa do niego nota należała, oznacza to gmach wzniesiony z różnych szczątków starych, kolumn, marmurów, rzeźb, kamieni nagromadzonych z gruzów. Takie gmachy zaczęto wznosić w Rzymie po zniszczeniu go przez Barbarzyńców.

— Dosyć komentarza! ad rem! ad rem! bo nie zaczniemy nigdy, a co za tém idzie i wieczerzy nie dadzą, rzekł Baltazar.

— Jeszcze jest godło, dewiza czy epigraf— rzekł zaglądając Cyryll.

— Kawałek piosnki weneckiej:

La troppo cara imagine
Sempre che viva in mi
Non vedo altro che ti
Ti sola sento!

— Jak-że on to wypracował! rzekł Teofil!— ot jeszcze może się w nim nowy i niespodziany talent pisarski odkryć przy téj okoliczności.

Ale cicho... słuchamy!

— Jeszcze słówko, przerwał Konrad, mówcie co chcecie po przeczytaniu, ale wśród czytania raczcie mi nie przerywać.

— Naznaczam sztraf, dodał Albin, kto przerwie... za każdą interpellacyę, jedną potrawy przy wieczerzy pozbawiony zostanie!

— Tam do licha! szepnął Longin do Baltaza-

ra— albo mało kazał zgotować, że się do takich środków repressyjnych ucieka, albo myśli nas objeść sam i boi się, żeby mu nie zabrakło... Co do mnie wolę spać i nie słuchać niż się narazić na tak wielkie niebezpieczeństwo...

Konrad odchrząknął i powtórnie odczytawszy tytuł, i dewizę, rozpoczął rzecz jak następuje.

Było to, jakoś już dosyć dawno temu— nie wiem z pewnością w ile lat po stworzeniu świata, ale niezawodnie przed potopem. Jest rzeczą niezawodną, choć są niedowiarkowie, co na to ramionami ruszają, (ale na cóż ludzie ramionami nie ruszają i nosami nie kręcą),— że ziemia bardzo już naówczas była zaludnioną i wszędzie po troszę rozeszło się ludzi, rozpoczynając gospodarstwo i karczunek dla przyszłych pokoleń. I nie tylko w południowych strefach młody człowiek wygrzewał się na słońcu, ale i w Europie na naszej mglistej północy, już się krzątano i zabiérano do życia.

Szło to mało co inaczej jak dzisiaj, trochę

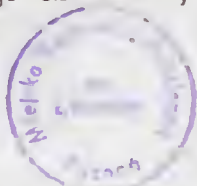
tylko było puścić, a zdaje się, wedle wszelkiego podobieństwa, że uczciwiej i lepij, choć potop ogólny daje do zrozumienia, że się nie obe-
szło bez wybryków.

O ówczesnym Bożym i ludzkim świecie, doszły nas wiadomości, nie w księgach wprawdzie, które mimo okładek pargaminowych często kłamią, nie na papyrnsach i deskach, ale w podaniach z ust do ust się przelewających. Wszystko to co stare baby opowiadają w bajkach, z których my się śmiejemy— największa prawda, tylko się odnosi do owjej epoki przedpotopowej kiedy świat jeszcze hulał, i natura a człowiek więcej sobie niż dziś pozwalali... zwyczajnie młodzi oboje.

Przyjdzie czas, że się i te zamierzłe wieki rozjaśnią. Uważajcie panowie tylko, że na wschodzie, gdzie najżywiej, jako w kolebce rodzaju, wrzało to życie pierwotne, tradycje o niēm do dziś dnia są najpełniejsze, i tam im wiarę dają na jaką zasługują. Wszakże i do nas dostały się te podania, niewiedzieć jak i którędy, jedne przyłgnawszy do sandałów knpców, którzy tu z towarem przyjeżdżali, drugie z wia-

trem lecąc, inne z ptaszkami wędrując, z rosą spadając, z pyłem kwiatów dmuchnięte. Ale, że u nas powszechnie w starój Europie chłodno i coraz zimniej, tak, że wkrótce przyjdzie pośrodku gdzieś w Niemczech wielki piec postawić dla opalania téj wielkiej giełdy, w której zębami dzwonić — podania te na zimno też przyjęliśmy, obojętnie, z niedowiarstwem. Dla tego, że pod nasze czasy nie się już eudownego nie dzieje, przestaliśmy wierzyć w cuda. Tymczasem jako żywo bajki bajkami nie są, mniej zawsze człowiek wybaje niż Pan Bóg zrobić może; a taki stare baby coś znają i wiedzą. Wszystko to na co my tak pogardliwie dziś ramionami ruszamy, działo się pod słońcem, ale w innych wiekach i szczęśliwszych czasach. Wyszły dziś źródła żywiące od czasu jak ludzie w nich nogi moczyć zaczęli i na kąpiele używać, przestały ptaki gadać, gdy im to nie raz wyszło na pieczyście, a jelenie i zające musiały zerwać stosunki z człowiekiem, jak skoro się przekonaly, że je kochał miłością zbyt materialną i wiodącą na półnisk. Ale nie mniej pewna, że bywało z razu inaczej i weale inaczej.

W owe to czasy na Podlasiu, które już było zamieszkane i nawet nie źle zagospodarowane, panował sobie król Gwoździł. Są o nim tradycye, ale dziś najnieśluszniej uchodzi za figurę bajeczną, choć niezawodnie żył i panował. Królestwo jego nie było bardzo rozległe, wszakże sądzę z Berozem, który gdzieś o nim wspomina, że zajmować musiało całą ławę łąk i lasów nadbrzeżnych, które dziś rozgranicza dwa kraje. Stolicą jego był gródek niedaleko Buga, na małej wzniesłości usfundowany, niepokąźny, ale bezpieczny i wygodny. Nie mu tam do życia nie brakło: ryby, grzyby, łąka, mąka, dostatkiem miał wszystkiego i choć poddani składali nie wiele, a z podatków nie bardzo się pożywił, bo zaległości nie umiano wówczas egzekwować, uchodził nawet za jednego z bogatszych królików w tamtej stronie. A że był łagodny, umiarkowany, sprawiedliwy, kochano go powszechnie i szanowano. Król ten Gwoździł miał, o czém podanie świadczy, brata Ćwiecezka, charakteru wielce różnego. Oba z razu wzięli równo po ojcu dzielnice obok siebie położone, ale Ćwiecek innego charakteru, zaraz swoją utra-



cił. Lubił żyć— zkaż wziąć to wziąć byle było— dawał uczyty, stroił się w złotogłowy, po sześć i osiem koni do kolebki zaprzęgał, bez trzechset dworzau nigdy z domu nie ruszył,— pozaciągał długi u żydów (i wówczas już byli żydzi) i przyszło do tego, że na pisk i płacz poddanych ulitowawszy się Gwoździk, poszedł z wojskiem, i brata z królestwa wypędził, sam je dla siebie zajmując. Długów nie popłacił, ale wierzyciele przycupnęli i cicho... Z Ćwieczkiem postąpił sobie bardzo ludzko.

Było wówczas w powszechnym zwyczaju podbitym, co najmniej oczy wylupywać, a często im i głowę z karku zdejmowano; tego jednak Gwoździk nie zrobił, nie oknuł go nawet, i lekko tylko związanego kazawszy w wygodnym wozie na kobiercu przywieźć za sobą do Stolpea rezydencyi swojej, tu go zrazu pod honorową strażą posadził na wieżycy, potem nawet, gdy Ćwieczek nieco ochłonał i przeboleł, wolno go puścił. Przekonał się i sam więzień, że brat mu nie krzywdę ale dobrodziejstwo wyrządził, bo by tak gospodarując zupełnie się był utracił i do kija i torby przyszedł; tu zaś u brata po kró-

lewsku utrzymywany z córką jedynaczką, miał wolność w papierowej koronie na ganku chłodku używać—jadł i pił co wlażło, szanowano go, na niczém mu nie zbywało i żydzi nie dokuczali, tak, że pierwszy raz pokoju zaznał. Marnotrawca u siebie w domu nieustanne znosił kłopoty, od których się broniąc musiał często do gwałtownych środków uciekać, a że nie był z natury srogi, męczyło go to. Wolny od napaści, można powiedzieć, że pierwszy raz swobody skosztował, gdy wolność utracił. Bracia więc potem żyli sobie ciele po bratersku, u stołu im obu jednakowe trony stawiano, gospodarz gościowi prawą rękę dawał, w domu szanowano rozkazy obu, byle tylko się Ćwieczek już w żadne rządy nie mieszał, bo do tych był oczéwiście nie zdatny, a dobrze mu się działo i bez tego. Gwoździk później nazначzył komissyą do rozpatrzenia długów, która lat sześćdziesiąt pięć trwała, póki wszystkie kwitki po szynkach zregestrowano, a przez drugie sześćdziesiąt ze skarbu je płacono, a oba królestwa połączywszy przywiódł je do bardzo błęgiego stanu.

Całkiem to inaczej wyglądała wówczas stoli-

ca królestwa niż dzisiaj, gdy się wszędzie wkra-
dły zbytki, a był też to i królik niewieluczki,
który nie dbał o wystawę. Dziś nie jedno hra-
biątko lepiej żyje, a daleko więcej nosa za-
dziera.

W środku państwa rozległą otoczonego pu-
szczę, przez którą kilka szkaradnych dróg wio-
dły do stolicy, leżało owe miasteczko nad wiel-
ką rzeką na zielonéj równinie. Kilka ulic, ob-
szerny rynek, na nim wielka gospoda drewnia-
na, gdzie Berko szynkował miód, bo już wszę-
dzie było pełno Izraela, który zaraz pochwycił
za kwatérkę— dalej kontyna drewniana; ot i
miasteczko całe. Na pagórku stało zameczysko
tynem do koła obwiedzione; w środku był Stołp
to jest wieża kamienna wysoka na wypadek na-
paści, a do niej przyparte budynki drewniane,
pałac coś nakształt starego szpichrza, tylko ozdo-
bnie wyrabiany przez cieśli i pomalowany pstro
i gorąco, stajnie, obory, stodoły i t. d. Król
to był bowiem szlachcic i gospodarz i miał so-
bie folwareczek, którego urządzaniem się bawił;
królowa jejmość przędła z dziewczkami, a takie
to było nie pyszne, że bywało, gdy Gwoździk

siedzi w ganku nad misą kwaśnego mleka wieczorem, a pocznie gawędać z parobkami co konie do wody prowadzą, z wójtem, z czeladzią, gdyby nie korona na głowie rogata na czerwonej czapce, wziąłbyś go za jakiego podsędką. A stroić się też wcale nie lubił i chodził latem w płóciennym żupanie, zimą w kozuchu czarnym pokrytym szarym jedwabiem, a podpasywał się czerwonym pasem, co go sama jejmość wiązała i farbowała ze swemi dziewczkami.

Gwoździak był dobroduszny, łatwy, do śmiechu skłonny, dobry mąż i ojciec, ale w królestwie gospodarz też nie lada i wiedzieli wszyscy, że gdy co kto splata, to znów jak każe na dębic powiesić, nie ma się co wypraszać, bo się na nie nie przyda i dyndać musi. Gdy się pogniwał nie łajał, nie sierdził się, tylko pobladł, zzymnał się, a uchowaj Boże jeszcze zęby zaciął, nie można było długo popasać... żona, brat, najulubieńsi milezeli przed nim jak trusiec, lub nogi za pas.

Pod ten czas, kiedy się nasza historia poczy-
na, król Gwoździak miał lat... chronologija niepe-
wna, ale wyglądał na pięćdziesiąt, krępy, zdrów,

silny, już nieco szpakowaty, broda, że jęj nigdy nie strzygł, spadała mu po kolana, a włosy na głowic z tyłu niemal równie miał długie, choć w środku łeb świecił dobrą łysiną. Gdy na konia siadał, bywało brodę na dwoje rozdzieli, a jak się rozmacha i wiatr mu ją rozedmie, aż strach niby dwie szpakowate miotły, dwa tęg brody końce. Brwi także miał wyrosłe ogromne i na oczy zwieszzone, ale pomimo tego wyraz oblicza łagodny i pocziwy, kiedy go nie gnięwano. Dzieci i słabych lubił, tym go i za brodę targać było wolno, ale z mocnemi i upartemi, nie borgował, i na wojnie w drogę mu włożyć nie było bezpiecznic. Siły był takięj, że wołu schwywszy za rogi przez płot przerzucał, a konia dosiadłszy, gdy go ścisnął, w śmierć zdusił, pięścią stoły rozbijał, a podkowy łamał, gdyby chrościane.

Brat Ćwieczek choć rodzeniuteńki Gwoździka, z jednęj matki i ojca, całc inną miał minę, naprzód choć podtuptany i o rok tylko od niego młodszy lubił młodego udawać; słuszniejszy od brata, smukły, z twarzy piękny, brodę strzygł, włosy zaplatał i baba mu je na kasztanowato

farbowała, ale od słońca w rude wpadały... dawniej tego, tak jak dziś nie umiano (1). Błady, chudy, oczy micwał czérwone i zaraz w nim było znać hulakę; za kobietami latał, blaznami się otaczał, śmicchem i zabawką całe dnie przepędzał i tak na oko był to człowiek choć go do rany przyłożyć, ale... miał swe ale.

Z łada żebrakiem za dobry żareik gotów się był w twarz pocmokać, łada włóczęgę co go zabawił, sadzał do stołu z sobą, okrywał purpurą i władzę mu dawał; jednak niechże go kto obraził, nie zapomniał do śmierci, nie wybaczył choćby u nóg jego leżał. Przy tém zdania swojego nie miał, dziś czarno, jutro biało, narazie szaro, w końcu niewiedzieć co — co mu kto szepnął to przyjął, ni ładu ni składu, ani w sereu ani w głowie. Ożenił się był ładajako z ładną dziewczyną, która go w pole wyprowadziła i jedną mu tylko po sobie zostawiła córkę, nazywano ją Lalą...

Po śmierci jej, owdowiawszy do służebnych się

(1) Dziś jak wiadomo zamiast w rudą barwę wpadają w fiolet, co daleko przyjemniejsze dla oka.

(Przypisek Wydawcy).

zalecał i potem je za męża za dworaków wydając, w coraz to nowe płacząc się miłości, doszedł do tego nareszeie, że stara klucznica co sobie burakiem twarz namazywała, całkiem panowanie nad nim objęła, i ta z nim na zamek braterski przybyła, niby służąc córce za oehmistrzynię.

Z razu, gdy go jedwabnemi sznurami skrępowanego przywieziono do Stolpea, miotał się i odgrażał na brata Ćwieczek, sądząc, że z nim wedle obyczaju postąpią i odjąwszy mu wszystko do ciennicy go wrzucą; ale gdy zobaczył, że go Gwoździak szanuje i słowami prawdy opamiętywa i woła mu daje i boleść koi a łagodzi, jak był z natury miękki i do próżniactwa skłonny, a nieład mu domowy dojadł, zgodził się zupełnie z losem swoim. W istocie na zamku brata niczego nie brakło, w koronie sobie chadzał, dziecię jego jedynie pieszezono, pił, jadł, zabawiał się, robił co chciał, o niczem nie myślał, i w końcu, gdyby go już puścili, nie poszedłby zamtąd na powrót do siebie.

Król tedy ten bez królestwa, jakieśmy już powiedzieli, miał córkę jedynaczkę, a Gwoździak

syna jedynaka i dzieci te prawie się razem wychowywały. Królewicz dziedzic znacznego państwa zwał się Rumianek z tego podobno powodu, że mu jakaś wróżka wianuszek z téj rośliny w kolebce przyniosła, życząc zdrowia i obdarzając nim na całe życie.

Był to chłopak hoży, rumiany, biały, dorodny, czarnooki, bystrego pojęcia, poczciwego serca, ale na nieszczęście umysłu niespokojnego, co ojca jegomości bardzo trapiło. Od kolebki prawie ani u niańki na kolanach, ani w izbie, ani w podwórzu, ani w granicach grodu i stolicy utrzymać się nie mógł. Im więcej widział, tém więcej poznać pragnął, nieustannie pytał, dowiadywał się, wyzywał, chciał się przypatrzeć, zbadać, podglądać i zawsze niepokoił. A choć go kołysano i uśmięrzano dorastał niecierpliwy mając nadzieję, że mu ojciec cugli popuści i w świat pójść pozwoli. Było to bowiem obyczajem owego wieku, że młodzież się podróżami i przygodami bawiła, nabierając w nich doświadczenia.

Choć go matka stara królowa Dobrochna pieściła trochę, choć król Gwoźdźnik kochając

bardzo wiele wybaczał, nie popsuli go jednak. Trochę swawolny i pusty, serce miał złote, i gdyby nie to wierepięctwo i niepokój ducha, który w nim mieszkał, mogli się byli nim cieszyć.

— Wykipi się młode piwo! mawiał król.

— Byle mu się nie nie stało! wzdychała królowa u kądzieli. I bywało tak zasiadłszy przy kominie oboje królestwo marzą sobie o jego przyszłości. Ale oboje wiedzieli, że nie dać Rumiankowi wylecicć i trzymać go w zamknięciu byłoby go zgubić.

— Niech-no pojedzie, a parę guzów złapic,— mówił stary, prędko ochłonie i powróci, damy mu dobry orszak i nezeiwego przewodzącę, żeby sobie w złym razie dał radę, a musi się młody koń wybrykać.

— Nuż mu się co stanie! powtarzała królowa.

— Co mu się ma stać!— Lieho go nie porwie, a mękości inaczéj się nie nauczyć; tylko w polu i podróży. Któż wie? może gdzie skarby jakie zakłète odkryje, królestwo zdobędzie, królownę odbije, lochy smoeze spenetruje... nie byłoby od rzeczy, gdyby z łupem powrócić.

Mając już tedy Królewicza wyprawić, naprzód, wedle obyczaju tamtego wieku, posłano po wróżki, które jak dziś i zawsze chodziły w łachmanach i sobie rady dać nie mogąc, drugim bardzo skutecznemi przysługiwały się przestrogami. Wyprawił tedy król Gwoździak siedmiu *dzieckich* po siedem najślawniejszych czarownic, i w dwadzieścia cztery godziny przywieziono je oklep na koniach w dziedziniec zamkowy, gdzie od tego poczęły, że się za łby porwały. Wysoki ich rozum, duch wieszezy i wszelkie inne mądrości nie nauczyły ich ani się kochać, ani się znosić, wszystkie siedem nienawidziły się najokropniej. Musiano je zaraz wodą oblewać i porozdzielać, bohy się pozajadały i kazano z kolei królewiczowi prorokować, ale nie rychlej aż się uspokoiły, najadły i przcspały.

Piérwsza tedy jędzą zwana, prorokowała mu, że olbrzyma zwycięży i skarb zdobędzie, co tak było na owe czasy naturalne, że jej prawie nie słuchano; druga Kostycha obiecywała mu spotkanie z bardzo możnym królem, który miał go uczynić dziedziecem państwa swojego, trzecia Jaga podarowała mu jako talizman na podróż piszczał-

kę, na której zagrawszy mógł ją w najodleglejszym końcu świata przywołać w pomoc sobie, ale nie z przyszłości powiedzieć nie chciała; czwarta... piąta... aż do siódmej, wszystkie bredziły ni to ni owo, jedne ze strachu, drugie ze złości, inne żeby się prędzej uwolnić i do chat w lesie drapnąć, gdzie swoje koty na przypieckach pilnujące domów zostawiły i naturalnie nie bardzo o nie były spokojne.

Koniec końców, to tylko z owych siedmiu prośb można było wyrozumić, że królewicz wiele doświadczywszy miał powrócić do domu rodzicielskiego całucha, bez szwanku, ożenić się i panować szczęśliwie. Królowej o to tylko chodziło, żeby mu się nie stało, Gwoździłowi żeby królestwo bezpotomnie nie przeszło na brata Ćwiczka— oboje się uspokoiłi.

W chwili właśnie gdy w podróż miano wyprawać Rumianka, dwaj bracia królowie mocno się byli poważnili z sobą i wynikły ztąd bardzo przykre i niespodziane następstwa. Ćwiczek siedząc na Stołpeckim dworze, choć mu i ptasiego mleka nie brakło, bo trzymano na stajni trzy pary strusie zielonych jakich dziś już nie ma na świecie,

które dostarczały śmietanki do rannej kawy— jak z razu znosił swą dolę cierpliwie, tak potem z próżnowania począł się w różne mieszać intrygi.

Owa klucznica, którą przy sobie trzymał, farbująca się burakiem i ezernicami, owładała starym zupełnie, a że jej żal było postradanego królestwa, w którym się jak szara gęś rządziła, podburzała wydziedziczonogo pana przeciwko bratu... Ztąd nieustanne plotki, król coś tam powiedział przy stole, królowa się o coś nakrzywiła na Ćwieczka, ktoś z dworzan śmiał się lekko o nim odezwać. Jak zaczęli jątrzyć brata przeciw bratu, jak jęli im sadła gorącego za skórę nalewać, do tego przyszło że o mało znowu Ćwiecek i klucznica nie dostali się na chleb i wodę do wiczycy zamkowej, bo Gwoździak aż usta zaciął. Córka Ćwieczkowa, zwana Lala, śliczne dziecię, które królowa stryjienka Dobroehua lubiła bardzo, obroniła jakoś ojca i wyprosiła towarzyszkę jego od nieprzyjemnej klauzury. Ale niespokojnemu Ćwieczkowi życie regularne i porządne na dworze Stołpeckim nie przypadało do smaku, tu mu było ciasno, tam dymno choć cynamonem palili,

tam zbyt gorąco, ówdzie za wilgotno, słowem że jak zaczął dziwaczyć, wmówił w siebie że żyć razem z bratem nie może.

Ten go znowu o kiju wypuścić nie mógł, bo łatwo przewidzieć było że Ćwiczek wydostawszy się na świat byłby począł zaraz jęczeć i uzalać się na brata i burzyć ludzi na niego, zebrał by był wójsko, napadł królestwo i Gwoździka mógłby wyznąć z niego. Stary brodaacz nadto był rozumny, żeby się miał na to narazić. Gdy się więc Ćwiczek zaczął wypraszać na wolę, nie dano mu jéj, ale że i on i ulubienica jego dwór cały do góry nogami przewracali i niezgodę sili... jak pisał tylko, że chciałby się wynieść do miasteczka, zaraz mu na to pozwolono.

Dołożył ten jeden warunek ostróżny Gwoździk, że jeśli by brat na jedno staję od miasta się oddalił, to go wiley, których na to umyślnie postawiono na straży, w szmaty rozedrą.

Wiley bowiem jeszcze wówczas słuchali ludzi, a miał nad nimi komendę Hetman zwierza drapieżnego Waligóra; brali dziennie po jednej gęsi zołdu i w rok cztery woły na dziesiątek paszcz...

Zamiast kursoryi, na której się wiley rozpisać-

by nie potrafili, rozesłano między nich zaraz czterdzieści wołowe pieczenie przez pacholców, a każdy z wilków szarpnąwszy z nich na znak po kawałku, wyszedł straż pod miasteczkiem odbywać.

Tak ostrzeżony ex-król Ćwieczek wyniósł się do prostego dworku z córką i farbowaną ulubienicą, zamieszkując na ustroniu, całe dawnego stanu zapominając i z mieszczanami za pan brat żyjąc, jak gdyby rogatą czapkę nie nosił. Małą miał u nich z razu kunsyderaę, ale jednak zapraszali go na korowaje weselne, na postrzyżyny i strawę stypową, a że kufel lubił i od miodu nie był, szastając się po miasteczku, związał dosyć przyjaźni i po cichu do dziewcząt się umizgał. Drwiły one z niego naprawdę, ale im miło było, że ex-król na ich wdziękach się poznał.

Cóż tedy państwo na to powiecie, gdy zajęcia się i hulanie przebrało, a król Ćwieczek nudzić się począł, bo takić był natury że nie go długo nie bawiło—pomyślał co by to u licha robić, aby czas leniwo idący w kark popędzić?

Radził się wszystkich, ale nikt nie umiał mu poradzić, jedni mu życzyli aby się wziął do go-

spodarstwa i uprawiał na polach pajęczynę, z której ówczesne królowny przędły i tkaly zasłony, drudzy życzyli sobie kaszę wedle nowo odkrytej metody, z której sobie obiecywano, że się miała zbierać od razu ugotowana i z masłem. Wielki jeden agronom nawozem krowim miał tej sztuki dokazać. Król Ćwieczek jednak medytował, myślał, pocił się, aż w końcu na psikusa trochę bratu, a trochę dla fantazyi, wywiesił szyld i po prostu został szewcem. Wielki był z początku krzyk w całym królestwie, ludzie zaraz na brata winę zrzucili, że go opuścił i do takiej nędzy doprowadził, ale choć mu pieczone i warzone przysyłano i dostatek miał wszystkiego, król Ćwieczek został szewcem na dobre, na złość pochodzeniu swojemu i żeby figę pokazać losowi. Bawiło go to może, że robił buty dla charłaków, którzy mu się kłaniali dawniej do pięt, a on dziś brał im miarę przyklękając...

Pomimo tego dobrowolnego upadku, Ćwieczek pozostał nietylko dumnym, ale się stał może pysniejszym niż kiedy. Najprzykrzejsze to położenie było dla córki jego Lali, której, mimo usilnych próśb królowej Dobroehny na zamku zo-

stawić nie chciał i zabrał ją z sobą do miasteczka, usiłując jej dać wychowanie jak najlepsze, ale nie puszczając od siebie.

Za owych czasów wszystkie jeszcze stany rządzone były przez osobnych królów, cyganie, żydzi, szewcy, krawcy, każdy miał osobnego zwierzchnika, a król Ćwieczek na następnej zaraz giełdzie szewskiej wybrany został królem szewców i wdział bót złoty na głowę, który był oznaką tego dostojenstwa, jak to widać nawet w opisie obyczajów na północy Aeneasza Sylwiusa.

Ale to nie należy do historyi, a raczej wypadałoby powiedzieć, że królewicz Rumianek, którego wyprawiać miano w podróż na cztery wiatry, od dzieciństwa się prawie hodując z siostrą stryjeczną Lalą, dosyć ku niej miał przywiązania i afekt więcej niż braterski. Oboje koehali się serdecznie ale po dzieciństwie.

Gdy wszystko było gotowe do drogi, a Rumianek już się w świat miał puszczać, pojechał odwiedzić szewców i stanął w rynku ze swoim orszakiem.

Ćwieczek rozsądzał właśnie ważną kwestyę, zdaną na jego rozum i spór między dwóma sze-

wcami, z których jeden przybył z Chin a drugi z Indyi, i czy szydło czy dratwa ważniejszém są rzemiosła narzędziem;— nie mogąc nie stanowczo wyrzec, gdyż szydło ciągnęło za sobą dratwę, a dratwa na nie się nie przydała bez szydła... w tém synowice królewicz zjawił się przed gospodarą. Rzucił więc dialektykę, odkładając ferowanie wyrok do jutra, a Rumianka na górę do królowny poprosił, gdzie nie tak skóry smierdziały.

Tu w obliczu sędziwego stareca miało nastąpić nroczyste pożegnanie; na które królewicz przybył dosyć obojętny, ale gdy ujrzał śliczną swą siostrzyczkę, która uan tęskno spójrzała, poczuł że mu serce w piersi uderzyło jak młotem i lży jakieś stare, zapomniane, przyszły się prosić do powiek. Obojgu im żal się niezmiernie zrobiło, gdy przyszło rozstawać z sobą... przywykli byli i do zabaw wspólnych i do cichego spowiadania się przed sobą i do nieustannego widywania; ale że nie ich dotąd nie dzieliło, nie wiedzieli sami czém byli dla siebie. Dopiero zagrożeni utratą szczęścia tego, postrzegli, że trudno, smutno, ciężko im będzie wyżyć w rozłące. Królowna

choć się rozpłakała, ale to poszło na karb czułości niewieściój, królewicz, choć mu łyzy zwiłżyły oczy, zamalował je udaném trzpiotowstwem.

—Jedziesz braciszku! rzekła.

—Jadę siostrzyczko!

—Daleko?

—Gdzie oczy poniosą!

—Po co?

—Tego nie wiem, ale wszyscy mi mówią że potrzeba jechać koniecznie, zdobyć parę królestw, walczyć z pół tuzinem olbrzymów, dobieć się do źródła żywiącej wody, odkopać skarb jakiś, Ma-deja uwolnić z łoża, na którym jęczy; ogromnie się wsławić i w laurach powrócić.

—Ale do czegoż to wszystko? zapytała królowna.

—Dla tego że tak wszyscy robią i że podróże jeśli nie kształcą serca to niezawodnie psują nogi.

—A z tych wszystkich zdobyczy gdy je posiędziesz, co uczynisz! mówiła Lala.

—Ja tak bardzo pożytku z tego nie widzę, odparł królewicz, ale jechać mi się chce, bom ciekawy przygod i muszę jeszcze w dodatku wy-

szukać sobie żony, któraby miała słońce na czole, księżyc na nosie i gwiazdami usiane rączki... Mówią, że taka ma być koniecznie przyszła moja żona.

Lala spójrzała na królewicza i westchnęła.

— Nie uwierzysz, rzekł Rumianek, jak mi ciębie żal opuszczać; jużbym i podróży się wyrzekł, ale mi wstyd.

— A! a mnież zostać tu samój? szepnęła królowna.

— Wszakże powrócę...

— A! powracaj prędko! powracaj!... A gdybyś zatęsknił po nas... dam ci na to lekarstwo... zostało mi to po matce, będzie razem pamiątką po mnie... Oto masz zwierciadełko, w które gdy spójrzysz, pokaże ci co my tu robimy, i że o tobie pamiętamy. Dopóki ono obraz nasz pokazywać ci będzie czysto, znak to żeśmy o tobie, żeś ty o nas nie zapomniał, gdy w nim nie zobaczysz nie, ani matki, ani ojca, ani mnie... nie będziesz już miał po co powracać... węzeł co nas łączył zerwany będzie na wicki.

To mówiąc oddała mu zwierciadełko misterne, w kształcie serca wyrobione i chciała odejść

by się swobodnie wypłakać, gdy królewicz znając się na grzeczności, ofiarował jój wzajem maleńki pierścionek i rzekł:

— Włóż go Laln i noś na palcu, gdy spadnie to będzie znakiem, żem ja umarł, gdy uciśnię cię mocno... da ci wiedzieć, że jestem w niebezpieczeństwie.

Po czém odbywszy ten obrządek starodawny, uściskali się i rozeszli, a Rumianek zaraz wyjechał w swą podróż, wziawszy w ganku błogosławieństwo od rodziców. Towarzyszami jego dodanemi mu na tę wyprawę byli: naprzód Hetman Zwierza Waligóra, paznik Motylicza zwany, dworzanin Paliwoda: starszy masztalerz Maruda, Miecznik Wilczyzab i błazen Lizilapa. Oprócz tych dostojników zbliżka strzegących jego osoby, miał siedmdziesięciu siedmiu dworzan i siedmiuset siedmdziesięciu siedmiu konnych dobrze uzbrojonych.

Z rynku tedy wyruszyli tak jak stali, nie wybierając wcale drogi, gdyż w takich podróżach zakazaném było zastanawiać się nad tém i musiano iść na oślep... Spuściwszy się tedy na los i instykt koni, pofolgowali im eugli i dali ostro-

gę, ale tuż pod królewiczem, co było bardzo złą wróżbą, koń utknął. Maruda radził usilnie powrócić, gdyż przypomnieli sobie po niewczasie, że to był poniedziałek i baba im z wiadrami próżnymi drogę przeszła, ale Waligóra plunął na psa urok zrzucając, i wybiegli żwawo na rozstajne drogi. Tu się zatrzymali, gdyż trzysta sześćdziesiąt sześć gościńców wiodły na wszystkie strony, a konie kręciły się w różne drogi, i królewiczowski targał się młynkując w miejscu. Potrzeba było wezwać kogo aby wytlómaczył co to miało znaczyć i jak sobie postąpić należało.

Właśnie pod ogromną bryłą kamienia zastali tu siedzącą żebraczkę, która jakby na królewicza oczekiwała, wychyliła się z jamy i spytała go, dokąd myślał jechać?

— Otóż że ja sam nie wiem i dokąd i którędy? czy nie mogłabyś poradzić i ukazać?

— Na różne nogi różne są drogi, kiwając głową odpowiedziała staruszka, najgłośniejsza rzecz jechać zawsze przed siebie a nigdy się w tył nie oglądać, ani zbyt oczy wlepić przed siebie, odgadując co się za górami dzieje... Ale po cóż przecie jedzicie?

—Ja szukam królewniej do zaślubienia, królestwa do zdobycia, skarbu do odkopania, olbrzymów aby ich pozabijał, zaklętych abym ich pouwalniał, źródła żywiącej wody by z niego zaczerpnąć; złotej jabłoni by owocu jej skosztować... i różnych ciekawości tego rodzaju, które przyzwoity człowiek doświadczyć musi.

Baba się rozśmiała, pokazując półtora zęba żółtego.

—Dużo ci się pozachciewało, rzekła, podziękujesz jeśli choć jedno ci się nada.

—Ależ stara Miecielico, choć do jednego z tych cudowisk drogę musisz wiedzieć?

—Słyszałem o nich... ale cóż? kto tylko pojechał, nie wrócił, od nikogo dopytać się nie mogłam czy te drogi istotnie prowadzą dokąd chcą ludzie. Oto naprzykład gościniec krwią gdzieś niegdzie obłany, a kośćmi ludzkimi wysłany, który ma prowadzić do kraju zaklętych skarbów, ale cóż o nim mówią? że kto tylko tam wnijdzie, wyjść już nie może i na złocie z głodu umiera. Ta błada ścieżynka pomiędzy zaroślami wspinająca się ku gór szczytóm, prowadzi do ży-

wiącego źródła... na tym szlaku trafiają się w poprzek leżący olbrzymi eo nie przepuszczają przez drogę.— Któż to wie? ja choć latam z wichrami to niedaleko... eo mi starć? Gdybym chciała zejść ztąd dalej, nad promień oka nie mogę, bo mnie czarnoksiężnik młodą jeszcze przykuł do tego kamienia... na lat tysiąc, tysiąc dni, tysiąc godzin i pół minuty.

Baba kończąc to, znowu uśmiechniętemi usty pokazała zęby niedojedzone, a zdawało się że sobie z królewicza żartuje; ten dalej słuchał już jej nie myśląc, ruszył drogą, którą sobie koń zuiecierpliwiouy wybrał. Maruda już tu chciał nieco popaść, Lizilapa wychwalał rozum pański, którego dowodem dlań było, że nikogo nie chcąc usłuchać, poszedł za instynktem zwierzęcia, Waligóra gniewał się pałką machając na Miecielę, Paliwoda wyprzedzał orszak do noclegu, a Motylca dowodzący przednią strażą na skrzydlatym jadącym koniu, to się po ziemi toczył, to na powietrze wzbijał w niepohamowanym pędzie.

Jadą tedy jadą, jadą aż zmrok padać poczyną, a żywej duszy nie widać, ani mieszkania, ani wioski, ani chałupy, a puszcza ciemna i gęsta

rozpościera się przed niemi. Królewiczowi nudzić się poczęło, i nie przywykły do niewygody, nie mógł pojąć jak na pierwsze żądanie zaraz mu się gospoda nie zjawi wśród drogi. Liziałpa uczucie to znajdował wzniósłém, naturalném i szlachetném, dowodząc że żywioły powinny słuchać człowieka, a szczególnie takiego jak królewicz.

Dobrze się już zciemniało i burza rycząc nadchodziła, gdy ujrzano światelko i pokazała się chałupka, ale tak maleńka i niska, biedna i uboga, że się w niej królewiczowi straszném zdawało i od burzy schronić. Ale cóż miał począć? deszcz kroił, rozbity namioty dla dworu, a Rumianek wpadł głową stuknąwszy o uszak, do chałupki.

Była to owa sławna chatka na kurzej nóżce stojąca, w której mieszkał znany z mądrości Chochół, starzec mający już tysiąc sto sześćdziesiąt i dwa lata, z brodą tak długą że ją sobie musiał za pas zakładać, wzrostu małego, łysiutki i zaschły jak liść dębowy po zimie... Żył on już na puszczy od lat tysiąca, żywiąc się orzechami, korzonkami i wodą, na rozmyślaniu i

samotności. Niegdyś był to rycerz wielki, ale po świetnych zwyyczajach i zdobytej u świata sławie, tak sobie ludzi obrzydził i pogardził nie-
mi, że królestwo porzuciwszy, poszedł na puszcze i więcej nie chciał mieć do czynienia z człowie-
kiem. Przyjmował wszakże gości tym traktem
niekiedy przejeżdżających, lub umyślnie do niego
po radę przybyłych, uprzejmie i nikt odeń bez zdro-
wego zasiłku nie odszedł.

Chociaż nikt mu nie mógł dać wprzód wiedzy o Rumianku, przyjął go bynajmniej nieza-
dziwiony i od razu poznał kto był, ale nie kła-
niając mu się jak drudzy i nie wstając z ławy, po-
prosił go do ognia i stołu na którym plastr mio-
du, orzechy, chleb i woda stały.

Dwór królewicza gorszył się tą poufalością i
poczęto go łokciami trącać aby powstał a pokłonu
mu oddał.

A co mnie ten młokos znaczy, rzekł Chochół,
czy to on maie co dobrego lub złego uczynić mo-
że? ani mojej dobrowolnej uędzy odjąć mi nie
potrafi, ani spokoju, który w sobie noszę ode-
brać? On sobie królewicz, ja sobie Chochół...

stary... a złe mu orzechy i miód, niech sobie nie je, kiedy gęba im nie rada.

Pokrzywiwszy nosami i on i dworzanie poczęli się jednak do miodu i orzechów skradać, bo byli bardzo głodni, ale co który rozgryzł to robaczliwego świstnna, a co kto wziął miodu to zpszczołą, jeden tylko Rnmianek samē pełne wybierał orzechy i miód zabierał czysty. To jeszcze gorzej dworzan na Chochła rozgniewało, ale ten rzekł im:

—Samiście winni, bo zły czego dostanie obra-
ca w złe, a młodemu i niewinnemu co weźmie
w smak i korzyść idzie, nie trzeba było na orze-
chy i miód wydziwiać, zatoście robaków i żadeł
napytali.

Głodni tedy poszli spać, ale królewicz mający
o świecie jechać, nim się na suchych liściach po-
łożył, prosił starca o radę na dalszą drogę, do-
kąd by się miał udać.

—Jedź, rzekł mu Chochół, zawsze prosto przed
siebie, a gdy cię niepewność ogarnie, zapytaj-ra-
czej serea niż rozumu, ono ci pokaże drogę...

—A jeśli zmilezy i nie odezwie się?

—Nancz je gadać.

Stary zamilkł, a nazajutrz gdy się obudził królewicz i dwór jego, znaleźli się w puszczy na gołej ziemi bo i chata i Chochół znikli, a drzewa tylko szumiały nad ich głowami.

Dobrze się stało, bo rozgniewany Paliwoda i Waligóra, który rad był awanturze, chcieli na odjezdném spalić chałupę na kurzéj stopie.

Ruszyli więc dalej pościadawszy rosą.

Wybrnąwszy z przepaściowych błót i lasów o pół dnia postrzegli na wzgórzu okazały bardzo zamek stojący wysoko, murami otoczony, a tak świecący, że nań od blasku oczy się patrząc męczyły... Zdawał się cały sadzony dyamentami, podług niego płynęła ogromna rzeka, jakby z topionego srebra... Na skale téj jednak ani drzewa ani zieloności życia nie było.

Pustką, głuchą stała okolica, nie było kogo spytać, ktoby w zamku mieszkał, aż sobie Motylcia jadący przodem przypomniał, że słyszał o tym grodzie świecącym, w którym miał panować król Wciórnostek, a przy nim mieszkała jego rodzina... Mówiono, że to był pan bardzo możny, mający jedyną córkę prześliczną i siedmiu synów walecznych, skarby przy tém wielkie, ale

znano go z charakteru wadliwego, przekornego, złym i strasznym nad wyraz. Cheieli tedy, żeby królewicz minął ten zamek, na wstępie grożący mu niebezpieczeństwem, ale im więcej go prosili i przekonywali, żeby doń nie zajeżdżał, tém więcej się podżegniony ciekawością, upierał przy swoim, i trąbiąc przyskoczył do bramy, samowtór z Motylicą...

Gdy się głos trąby dał słyszeć na zamku, począł się w nim rozruch wielki, wybiegły strażę zbrojne, a postrzegłszy Rumianka i jego orszak, i poznawszy w nim potężnego królewicza, zaraz dali znać Weiórnostkowi, śpiesząc gości przyjmować.

Zdziwił się niezmiernie Rumianek zbliżka podjechawszy, przekonawszy się, że świecące w ścianach dyamenty były to proste krzemienie, a woda w rzece gęsta i błotnista, zamek zaś sam zdawał tak jasny, strasznie lichy zbliżka wyglądał.

Jednakże ciżba w nim żyła ludu choć odartego, — kapoty i szarafany miała szamerowane i bramowane złotym szychem, ale stare i podar-

te, a wielu z nich nogi wyglądały boso z chodaków choć pióra na łbie nosili. A tak to tam wszystko było rozporządzone, że kto głowę pokazywał miał stroik na czubie, kto nogi naprzód wystawiał, tём uda miał strojne, kto z tyłu mógł być widziany, wyhaftowane nosił plecy, kto z przodu piersią nadstawiał się, zawieszisto miał upstrzone ramiona... reszta ubioru powiązana sznurkami i łachmankami, jak Bóg dał...

I w budyku ściauy, które oczóm ludzkim nie były dostępne, z błota i gruzu tylko wylepiono i gliną szarą posmarowywano. Pompatycznie to patrzyło zdaleka, ale wszedłszy i oczy i nos nie bawiły się bardzo, bo nie było wiele porządku. Dopiero na wjazd krolewicza zamiatać poczęto ulicę przed nim, a śmiecie zasłaniali sobą szeregiem stojący dworacy... aż tu i sam Weiörnastek XXXI, pokazał się we wrotach na powitanie Rumianka...

Był to rycerz ogromny jak dąb, z wąsami, które z obu stron twarzy, jak dwie siwe wiechy odstawały, gdyby gałęzie rosochate starzej sosny... Po półtora łokcia wąsa było z obu stron twarzy, na łbie wygolonym czub stérczał pod-

czesany do góry, szpakowaty jak krzak suchego ostu. Ślipia miał stare i małe, ale za to nos sążnisty, spuścieisty, ani rzymski, ani grecki, bo pod te czasy jeszcze się pierwszy grek, ani pierwszy rzymianin nie urodził, ale przedpotopowy, to dosyć powiedzieć. Na piersi dźwigał zbroję, jak się później domacano, papierową, a u boku szablę okrutną, ale w niej pawie pióro było zamiast główki osadzone... u nóg zaś ostrogi tak długie, że z niemi chodzić, nieżyć się było potrzeba... Na ramionach spływała szuba przepyszna z przodu sobolem obłożona, a z tyłu lisami wyszarzanemi podbita, ale pasowo okryta cała... w ręku niósł kij z złocącą gałką, znamię władzy.

Znając ze sławy króla Gwoździka i Rumniauka Gwoździkowicza, jako jedyne go po nim dziedzica i następcę, król Wciornastek bardzo go serdecznie przyjął, a pewnie był rad spotkaniu temu, mając córkę jedynaczkę, po której całego posagu obiecywał korzenie białego maku, obrachowując misternie, że po posianiu w lat pięć, można będzie za sam olej wybity, kupić pierwsze królestwo, jakie się trafi na lietyacyi. Ra-

ehował może, iż wydawszy królowną Marzannę za Rumianka, obejdzie się i bez maku posagowego, pozbędzie się córki, a w sąsiedzie zyska potężnego sprzymierzeńca, co by nie było od rzeczy na przypadek wojny o sianokosy, jakie się eo wiosna trafiały.

Siedmin synów Wciórnastka byli to chłop w chłopu rycerze dzielni i pięknie zbudowani jak ojciec, wyjąwszy jednego, który był garbaty, kulawy, jednooki i okrutnie zająkliwy. Zwali go pospolicie Jakałą i nikt tam we dworze na niego nie uważał, popychając go jak głu-ptaszka; bo się ani w ojca, a w matkę nie ndał; prawdę mówił aż łzy od niej ciekły, jak od chrzamu, polityki wyuczyć się nie dawał, a każdą rzecz tak *in crudo* nazywał po imieniu, że aż strach go było słuchać.

Weszli tedy na salę ogromną, gdzie muzyka grała na galeryj świeżo ze stodoły przyprowadzona, a królowa ze swoim francymierem i córką Marzanną zasiadła na podwyższeniu. Zdaleka i pani się wydała poważna i dziewczęc śliczne bardzo... Rumianek od jej wzroku na wpół się roztopił, i aż mu się słabo zrobiło, że go

Waligóra przytrzymać musiał. Na tym skutku swojego wzroku poznać się musiała piękna Marzanna, gdyż uśmiechnęła się, twarzyczka jęj pokraśniała, a matka wiecee uprzejmie poprosiła gościa bliżej, i nie bawem dano do stołu. Tu Rumianka posadzono przy pannie, a on znown z tego wielkiego szczęścia aż osłabł, i gdyby go Hetman nie trzeźwił, byłby omdlał na poły. Marzanna była słuszną blondynką, białą, rumianą, świeżą, a oczy miała niebieskie takie co to zdaje się, siedzi w nich jakaś tajemnica, ot, ot... coś wielkiego, coś strasznego powiedzą... ale na tém się kończy, że gadać obiecują, a milczą uparcie. Królowna strojna była niezmiernie, jednakże postrzegł Rumianek z zadziwieniem po niej jakim czasie, że w koronie jęj było dużo szlifowanych szkielek, a w stroju i w przyborach wiele fałszów. Wszystko tam w tym rodzaju było u Weiornastków;— gdy poczęli przy stole opowiadać swoje dzieje ojciec i sześciu braci, włosy na głowie wstawały, takie niedorzeczności pletli, a stary Weiornastek coraz tylko przerzywał groźnym wejrzeniem i wykrzykaniem, że gdyby kto śmiał przeczyć, szablą się gotów upo-

mnieć i popierać eo mówiono... Wszysey milczeli, na rogu tylko siedzący Jakała głową kiwał i śmiał się czasem tak, że musiał gębę oburącz przytrzymywać, bo miał śmiech piszczący i straszny, że ludzie od niego o milę marli z trwogi, gdy się dał słyszcć swobodnie.

Wszysey bracia opowiadali każdy swoją historię, ten, że olbrzyma zwałił silném dmuchnieniem, ów, że trochę rozpędziwszy się górę przeskoczył, a trafiwszy niespodzianie z drugiej strony na morze, miał go tylko po kolana, trzeci, że raz sześćdziesiąt sosen przyniósł w kieszeni od kapoty i t. p. Stary także sławił swą potęgę i o państwie swém powiadał, że w niém jest Wschodownia słońca, i z tego powodu codzień do niego rano Jutrzenka po klucze przychodzi, a gdyby ich kiedy nie dał toby i dnia nie było. Stara królowa tém się tylko popisywała, że młodszą jeszcze panną będąc tak była piękną, iż idąc ulicą wzrokiem ludzi zabijała i padło ich tyle ofiarą, że w końcu musiano jéj oczy zawiązywać, a po rynkach przy bębnie ogłaszać, kiedy iść ma, aby się nikt nie ważył w drogę jéj zachodzić, pod utratą życia.

Ta własność szerególna, której mąż nie padł ofiarą, gdyż nie ulegali jój ci eo śmiało królewnie w oczy patrzali i przechorowawszy oswojano się z jój wejrzeniem, ustać miała po urodzeniu pierwszego dziecięcia. Królowna Marzanna także opowiadała, że się o jój rękę starało już osiemdziesięciu królewiczów, a z tych siedemdziesięciu siedmin pozabijali się na śmierć z zazdrości, jeden z rozpaczę się obwiesił, a ostatni łzami zadławił.

Jakkolwiek się to wszystko dziwnem zdawało Rumiaukowi, ale, że to wówczas jeszcze był świat, w którym większe dziwy powszednie widywano niż dzisiaj, uwierzył wszystkiemu i od pierwszego wieczora straszliwie się pokochał, zwłaszcza, gdy poszli w taniec, a królowna bardzo dlań ukazała się przychylną. Nazajutrz rozmarzony, ani chciał słuchać o dalszej podróży i został na dworze Weiörnastków, zakochany po nszy w królownie Marzannie. Liziłapa chodził między swojemi i chwalił postanowienie królewicza, dowodząc, że młodzi kochać się muszą, a wszelka miłość jest rzeczą świętą... Motylica równie był zakochany i milezał, inni gadać nie

śmieli. Maruda odpoczywał. Paliwoda nazajutrz radził się już oświadczyć; stanąć na kobiercu, i do domu powracać na gody.

Zdziwiło to jednak Rumianka, gdy następnego dnia królowna się w dzień nie pokazała; dopiero pod wieczór wyprowadziła ją matka znowu śliczniejszą jeszcze i Rumianek zaraz się do niej przysiadł, a rodzice zostawili ich samych znać nie przypuszczając, ażeby co z tego nieprzyzwoitego mogło wyniknąć.

Korzystając ze swobody królewicz wywiódł pannę do wirydarza i tam przykląkwszy przed nią, przy księżycu świadku, oświadczył się, że ją kocha, prosząc o rękę, na co ona drżącym głosem odpowiedziała po cichu.

— Jeśli papa i mama pozwolą...

Był tedy najszcześliwszym nie wątpiąc o pozwoleniu, a w razie oporu gotów papę i mamę zadławić, pozostał nazajutrz jeszcze. A że mu tęskno było z rana samemu do obiadu siedzieć, bo panowie bracia pojechali na łowy, a król z ekonomem miał konferencyą z powodu nadchodzącej kosowicy jedwabiu, który się tam na

łakach rodził, a robaki go później za pańszczyznę przędły, poszedł Rumianek wdychać do ogrodu i trafunkiem o białym jasnym dniu, pierwszy raz spotkał Marzannę. Królowna z razu chciała uciekać bo była nie ubrana, ale królewicz nasz, który biegł szybko, dogonił ją i chwytając za rękę przytrzymał... wyrwać mu się nie mogła.

Zajrząwszy jej tedy w oczy, mocno był zdziwiony postrzegłszy, że po dniu wcale była inną, a cała jej piękność musiała się na popołudnie i wieczory robić przez umyślnie do tego wynieczone kobiety, które jej pleć malowały, brwi farbowały, zęby wstawiały, oczy jakimś urokiem nasypywały. Marzanna bowiem po dniu była sucha, stara i do Jąkały podobna, co strasznie zmieszało królewicza. Ale sobie zaraz powiedział, że mu się to tak przydać musiało. Czekał wieczora niecierpliwie Rumianek, a Marzanna wyszła znowu, jak anioł piękna, świeża, młoda, pachnąca, i królewicz gorzej się jeszcze rozkochał. Prawda, że u stołu podpoili go trochę, bo mu dolewali a dolewali jakiegoś napoju robionego z soku, który na wiosnę płynię

z rozciętych łądyg azalii... i smaczny jest a upaja i oszala.

Już tedy powoli zaczęto i o zaręczynach przebąkiwać, a Marzanna popędzała go, żeby się rodzicom oświadczał publicznie... tylko, że wypadło wprzód posłać Lizilapę do Stołpca o pozwolenie rodziców. Weiórnostkom się to wydawało nie potrzebne, ale stary Gwoździł zapowiedział synowi, że jeśli się ożeni bez pozwolenia, to go wydziedziczy... i pięknego królestwa stracić się nie chciało.

Już tedy Lizilapa miał nazajutrz jechać z poselstwem, gdy wieczorem w tańcu królownie włosy odpadły, co bardzo zafrasowało zakochanego, bo miała prześliczne, tylko nie swoje. Pomyślał tedy w duchu, — a nóż i ręce i nogi potem jej poodpadają, jak się lepiej rozma-cha? — Jakoś więc posmutniał i rozmyślać się począł. Udali się na speczynie, gdy Waligóra rzekł mu bez ogródki, że nazajutrz dalej ruszać potrzeba, a dalej tu nie ma czego bawić, bo dwór z głodu pozdycha... W istocie w sali bankietowano, choć i tu więcej się świeciło na pół miskach niż karmiło, ale ludzi Rumiankowych

chcieli puścić na paszę pod pozorem, że i królewscy dworzanie we dworze nie jadają, ale ich na łąki codziennie pastuch wypędza, gdzie rośnie gotowy makaron włoski, sałata wyborna w oliwie, a w lesie po deszczu znajdują się pod każdym drzewem placuszki z makiem.

Waligóra otwarcie też dodał, że panna stara, malowana, zęby, i włosy i rumieńce przyprawne, dla tego ją tylko o zmierzchu pokazują, a dzień się godzin wprzód sztukują, malują i politurują,— w dodatku korzec tylko maku posagu. Sam Rumianek wszystko rozrachowawszy i coś już złego przeczuwając, zabiérał się do drogi nie opierając zbyt, gdy nadszedł Jakała.

—A co? spytał królewicza, pewnie już myślicie o drodze?

—Z kądże ta myśl w panu?

—U nas to tak zawsze, kto tylko się o moją siostrę starał, zwinął chorągiewkę, po trzech dniach dowąchawszy się fałszu.

—Tak li?

—Bo ona nie jest ani moją siostrą, ani królową, ale ją sobie królowa dla zabawy ze starej lalki zrobiła i chce za męża wydać bogato.

Serce jój wstawili pożyczone od gęsi, trochę mózgu z cielątka, reszta nie wiem z kawałkami pobrana. Zabieraj się i ty i jedź sobie, dodał, bo mi ciebie szkoda, ale ruszaj nie żegnając się, bo cię król nie wypuści i gwałtem zenić będzie. Każ ludziom po ciehu się zbierać do drogi, i nikomu o tém słowa... niech cię Bóg prowadzi.

To rzekłszy, a snąc bojąc się być wyszpiewowany zemknął Jakała, ludziom dano zaraz rozkazy, aby się po ciehu pakowali i sztyftowali, ale któryś z nich musiał się nieostroźnie wypałać, gdyż nim Rumianek spać legł, żeby w strapieniu wypocząć, już Wciórnostek stary z sześciu synami wszedł do izby w groźnej postawie.

—Wstawaj! krzyknął, i zdaj mi sprawę, a rachunek z nicnych swoich czynności... uwodzi cię jakiś! Słyszę, że zamýślasz uciekać i wynieść się po kryjomu jak złodziej ukradłszy mi serce córki, niedotrzymując danego słowa dziecku i krwi tylni lokatorów!! Co to ma znaczyć mospanciu? he?

A sześciu królewiczów, jak jeden ryknęli za nim:

—Co to ma znaczyć, mospaneńku? he?

—To ma znaczyć, postawił się Waligóra, że gwałtem nikt się nie żeni... jak zechcemy to się ożenim, jak nie zechcemy to nikt nas do tego nie zmusi.

—A zatem wszysey tu zginiecie do nogi i kostki po was nie zostanie! krzyknął Weiórna-
stek... i zatrąbił.

Działo się to w pośrodku zamku, a owi siedmciu set rycerzy Rumiankowych stali z końmi pod murami jego, przy nim był tylko dwór i kilkunastu pacholików, z tych zaraz Lizilapa schował się w dziurę od pieca, Maruda przebudzić się nie mógł, ale Waligóra i Paliwoda stali za resztę. Więc wszysey do szabel, królewicz też rozgrzawszy się i pocznwszy pot, jak koń stepowy— zatrąbił po swojemu na swoich. Ale ino mieczów z pochew dobyli, i król i sześciu synów natychmiast im z oczów znikli, a hałstra zamkowa choć jój wołano, z pierzyn wstać nie myślała, i tak sobie drogę torując szablami pociemkn królewicz i orszak jego wyszli na błon, siedli na koń i śpieszno njechali obawiając się pogoni. Dopiero o dobrą milę dognał

ich z wielkim hałasem Wciórnostek, ale napastować nie myślał, łajac tylko na przemiany i różne niestworzone obiecując rzeczy. Naśmiewszy się z niego i niezważając na nic, ruszyli tedy dalej w swą drogę.

Następnego dnia słońce po swojemu zeszło i pogoda była piękna; około południa, gdy ledz mieli na popas przy źródle pod dębami, ujrzeli straszliwego olbrzyma niosącego na plecach krowę, a za nim szedł chłopiec płacząc i rozpaczając, gdyż to była jego ostatnia. Zaraz tedy, że to był chłopiec wielkiego serca, Rumianek ujął szablę i z Waligórą zaszli mu drogę... Drab miał ze szesnaście łokei wysokości (wiedeńskiej miary), a łeb jak dobra kufa wódki.

—Co? zkąd? jak? masz paszport? co tu robisz? czyja krowa? począł Rumianek, sądząc, że do bitwy przyjdzie, ale choć mu się bardzo chciało sprobować z olbrzymem i czuprynę mu zdjawszy nią się chlubić, bo wówczas z czupryny takich robiono burki i z tego to poszły dzisiejsze węgierskie— ale w miarę, jak Rumianek nań następował, olbrzym malał, malał, zrobiło go się dziesięć łokei koronnych, pięć, trzy, półtora i

w ziemię cały wlaźł, a krowa się na łące pasie, a chłop przy niej płacze... Nie było się z kim bić, królewicz Rumianek zafrasował się i zawstydził, że na takiego cieniaka napadł.

— Słuchajże no Waligóro, albo i ty Motylićco, coście mi bajki o olbrzymach pletli... gdzież oni są... co to za olbrzymy, którzy do walki stawać się boją?.. Niechbym się ja choć z jednym spróbował.

— Najjaśniejszy paniezu, rzekł Lizitapa, olbrzym ten uległ potędze twojego wzroku i wrósł w ziemię, jest to fenomen naturalny i w fizyce wytłómaczony. W historyi naturalnej kraju naszego znany był i opisany ten rodzaj olbrzymów co maleją, gdy się im śmiało plunie w oczy, a powoli całkiem się w ziemię chowają... jest to olbrzym fałszywy, *Gigas fallax*, ale trafiemy i na lepszych.

— No kiedy tak to co innego, odparł Rumianek, bo też to smutna rzecz na olbrzyma się zamierzyć, a z karłem bić, lub w powietrzu szabłą świsnąć.

Gdy popasali trafił się im żebrak, który ko-

ści ich obiadu pozbiérawszy i do torby pocho-
wawszy okruszyny, spytany o drogę powiedział
im, że są na szlaku, który od wieków zowie
się gościńcem żywiącój wody i złotój jabłoni;
ale tą zarosłą drogą oddawna nikt nie jeździł
i nie chodził, a nie można było wiedzieć dalsze-
go jój kierunku. Królewicz mocno się jednak
ucieszył.

Rozповідаł jeszcze starzec, że od prapra-
dziada słyszał, jakoby przebyć trzeba było trzy
przepaści, dwie góry i wiele trudów pokonać,
aby się dostać do tych endowisk, które, jak
mówili ci co ich nie widzieli, miały się po-
psuć ze starości; i lepsze od nich sprzedawano
w kramach na jarmarku po trzy grosze.

Tych już nwag zakrawających na filozofiją, nie
słuchał królewicz i dawszy tynfa żebrakowi po-
jechał dalej ze swoim orszakiem, na zdobycie
marzonych skarbów i dziwów.

Słońce już zachodzić miało, gdy w dolinie po-
kazał się im dwór, jak się zdawało książęcy,
z ogromnemi zabudowaniami do koła, a nad nim
górował komin jeden tak wielki, jak piramida

i z czupryny mu dymiło strasznie i ogniem buchało. Na polu też różne postrzegli osobliwości zaraz wjechawszy w to królestwo— z jednej strony na grzędach rosły w miskach polcwanych kartofle ze słoniną, z drugiej z masłem, dalej kaszka na talerzach, dalej z ładu żyta wprost płynący ruczaj mocno czuć było okowitą... W górze nad polem wisiały worki z deszczem, dmuchawki do robienia wiatru, parasole od skwaru słońca i różne sztuki gospodarskie, ale żywego ducha widać nie było;— wszystko tu jakoś samo się robiło bez ludzi. Nie wiedzieli czy ich tu na noc przyjmą, gdy dobijając się do wrót pole oddzielających ujrzeni kalekę, który ich pilnował i spytałi ktoby tu był panem.

—Pan zowie się Licho, pani Cetno, a dwór jest stolicą królestwa Groszaków... bardzo możnego i wielkiego.

Spytany potem stróż czyby ich siedmiuset kilkudziesięciu na nocleg przyjąć chcieli, pokiwał głową i rzekł, że w gospodzie za pieniądze przyjmą, ale we dworze— za Bóg zapłać... pewno nie.

Pojechali więc ku gospodzie, która, że tam-

. tedy wiódł jakiś wielki gościniec, była ogromna i mogli się w niej pomieścić, a królewicz ludzi swych zostawiwszy w niej, pieszo z Motylicą udał się nawiedzić króla Licha w jego domu.

Znaleźli go nad wielkim białym otyłym bura-kiem, z którym prowadził rozmowę, gdyż to był czarnoksiężnik wielki, i kamienie u niego nawet, gdy je zaklął, gadać musiały. Rozpytywał się ile ich z pola przyszło i wiele przez dzień powyrastali, i jak się czują w żołądkach, słodko czy nie. Chociaż bardzo zajęty przyjął Rumiauka z polityką, ale go z razu wziął za kupca, dopióro, gdy mu o sobie powiedział, o ojcu i pochodzeniu, zaprowadził go do zamku, który był bardzo wspaniały, ale zimny i pusty. Wyszła zaraz i pani Cetno i córka ich jedynaczka królewna Misza, która jak skoro ujrzał królewicz, zaraz się w niej wedle zwyczaju swojego, rozkochał.

W istocie była to osóbką bardzo piękna, miała, ale szykowna brunetka, którą wróżki i czarownice z daleka sprowadzane wychowywały; umiała śpiewać pieśni osobliwe, prorokować, ciągnąć kabałę, grać na arfie i cymbałach, tańco-

wać na sznurku, i różne inne śliczne rzeczy; ale że ojciec i matka bardzo byli bogaci, spodziewała się wyjść bardzo świetnie, najmniej za potężnego króla jakiego. Wymagała już po swoim przyszłym, żeby miał wóz skrzydlaty, i żeby ją wiozł zaraz za siódme morze na jakąś wyspę, zamieszkaną przez wróżki i czarnoksiężników zabawnych bardzo i bawiących się nieustannie.— Lubiła bowiem bawić się i popisywać.

Wzgardliwie z razn przyjęła Rumianka, choć był ładnym chłopcem, aż dopiero, gdy jej ojciec szepnął, że król Gwoździak ma bardzo obszerne państwo i stać go nawet na dwa wozy skrzydlate i na nie wiem jakie fantazyc, a co lepiej mógłby nawet dla syna po żonie posagu nie potrzebować— poczęła nań Misza miłszém okiem spoziierać.

Zaprosili go tedy na jutro, a wieczór zabawiali liczeniem owiec, które z pola powróciły i fasoli, którą łuszczone dla przepędzenia czasu, przy czém królewna grała na arfie i śpiewała.

Chociaż dwór Licha nie bardzo przypadł do smaku wędrownikowi, ale oczy panny bardzo

go zajęły, i pozostał, aby dłużej w nie popatrzyć. Nazajutrz dany był wielki festyn w sali zimnej i obiad na półmiskach wazących każdy po czterdzieści funtów srebra, ale na niektórych nie było nic, a na innych tak mało, że wszyscy od uczty wstali głodni. Na deser poprowadził ich król oglądać skarbiec i gospodarstwo co trwało do nocy.

Jakoś do trzeciego dnia odcehciało się Rumiankowi i królownej i posagu, i oczów, a przypatrzywszy się chłodnej owjej piękności dowoli, rano wymknął się w dalszą podróż.

Dotąd mało jeszcze miał przygód siebie godnych i znajdował, że mu los niedopisywał; puścili się więc ztąd drogą pustą, znowu szlakiem wody żywiącej, wśród którego mieli, jak mówiono, przebywać niezmierne pustynie. Ale konie dobrze owsem kupnym podkarmiwszy, a rano ruszywszy, do południa ulecieli trzysta mil ukraińskich i postrzegli przed sobą przepaść taką, że ani jęj objechać, ani minąć, ani przekroczyć — nie było można.

Powiadano, że gdy ziemia świeżo jeszcze z mokrej gliny ulepiona, z tej strony na słońce wscho-

dzące raz pierwszy wystawioną została, gdy słońce jeszcze nie zmordowane bardzo, na pierwszy raz przygrzało, skurczyła się i pękła szeroko. To pęknięcie było ową przepaścią nieczmierną, nad którą przybywszy królewicz jął medytować co począć.

Wracać? wstyd— przejść? nie ma sposobu, objechać nie można... Jeśli tedy radzić wszysey, Motylca, żeby skrzydła ludziom i koniom poprzyprawiać, Paliwoda, żeby dREW narąbać i przepaść zarzucić niemi, Maruda, żeby pocze-kać, aż sama powoli zasunie się od brzegów, Waligóra, żeby dziurę zakłąć... Lizilapa wotował, aby Najjaśniejszy panicz nikogo nie słuchał mając rozum wyższy nad wszystkie ludzkie rozумы... I rzekłszy to pocałował kraj jego surduta choć był powalany błotem.

Tymczasem słońce zaszło i zanocowali tu, a Rumianek raz pierwszy stęskniwszy się dobył żwierciadelka i zajrzał w nie, aby zobaczyć co robią w domu. Powierzchnia jego była czysta, postrzegł w nim naprzód ojca jegomości w gan-ku Stołpeckim na zamku, z nogą na nogę założoną drzemiącego, matkę u kądzieli zamysłó-

na, a Lalę zapłakaną z rączkami założonemi i oczyma czerwonemi. Ćwiczek łatał stary bót i trzymał nóż w zębach,— nowego bowiem obóvia nie robił, ale miał to sobie za największą sztukę, z nie wartych obdartych chodaków, nowe i śliczne wysztnkowywać tak umiętnie, że nikt ich od najprzedniejszych babyłońskich rozpoznać nie mógł.

Patrzac na Lalę smutno się zrobiło Rumiankowi, tęskno, przykro, i mało nie zapłakał za Stolpcem, pytając się siebie dla czego by go i po co opuścił, gdy tam miał pokój i szczęście, wszystko czego potrzebowało serce, czego pragnęła dusza?

Tym dumaniom sen koniec położył, a nazajutrz rano kazano konie posiodłać i dobrze popodpinać, i królewicz widząc przepaść przed sobą świsnął na Jagę, aby w pomoc ze starém przybywała doświadczeniem.

Czarownica zjawila się na miotle żeglując przez powietrzne szlaki, czerwona od zmęczenia i zdyszana.

— Jak przepaść przebyć? zapytał jój Rumianek,— jestli sposób?

Poszła stara nad brzeg miotłą się podpierając, popatrzała, pokiwała głową i wyznała, że nie wiele wie, ale od babki swój słyszała, że przez nią rycerze mężuëm sereem przeskakowali. Wprawdzie dużo ich tam ginęło, ale kilku do mety doszli i żywiącój wody zaczerpnęli.

Że królewicz nie miał nigdy zwyczaju wątpić o sobie, dał zaraz rozkaz do skoku i Motylca naprzód, a za nim inni poparłszy konie ruszyli.

Ale— o cudo! w chwili gdy już dopełnić się miało salto-mortale, przepaść owa znikła i maluczki tylkó ruczajek w parowie się okazał, przez który konie z łatwością przesadziły. Nim jednak Maruda zebrał się sięść na koń, tamei już byli na drugiej stronie, przepaść otworzyła się znowu i on pozostał sam jeden. Słychać było że w dziesięć lat późniěj, na skielecie konia siako tak powiazanym sznurkami, bo mu mięso w drodze wiley objedli, powrócił do Stolpea, niesłychanie zmęczony niewygodną podróżą...

Na drugiej stronie przepaści kraj był daleko piękniejszy i żywniejszy, mnóstwo zwierza i ptaków, a fertyczna srocza w czarnym płaszczy-

ku wyszła na spotkanie królewicza i wypaliła mu oracyą po syryjsku i chaldejsku, mieszącą zgrabnie te dwa języki, że ich obu zrozumieć nie było można, winszując przybycia i prosząc o trzy grosze na śniadanie.

Daléj witały go także inne stworzenia z respektem wielkim, i lis przyszedł się ofiarować za przewodnika, strasząc dziwami, olbrzymami, którzy na drodze zasiadali i do żywiącéj wody nie dopuszczali, a radząc ich wiadomemi sobie ścieżkami wyminąć.

Pozbywszy się tego i innych natrętów, a nareszcie niedźwiedzia, który uporeczywie żądał, ażeby mógł być przyjęty za przyjaciela, ofiarując się za tanie pieniądze, to jest za pięćdziesiąt dwa plastry miodu i kilkoro cieląt rocznie... pojechali daléj. Tu pierwszy raz spotkali mnóstwo ludzi pozaklinanych, w rozmaitych postaciach i położeniach. Byli to wszystko poprzednicy królewicza na téj drodze, którzy znużeni przed czasem, jak którego rozpacz i zwątpienie schwytiło, siedli i skamienieli.

Jeden stwardział grając na piszczałce, drugi nad jadłem, trzeci u kolan jakiejś kobiety, czwar-

ty we śnie leniwym; każdy w tém do czego miał jakąś słabość, i aż śmiech i litość brały patrzeć co tam ich było w różnych postawach, niby żywych a w istocie życia dla nałogu pozbawionych. Minawszy to niebezpieczne miejsce, gdy dalej iść mieli, oznajmił im lis wlokący się z tyłu w nadziei ochłapów, że jeśliby chcieli na popas z drogi zjechać ćwierć milki, przyjemną by spędzili chwilę we dworze króla Słoty, wielkiego i potężnego mocarza, który w sąsiedztwie kawał pustyni i słone morze posiadał. A choć to miał być mimo rozległego państwa ubogi człowiek, jednak pan z panów, i liczył sobie trzysta sześćdziesiąt pokoleń w prostej linii, które z tego morza do pekenflejszów czerpały ropę.

Jakkolwiek nie miło było zjeżdżać z drogi królewiczowi, jednak gdy orszak moeno się zdawał zmęczony, lis ich poprowadził ścieżką w góry i wkrótce ukazało się zameczysko na wysokości, z którego tylko jedna wieża stęrezała, a mury były porujnowane bardzo, i w około smutno i goło, ale majestatycznie i poważnie.

Na polu ani śladu posiewów, w ogrodzie sam pan o kiju się przechadzał i wróble opędział z wi-

śni dojrzewających, z których owocu sokiem spo-
 • dziewał się ochłodzić. Z wielką gościnością
 otwarły się przed nimi bramy, ale jedna o ma-
 ło nie ubiła Liziałpý, bo zawiasa pękła i w łeb
 dostał lisztwą. Dowiedziawszy się przez mar-
 szalka dworu o procedencyi gościa i herbach je-
 go, a znając dobrze rodzinę Gwoźdзикów, z któ-
 rą był spokrewniony król Słota, przyjął wędru-
 jącego młodziana uprzejmie. Gdy przyszło jednak
 do obiadu, znalazł się tylko w spiżarni kawalc-
 czek stariej słoniny, chleba spleśniałego bochenek
 i kubek piwa dla dworu... tak nieborak ów Sło-
 ta podupadł i zubożał. Ale czas obiadowy spę-
 dzili z nim wesoło, słuchając opowiadań o pra-
 starych czasach, gdy jeszcze praojcowie Słotów
 koczowali u wrót raju, ze swemi trzodami owiec
 złotornnych i wielbłądów.

Z rozmowy dowiedzieli się, że król Słota miał
 córkę jedynaczkę i Rumianek bardzo był ciekawy
 ją zobaczyć, ale im się nie pokazała. Dopiero
 gdy pozostali na noc, wieczorem wyszła w towa-
 rzystwie podeszłej ochmistrzyni na pokoje i za-
 siadła z daleka za herbowną zasłoną. Postać mia-
 ła wspaniałą, głos miły, słowo rozumne, ale gdy

przy wieczerzy odsłoniła twarz, Rumianek prze-
ląkł się, tak była bladą i trupią. Ani kropla
krwi jęj nie zaramieniała, a oczy były martwe i
nie zwracały się, chyba głowę obróciła w stro-
nę. Jednak gdyby dłużej pobył, może by się i
w tęg zakochał, bo nie była bez wdzięku, ale ra-
no Lizilapa przyszedł z oznajmieniem sekretném,
że panna ta córka Słoty dawno była umarłą, a
ojciec ją tylko zabalsamowaną pokazywał, utrzy-
mując przy sztuczném życiu siłą czarnoksiężką...

Choć więc Słota zabierał się im rozpocząć hi-
storyę o sześćdziesięciu bohaterach swych przod-
kach i wielkich ich dziełach, nad którymi sam
rozmyślając, nie miał czasu wziąć się do niczego,
bo się obawiał aby tradycyi ze zmuzenia nie po-
zbył i nieustannie ją w sobie odświeżał rozpa-
miętywaniem— uniknęli rano i chcieli znówu tąż
samą drogą do żywiącego powrócić źródła, gdy
lis, co ich tu przywiódł i nazajutrz miał odpro-
wadzić, znikł, a sami nie umieli w pustęg oko-
licy wynaleźć szlaku, o którym nikt zresztą nie
wiedział nawet.

W wielkim tedy królewicz znalazł się frasun-
ku i biedzie, ale nie tracąc serca, rozkazał pro-

sto od wrót konie wszystkie skierowawszy w jedną stronę jechać stale, w jednej linii, na los szczęścia, gdzie się trafić uda. Jechali tak pół dnia, nie i nikogo nie spotykając; zaczynały konie i ludzie się trudzić, gdy nade drogą jak dwie góry ukazali się dwaj olbrzymi potężni, siedzący i pilnujący wąskiego przesmyku.

Po nich poznał Rumnianek, że znowu był na drodze do źródła, a rozmierzywszy okiem wielkość olbrzymów, swoją rozrachowawszy siłę i pomyślawszy co ich tam spotkać mogło, po cichu całe swe wojsko wstrzymał i rozłożył, naradzając się coby począć wypadało. Obejść po za plecami olbrzymów nie było podobna, zwyciężyć było trudno, siedzieli u wrót wąwozu z kamieniami, których lekkie potrącenie stosy mogło na ich karki obalić. Lizilapa, z powodu że zdrowie królewicza droższe mu było nad wszystko, radził wracać się nie narażając na niebezpieczeństwo i cytował szesnastu poetów będących tegoż zdania; Waligóra chciał uderzyć wstępną siłą, Paliwoda zgadzał się na to byle prędzej, Motyllica utrzymywał, że to nie były olbrzymy żywe, ale wypchane maniaki. Królewicz sam na pod-

jazd wyjechawszy, wrócił z przekonaniem, że ponieważ spali już od kilkunastu lat jak tamtędy nikt nie przechodził, można było cicho się przesunąć, nie budząc i tak wynieść z niebezpieczeństwa a na swoim postawić, lub gdyby się obudzili, życie mężnie narazić. Poobwijawszy więc szable krajkami, aby nie brzęczały, koniom nogi w buty z wojłoków pozaszywawszy, puścili się po ciuchutku.

Dwa owe straszne olbrzymy, Dumbor i Proźnogóra siedziały na wierchołkach wyniosłych, a im bardziej się ku nim zbliżali jadący, tém rosły im w oczach; u nóg ich leżały stosy kości pozabijanych podróżnych... Nie budząc ich, na palcach się skradając, poczęli się przemykać wąwozem i byłoby się wszystko ndało wyśmienicie, bo już królewicz i dwór cały prawie i wojsko przeprawiło się na drugą stronę, ale w chwili kiedy reszta ludzi przechodziła, Lizilapa, nałogowy tabacznik, wyjął z kamizelki tabakierę z rapą i przez grzeszność dał jej obok jadącemu nie przywykłemu do zażywania Paliwodzie; ten kichnął okrutnie, olbrzymy się przebudziły i nuż walić skałami, kamieniami, tak że mimo największego pośpiechu

z siedminset ludzi ledwie trzechset ocalało. Królewicz już był dobrze za przeprawą, a Lizilapa dowodził mu, że wcale nie on temu był winien, ale nos Paliwody, i że wyszli jeszcze bardzo szczęśliwie, gdyż tych czterechset darmozjadów więcej im zawadzali niżeli pomagali w drodze.

Dalej gościniec począł być twardy i piał się ku górze. Czarownica stara imieniem Kłepa n-trzymywała tam szynceczek, który był od dawna zamknięty i beczki w nim powysychały, bo nikt już od wieków traktem nie jeździł; sama ona zamarzyła ostatniej zimy nie mając co jeść i czém się opalać, i znaleźli ją w kożuszynie łataną w kuczki siedzącą i zupełnie skościałą, a życia się z niej dowołać nie było podobna.

Ale że w tym pustym i nieznanym kraju, potrzeba się było kogoś poradzić, jeśli ją rozcierać, enieć, ogrzewać, aż doszli że łajanie nad wszelkie frykeye okazało się skuteczniejszém, bo ba-ba wstała gdy ją Lizilapa besztać począł, przetarla oczy i zdziwiona wspaniałym dworem, który ją otaczał, upadła na kolana ze strachu.

Od niej dowiedzieli się, że w bok o pięćdziesiąt tylko mil mieszkał Liczykrupa, król staruszek o-

samotniony, wnuczkę jedną po bracie wychowujący, u którego mogli mieć schronienie i odpoczynek, gdyż do źródła wody żywiącej daleko jeszcze było, i mnóstwo do przebycia zawad i przeszkód. Wsadzono zeszlą czarownicę na konia i kazano jej prowadzić do zamku Liezykrupy, który był sławny na cały świat ze swojego skępstwa, a zamieszkiwał na pustyni, choć miał inne państwa w swym kraju ludniejsze i weselsze, dla tego tylko że go tu życie nie kosztowało. Zamek ten był chałupą o czterech oknach, pod słomą, bardzo nędzny, obok którego mocny lamus ufortyfikowany, murowany, okowany, miał wedle pogłoski powszechniej zawierać skarby ogromne. Stary wyglądał na dziadka do orzechów, taki był mały, suchy, zgarbiony, bezzębny a ruchawy; zobaczywszy tylu gości, pochwycił się za głowę i począł nieckać, wyrzekając że takiego najazdu nie ma czém przyjąć, ani myśli przyjmować. Ale w oknie właśnie siedziała wnuczka królewska, i ta postrzegłszy Rumianka, który przed nią przykląkł po staroświecku, zacierwieniona pobiegła po dziadunia i skłoniła go aby bramę gościom otworzyć kazał.

—Ale oni nas tu zjedzą! zawołał stary prze-
rażony trzymając się za głowę, więc w targi
przez wasistas i samoczwart puścili królewicza do
dworu, gdyż się zaraz na wstępie pokazało, że
prapradziad Liczykrupy i prababka Gwoździka by-
li sobie stryjeczno-wujeczno, cioteczno-serdecznie
rodzeni, co stanowiło kolligacją w dwudziestym
drugim stopniu, a Rumiankowi dawało prawo do-
magać się gościuności.

Rad nie rad, Liczykrupa musiał przyjmować,
ale żeby się nie bardzo zmódz na traktament, u-
dał że klucze pogubił, że się zamki od lochu i
śpiżarni popsuly, że dzień był w którym się nie
jeść nie godziło i bardzo skąpo Rumianka u stołu
nakarmił, nie mówiąc już o ludziach, którym wię-
cej dawali wachać niż kasać.

Rozmawiał za to szczerze i słów nie żałował
słodkich, słonych, pieprzonych jak kto chciał.

A że królewna wnuczka, która się zwała Pliszka,
bardzo była śliczna i wesółuchna, a Rumianek
nieźmierną miał słabość do twarzyczek niewie-
ścich—wzrok jej jasny i usteczka uśmiechające
się kazały zapomnieć o głędzie i wieczór prze-

szedł nim się spostrzegli. Królewicz kazał obóz rozbić podle zamku, na który Liczykrupa proste pole wyznaczył potrzebujące sterkoryzacyi, i na noc się tu zatrzymali mimo sarkania zgłodniałych. Wieczerzy już nie było, tylko bardzo jakiś oszczędny podkurek, pod pozorem że Kopeidym, nadworny kuchmistrz królewski, zachorował na reumatyzm, a klucznica na łopacie wyjechała na Łysą górę po czosnek diabelski dla smarowania chorego bydlęcia. Pliszka za to śpiewała przy kądzieli, a głos miała tak śliczny, że zachwyciła Rumianka, który poczuł że mu się już serce w piersi roztopia.

Gadu, gadu, gadu, gadu, zagadali się tak do późna,— aż stary w końcu zapytał Rumianka, dla czego by tak daleko od gniazda rodzinnego zawędrował, i co go do tak kosztownej wyprawy zmuszało.

Odpowiedział Rumianek, że go prowadziło serce, pragnienie przygód osobliwych, widzenia świata, pokonywania olbrzymów, i dobycie zaklętych skarbów.

— Skarby jak skarby, rzekł na to Liczykrupa— jest sens, choć nie wiem ktoby je tak za-

klinał głupio aby odkłął lada świszczypałka, ale powiem Asińdziejowi, że z innych względów podróż ta ni w pięć ni w dziewięć. Po co się włóczyć, konie męczyć, podkowy gubić, ludzi moryzyć, siebie durzyć, czas marnować? nie lepiejżeby w domu siedzieć i na grosz pracować?

Królowna była także tego zdania, że dla niebezpieczeństwa dla fantazyi się narażać wcale Rumianek nie miał potrzeby, a gdy z zapalem począł jej mówić o źródle żywiącém, o złotój jabłoni, o innych dziwach, zaśmiała się, utrzymując, że ich nigdy na świecie nie było, a bajki o tém rozsiały czarownice, aby młodzież, do której zabierały, o zgubę przyprowadzić. Chwaliła także cięch życie domowe, a popierając mowę przykładem, w oczach królewicza pilnie się gospodarstwem zaprzątać zaczęła.

Jakkolwiek piękna była i miła, postrzegł się królewicz, że gdyby o niej pomyślał, a dla wdzięku się zakochał, toby go tu pewnie trzymali na niewięzi i zaprzęgli z wołem do pługa... Słudzy tam szeptali, że u Liczykrupy zwierzęta w stajni, oborze, na wsi, w trzodzie, byli to czarami poprzemieniani ludzie, dla lepszego ich nżycia—

a mało kto u niego na wsi i w państwie ostał się w swój skórce... Zląkł się więc Rumianek żeby i jego w bydlę robocze nie przedzierzgnął stary Liczykrupa i ta młoda czarownica, gdyż ludzi tam oprócz nich prawie nie było widać—i nazajutrz raniusieńko dał rozkazy do dalszej podróży.

A że mu znowu jakoś tęskno było na sercu, wyjął zwierciadelko aby w nie popatrzeć i porównać Pliszkę z piękną Lalą, której wspomnienie stukało mu do piersi... i znalazł nawet po tém dziewczęciu siostrzyczkę piękną, ale chmurniejszą jeszcze i smutniejszą niż wezora.

Do świtu nim Liczykrupa wstał, bo całą noc sam chodząc z grzechotką koło dworu i lamusu skarbów swych i wnuczki pilnował,— wojsko, dwór i Rumianek byli na nogach i w dalszą pnaścili się drogę ku źródłu, coraz ją znajdując cięższą i niebezpieczniejszą.

Kraj był znowu pusty, najeżony górami i poprzerynany przepaściami doły, gdzie niegdzie sterczały lasy suche i powypalane, stosy kamieni ostrych i wydmy piaszczyste, w których brnęli po kolana. Dnia tego przyszło im przebywać

grzbiety gór jakichś, których wierzchy zamiast śniegu pokryte były szkłem śliskiem, potem przepływali wielkie rzeki czarne i przechodzili jezioro, które mroz schwytał wśród burzy, że stężało w ogromne bałwany i dotąd roztopić się nie mogło. Smutno się aż robiło na sercu na widok téj krainy, w której małego ptaszka, ani nawet muszki nie było, a milezenie takie panowało do koła, że słyszeli chodzenie ziemi około swój osi, której tego dnia zapomniano posmarować i mocno skrzypiała.

Niezrażony jednak temi smutnymi widokami i groźną pustynią, królewicz jechał dalej, choć już ludzie jego z nim będący sarkali na ten upor, utrzymując że nie wiedzieć za co karki kręcą i jeden tylko Liziałapa milczał, bojąc się królewicza obrazić i towarzyszków zniechęcić.

Jechali cały ten dzień bardzo długi (z powodu nieposmarowanój osi) bez popasn, ani ludzie ani konie nie sobie znaleźć nie mogli,— i pod wieczór aż dobili się do nieco żyźniejszój okolicy, zarosłój trawą wysoką, a z boku na staje ukazał się im po nad gościńcem pyszny zamek w dolinie stawem oblany, na około którego stojące rogatki,

granice posiadłości ściśle oznaczały. Wysłał więc zaraz znudzony królewicz Liziałę i Motylicę w poselstwie, prosząc aby go podróżnego z dalekich krajów na nocleg przyjęto i na ziemi téj dozwolono przenocować. Chorągiew powiewała na zamku, pan więc był doma, a ze wszystkiego znać było, że królik ten był możny i wystawę a wspańiałość lubił, nie spodziewano się więc odmównéj odpowiedzi.

Wkrótce potém wyjechał też przeciw królewiczowi z trębaczami marszałek dworu, w poście dwunastu pacholików w świeżą i jasną barwę ubranych, i wprowadzono z honorami wędrowca na podwórze, obwiedzione zewsząd złoceniem parkanami. Mury zamkowe świeże się wydawały i dziwnie pofarbowane na wszystkie kolory tęczy. W ganku suto przybrany, jakby od wielkiego święta, król Hetka, królowa Heteczyna, królowna Hetczanka i trzech synów Hetkowiczów, powitali Rumianka i wprowadzili z sobą na pokoje od złota i drogich kamieni połyskujące.

Jedno zadziwiło królewicza, że tu nigdzie nie starego zobaczyć nie było można, wszystko nowe jak z igły i świeże gdyby wczorajsze, a że

pod owe czasy mało się w nowościach kochano, nie mógł pojąć coby to znaczyło, że tu tak wszelkie stare pamiątki zatarto jakby umyślnie.

Tymczasem królewna Heteczauka, której imię było Zrzęda, bardzo mu zaraz w oko i serce wpadła, gdyż choć twarzą nie przechodziła ani Pliszki, ani innych po drodze widzianych, rozumem je prześcigała daleko, a była tak śmiała, rezolutna i dowcipna, że przy niej mu czas dziwnym sposobem niepostrzeżony upływał.

A choć niby mówili tylko o podróży i rzeczach obojętnych, Zrzęda doskonale potrafiła wypytać Rumianka o jego rodzinę, królestwo, majątek, położenie. Nawzajem wygadała mu się, że ojciec jej miał niezmiernie bogactwa i królem był bardzo potężnym; Sam Hetka jednak nie wyglądał na nie osobliwego, był to człowiek—jakby go kto w garści dobrze zmiął a potem puścił—mały, pocięty, twarz tyle tylko, że ludzka, a nie pańska weale, nosa trzeba było szukać ze świecą, a oczów palcami. Trudno też powiedzieć było co jego oczy i usta mówiły. Przy tém dziwnego był obyczajem z ludźmi, gdyż nadzwyczaj się piał i w dumę wzbijał, a zuowu chwilami na sługusa

zakrawał gdy się zapomniął i pokornie się zgi-
nał, jakby chciał wziąć w szyję... Z pod brwi
nawisłych coraz to na córkę spoglądał, która nim
kierowała jak się miał znajdować i mrugała nań
kiedy się miał schylić, a kiedy wyprostować.
W domu też, choć chciało sobie niby po kró-
lewsku poczynać, nie szło to gładko, i wszystko
robiło się nie w porę, nie ładem, ra co Zrzęda
rumieniąc się ramionami ruszała. Sama królo-
wa siedziała mileżąca i do niczego się nie mie-
szała; mówiono, że zakłeta została na dwadzie-
ścia cztery lata, żeby się jéj usta nie otwiera-
ły, gdyż raz wielką jakąś i ważną tajemnicę wy-
paplala przed ludźmi, za co własna córka i oj-
ciec gębę jéj niewidomą klódką zapieczętowali.

Hetka miał to do siebie, że wszystko co
u niego było w domu musiał pokazywać i chw-
lić się każdą rzeczą, więc choć Rumianek był
zmęczony i po podróży ledwie dychał, prowadzo-
no go z sali do sali każąc się dziwować, do-
dając ile co kosztowało. Były tam niektóre o-
sobliwości zapłacone tysiącem szturgaińców da-
nych ludziom pracowitym, inne wartujące trzy
tysiące batogów, inne po tysiąc łez, po półtora

tysiąca westchnień, a niektóre szacowniejsze po dwa i trzy życia ludzkie. Królewicz znajdował je nad miarę drogiemi, ale królowna utrzymywała z uśmiechem, że proste łzy i westchnienia gburów na to są stworzone, aby za nie sobie Hetki kupowali cacka i różne osobliwości.

Strasznie się umęczył Rumianek tym przegładem rarytasów, aż nareszcie nie rychło dano do stołu bardzo wspaniale i suto, ale takie potrawy, których trudno było wziąć do ust, pokazało się bowiem, że Hetki żyli samemi przysmakami dla pospolitych żołądków nie bardzo ponętnemi. Na zupę jadano mléko wielorybie, które tranem trąciło, ale Hetka zwrócił uwagę królewicza, że po nie do dojenia posyłano aż na morze lodowate, potem kotlety z brzuszków węzowych, siekaninę z robaków, pieczone ze starego psa, a na zakąskę pierożki posypywane srebrem i złotem. Wszystkie oprócz tego potrawy zniechęcały tém, że na każdój z nich stała napisana cena, jaką kosztowała... a były szalenie drogie.

Zrzęda siadła przy królewiczu i tak go opowiadała, umiejąc mu pochwlebić, chwając jego ro-

zum, wynosząc dowcip, pozyskując sobie Lizi-
łapę i Waligórę za sprzymierzeńców, że gdy ro-
zeszli się do snu, Rumianek w zachwyceniu od
siebie odszedłszy, na zwierciadełko ani spojrział.

Już się mieli kłaść spać i Rumianek sam pozo-
stał, rozmyślając o wdziękach Zrządy, gdy wszedł
do izby bakałarz, który się u stołu niepokazy-
wał. Był to nauczyciel Hetkowiczów, ten niz-
ko się pokłoniwszy, prosił o posłuchanie u kró-
lewicza, na co się on chętnie zgodził.

— Najjaśniejszy paniezu, szepnął po cichu,
znam ja króla Gwoździka i zaczął familiją wa-
szą, boję się, żebyś tu nie wpadł w zastawioną
łapkę. Wiem, że królewna Zrzęda będzie się
starać usidlić ciebie, a Hetka mieć za zięcia,
ale dopókiś wolny, uciekaj z tych miejsc prze-
klętych. Ja za grzechy moje skazany tu jestem
pokutować przez sto lat, ale nikomu nie życzę
tego co sam doświadczam, bo się tu dzieją stra-
sne rzeczy. A naprzód, potrzeba ci wiedzieć
królewiczu, że Hetka nie dawno sam był wło-
darzem u króla Faraona i okradłszy go uciekł,
królestwo sobie kupił, a sam się królem zamia-

nował, choć jest pochodzenia niewolniczego i jeszcze ma na rękach od żelaza znaki.

Ludzie ci nie mają serca ani litości, ani sumienia, ale wszedłszy w nowy stan niezręcznie tylko małpnią, co im się zda przyzwoitém i wielkiemi słowy plują. Bogaetwa ich choć znaczne wszystkie są z pod spodu nieczystém ezémś, krwią lub łzą pomazane, a wiadomo, że skarby takie do lat kilkudziesięciu w proch się rozsypną... gdyż krew i łza dyamenty przejada. Z tego więc wszystkiego wkrótce smród i proch tylko będzie. Widziałeś ich ndających królów bardzo wspaniale i dumnie, ale doma są inni, i ostatni chłop lepszy od nich; a byle na nich nikt nie patrzył, przebierają się w kozuchy i idą walczyć w błocie. Strzeż się więc królewiczu i uciekaj, dopóki cię nie obalamnei Zrzęda, która tu ma rozum za wszystkich. Litość mnie wzięła nad twą młodością i szyję moją stawiając przyszedłem cię ostrzedz, nie wydawaj-że mnie proszę.

Królewicz obdarzywszy biednego bakałarza ułaskiwał się bardzo i zaraz na świt kazał wszystkim gotować się do drogi, choć był dzień następny przyobieczał zostać. Waligóra i Lizilapa

trochę się starali wstrzymać go, ale woli ulegli, bo Rumianek był gwałtowny i co raz powiedziało od tego nie ustąpił. Do dnia ruszyli z zamku, ale jakoś nieostróżnie, bo się czeladź poprzebudzała, za nią Hetka i cała jego rodzina. A że nie domyślali się, co im sen przerwało, i szmeru się tylko przelekli, powybiegali w kożuszkach, w łachmanach jak się na noc zwykli byli przebierać, odarto i brudno; a Rumianek przekonał się, że bakałarz prawdę mu mówił. Widząc, że im królewicz ucieka poczęli wołać, aby go zwrócić, ale nasz podróżny wiedział o tém, że w podobnych razach, ani się oglądać, ani słuchać nie trzeba i nszy zatykać, poparłszy więc konia drapnął co miał siły, a za nim dwór musiał pójść także.

Zuownu tedy jak wprzód wyruszyli na wielki gościniec i dostali się do kraju wieknistych ciemności, przez który przejeżdżać było potrzeba, gdzie wszystko od wieków spało. Kraj ten bardzo już dawno zastawiony był chińskim lakierowanym parawanem od słońca, a że sprzęt ten był bardzo ciężki i w ziemię wrósł, gdy go tam ustawiano,— nikt go już teraz ruszyć nie mógł.

Podróżowali tedy przy pochodniach i widzieli dziwy wielkie, gdyż w państwie tém, jak co było przed kilkun set laty tak zostało, a sen jak kogo zachwycił, tak trzymał. Ten spał siedząc nade drogą, z kijem w ręku, ów w gospodzie z kwatérką, inny nad księgą, która się w proch rozsypała, inny na roli, którą uprawiał. Żyto spało stojąc na pniu, rzeki spały w wygodnych stawach, powietrze drzémało i ptacy w powietrzu śród lotu zatrzymali się i spali. Nie było sposobu żadném zakłóceniem rozbudzić tego świata, a królewicz obawiając się, aby i on sam i towarzysze jego nie pospali się także, świsnął w piszczałkę na Jagę, która się zaraz zjawiała z ogarkiem w podolku, na starym ożogn.

— Co tu począć, spytał Rumianek— jest tego kraju na cały dzień, albo i więcej, a tu już i tak mi ludzie drzémią?

Baba się mocno zamyśliła.

— Na to, rzekła, rada bardzo trudna, kto tylko idąc stanie, wstrzyma się choć na chwilę, w tył obejrzy, musi zasnąć i stwardnieć na wieki, więc konie pędźcie, uciekajcie, a nieczego tu nie bierzcie, nie dotykajcie i nie jedźcie, bo by-

ście zarazili się snem, z którego ja nawet obudzić nie potrafię.

Usłuchał jej Rumianek, a choć w piersiach ich to oddychanie ciemnościami dusiło, a noc była tak gęsta, że aż bolało się przez nią przeciskać, lecieli co sił stało dalej a dalej, ani na chwilę się nie zatrzymując. Waligóra mieczem wyłamywał drogę, a Motylca rozbijał ją skrzydlami i tak jakoś dostali się do granicy, na której zaraz ściana ciemności się skończyła i konie nawet lby na światłość wystawiwszy prychnęły z radości.

A trwała ta podróż ciężka cały dzień i całą noc, że o samym wschodzie przebyli, ową ścianę, przy której zaraz popasać musieli, bo im konie i ludzie ze zmęczenia padali.

Świat się im wydał taki piękny, jak nigdy po tym mroku mżącym i gęstym, od którego królewicz i wszyscy dostali niesłychanego kataru, a niektóre szkapy nosacizny.

Waligóra i trzysta rycerzy, jak zaczęli kichać, powietrze się wstrzęsło i ogromna nadeszła burza.

Nie była to burza, jakie się dziś pospolicie

na świecie trafiają, gdyż w owe czasy nie się, jak dzisiaj nie działo; zamiast piorunów leciały słupy ognia, zamiast gradu lód kawałami takimi, że go już do lodowni na stawach piłować nie potrzebowano, a czasem zamiast dészczu jeszcze piasek z drobnemi kamykami sypał się jak z worka. Byliby więc wszyscy poginęli niechybnie, gdyby się im obok nie trafiła jaskinia wielka, w której ludzie i konie wygodnie się mogli pomieścić.

Całe to podziemie, choć w niém przez niedoperzów wielkości karnego wołu latające sobie swobodnie, nie nie było, zdało się królewiczowi ręką ludzką, lub duchów wykute i niegdyś zamieszkane, choć opuszczone pewnie od lat tysiąca. Wierzch jego nawieszony był roztopionemi dyamentami, które jak sople w mróz po odeldze wisiały nad głowami, a były różnych kolorów, i wielkie jak do góry duem przewrócone pyramidy. Środkiem jaskini był staw niebieski z rozpuszczonego lazuru, i ten dalszy pochód w tajemnicze głębie tamował, chociaż znać było, że jaskinia ciągnęła się bardzo daleko we wnętrzościach ziemi. Nie było ani czółen, ani

sposobn dostać się wewnątrz, co bardzo bolało królewicza, który się domyślał, że w głębi musiały być gdzieś ukryte skarby. Oglądając wszakże jaskinię baczniej postrzegł Rnmianek, że po nad samém jeziorem w skale wykuta była ścieżka nieznaczną umyślnie obłamami skał pozawalana, która gdzieś w głąb prowadziła, i choć wszyscy mu niebezpieczeństwo na jakie się narażał wystawiali, postanowił udać się nią z Motylicą, dla dójścia do wnętrza piczary.

Napróżno mu Lizilapa przedstawiał, że z łada niedopérzem w drodze się spotkawszy może być strącony w przepaść i wody,—Rnmianek takiego był serca, że się niczém nstraszyć nie dawał.

Wyszli tedy we dwóch i poczęli się drapać ku górze ścieżką w skałach, która ich wiodła dziwacznie się kręcąc, to po nad samém jeziorem, to znów aż pod sklepieniami wysoko. Uszedłszy tak z milę drogi, a łamanymi gałazkami znacząc sobie ścieżynkę, aby nią nazad powrócić, dostali się do wgłębienia, które nagle w dół się spuszczało szybko w przepaści ciemne, i po za skałą szczególnie osłaniającą wejście, uj-

rzeli drzwi żelazne na siedémdziesiąt zamków zawarte. Szczęściem ich to zatrzymać nie mogło, gdyż królewicz nosił zawsze w kaletce ziółko, od którego żelazo pękało, i wnet potarłszy niém zardzawiałe kłódki, pootwierał je z łatwością. Z łoskotem wielkim i przeraźliwym rozwarły się żelazne wrzeciędzie, aż ściany podziemne się zatrzęsły, a wiatr wpadający nagle w pieczarę omało ich nie powywracał. Dopiero, gdy się uspokoiło królewicz wszedł z Motylicą do skarbcu, ale od pędu powietrza światło im pogasło i zostali omackiem w dziurze, mając się już za w pół zginionych.

Nic było czém zrobić ognia, bo Rumianek, który ziółko cudowne nosił w kieszeni, o prostój hubec krzesiwie i siarce zapomniał, Motyliea także...

Że tu szło o życie, a wilgotne ciemności coraz ich mocniej przejmując do szpiku, w mgnieniu oka zastudzały, Rumianek przypomniawszy sobie Jagę zagrał na zmokłej piszczałce. Na próżno... zaszelpotało coś tylko, ale się baba nie ukazała, zagrał raz drugi głośniej i trzeci, aż nad głową swą usłyszał pukanie. Znać czar-

wnica wlecieć do środka nie miała kędy i nie rychło przedrapawszy z góry dziurkę małą, zapytała czegoby żądał?

Zapytanie dowodziło, jak baba była głupia, choć czarownica, bo się sama nie domyśliła niebezpieczeństwa.

— Ognia moja dobrodziejko lub zginę! zawołał królewicz— okrażają mnie i duszą ciemności.

Na to Jaga poradzić nie umiała przez skałę, i życzyła tylko szukać patyków, aby z nich tarciem dobyć płomienia

Królewicz tedy z Motylicą, nie mając innego drzewa ujeli dwa trzonki od bizonów, które nosili za pasem i nie prędzij z nich, jak we cztery tygodnie, jakoś ognia dostali, aby zgasa zapalić pochodnię, ruch i transpiracya nie dały im zginąć.

Przy świetle ukazała się pieczara ogromnie rozległa, a w koło niej rzędami stojące kufry żelazne bardzo porządnie ponumerowane, ale wszystkie z wiekami podniesionemi i puste.

Pełno w nich było tylko niedojdzonych od szes-rów rewersów dziwnych, świadczących, że ze skar-

bu tego wszystkie narody zabrały co mogły, a nikt grosza procentu, ani kapitału nie oddał.

Po długim poszukiwaniu pokazała się tylko jedna skrzynia zaparta, ale że zamki miała dyamentowe, niezmógł ich złamać ani otworzyć nie było podobna. Widząc to, królewicz powiedział sobie, że w niej także musiały być papiéry, lub próżną stała zapewne, boby ją dotąd odbito, lub rozłamano jakimkolwiek sposobem.

Usiłovali dla ciekawości wyczytać niektóre z rewersów pisanych hieroglyfami, gwoździkami, węzełkami i punktami, żeby się coś z nich dowiedzieć, ale nie bardzo je zrozumieć mogli, choć w każdym stało co wziął naród jaki i na co miał obrocić. Zdziwili się tylko ile tam poszło marnie skarbów niezmiernych...

Dłużej już o głodzie i w zimnie lochowém nie mogąc wytrwać królewicz, obiecawszy sobie, że na dyamentowe zamki znajdzie później środek jaki, pomyślał wreszcie o powrocie. Uczuli bowiem oboje i wycieńczenie wielkie i zimno dostające się do głębi, a bali się usnąć w podziemiu, zładby już byli nie wyszli, gdyby się

pochodnie powydały. Nazad tedy przymknąwszy drzwi żelazne, które na zamki zaskoczyły, ażeby wiatrom zaprzéć drogę, puścili się też samą ścieżynką w skałach, ale słabym i zmęczonym powracać było daleko trudniéj i trzy razy na to więcéj niż wprzódy czasu stracili, co chwila padając, takie mieli nogi słomiane, a ołowiane głowy.

Gdy oszczędzsy jezioro powrócili do swoich, zdziwił się bardzo królewicz, w miejscu obozowiska nie zastawszy nikogo; nie doczekawszy się bowiem powrotu zapewne, niewiadomo dokąd odjechali. Niezrażony jednak tém Rumianek, postrzegłszy, że burza już przeszła, a nawet lód, który z nią spadł stopniał i wody tylko wielkimi płynęły strumieniami, po chwili snu i odpoczynku, zakławszy Motylieć, aby nikomu nie mówił o odkrytych kufrach, pieszo z nim w dalszą puścił się drogę.

Więc mn już jako samotnemu podróżnemu ubogiemu, bez przyzwoitego orszaku i towarzyszków, wypadło się tać z nazwiskiem i celem podróży, a szaty na wywrót wzięwszy, miał bowiem tak porobione umyślnie przez nadworne-

go krawca w Stołpeu, że z jednej strony były królewskie, a na nice chłopskie,— o kiju powoli w dalszą wyszedł drogę.

Wielkie znużenie nie dało im zejść daleko, a pod noe Jaga, na którą królewicz zaświstał, wskazała na uboczn jakieś zabudowania dosyć pozorne; udali się ku niemu z Motylicą.

Był to dworzec królika Pęteli bardzo mądrego pana, ale nie mniej potężnego dziwaka i w dodatku nieszczęśliwie dotkniętego kalectwem. Miał bowiem dwie twarze, tylko się starannie ukrywał, i czasem występowała mu jedna, to znów druga na ramiona. Jakiś tam czarnoksiężnik tak go zaczarował i zrobił, że mu się głowa okręcała na karku, tak, że co się położył czasem czarny, wstawał biały, a białym pobywszy, stawał się znów czarnym.

Królik tém był nieszczęśliwszy z tego powodu, że i oczy w tych dwóch twarzach miał takie, które jednego dnia inaczej, nazajutrz znówu całc odmiennie widziały, i co dziś zrobił, nazajutrz odrabiał. W królestwie więc jego działo się bardzo dziwnie i osobliwie, co chwila na-

stępowały zmiany z pieca na łeb, jednego dnia zaczynało budować, i o świcie kazano wzniezione wywracać. Obiecane były wielkie skarby temu, ktoby z téj choroby Pętelkę wyleczył, ale choć bardzo z daleka sprowadzano doktorów i chirurgów, nikt na to poradzić nie umiał, głowa się zawsze kręciła. Jeden mądrzejszy operator dał mu być w chwili, gdy twarz zmieniać się zaczynała, tak potężnie w ucho, że i twarz wróciła i kilka miesięcy Pętka był zdrow, ale, że więcej heroicznego tego lekarstwa zażywać nie chciał, chroniczna słabość po niejakiem czasie odnowiła się.

Królik Pętka miał właśnie twarz białą i serce białe, gdy Rumianek do drzwi jego zapukał, jako prosty podróżny prosząc o nocleg i powiadając się wędrującym grajkiem. Uczył się był bowiem na lirze i mógł z biedy uchodzić za śpiewaka, a w owych czasach daleko więcej szanowano tych, którym Bóg dał dar pieśni i słowa, poeci byli rzadcy i wszędzie ich ze czcią przyjmowano. Prawda, że naówczas dwunastoletnie bębny nie dawały koncertów, a poëzye się nie drukowały i nie sprzedawały w sklepie razem

z pomadą, ale też śpiewak zawsze miał pierwsze miejsce i wszędzie go witano z radością, jak zwiastuna wiosny lepszego świata, jaśniejszych myśli.

Król Pętelka był na biało i wesół, mocno się więc ucieszył z młodego lirnika, którego poprosili na pokoje, a zaraz za nim i jedna z starszych córek Kuka przyleciała ciekawa. Była to na podziw piękna istota, której podobnych i dziś rzadko, cóż dopiero wówczas, kiedy ludzie daleko byli w ogóle na większe rozmiary budowani.

Czarnooka, czarnobrewa, biała, różowa, smukła, gębka, zwinna, zręczna, a co więcej i dowcipna i rozumna i mistrzyni we wszelkich kunsztach, bo śpiewaczka, tancerka, haftarka, siedem razy jedna, i nikt nad nią ani lepiej, ani prędzej nie wykonać nie potrafił. Miała tylko jedną wadę, z której wyleczyć było trudno, kalectwo, które zakrywały sukienki. Zrazu było to dziecko, jak inne i bardzo się nią rodzice cieszyli; ale w piętnastu latach, ni z tego ni z owego wyrosły jej skrzydółka na ramionach, śliczne prawda, różowe, gazowe, złociste, mister-

ne, i nie szpecilyby ją wcale, ale zawsze to był dodatek niepotrzebny. Wstydziła się ich nieboraczka i póki siedziała spokojnie nikt się ich nawet nie domyślał, ale skoro się roztrzpotała, pękały najsilniejsze gorsety, podnosiły się skrzydła i dziewczyna fru! fru! ulatywała pod obłoki; a nigdy nie można było przewidzieć kiedy ci się z rąk wyśliznie i rachować godziny, w której ulecieć może.

Królewicz ukryty pod suknią śpiewaka, gdy ją zobaczył tylko, rozgorzał cały i o mało nie upadł przed nią na twarz i kolana, tak go samym już wzrokiem oczarowała. Cóż dopiero, gdy się zbliżył do niej, gdy z nią rozmawiać zaczął, gdy uśmiech jej twarz rozpromienił, gdy posłyszał piosenkę, ujrzał taniec, a słowa z ust jej płynące weszły do duszy jego.

Mówiono o niej, że ją w kolebce wróżka jakaś piastunka codziennie w łubczyku kapłała, nikt też na nią spojrzeć nie mógł, żeby się w niej nie pokochał, a za dworem zaraz był cmentarz, na którym leżało już półtorasta nieszczęśliwych kochanków, co śmiercią suchotniczą z wzdychania dla niej poginęli. Ona— nie kochała zda-

je się nikogo, ale bałamuciła wszystkich, chciała być wielbioną i pociągała każdego; dawała po troszę nadziei, rzucała pół słówkami i pajęczeniemi niemi opasywała dobrowolnych swych niewolników. A była już z tego sławna, że nikt się jej oprzeć nie mógł, i kto wszedł tylko na próg Pętłki, tego Kuka, starego czy młodego, opętać musiała koniecznie.

Stało się to i z królewiczem, który tego wieczora popisywał się ze śpiewem i zyskał aplauz ogromny, uczuwszy zaraz, że ztąd o swęj sile wynijść już nie potrafi. Kuka sama zresztą prosiła go, aby pozostał jak najdłużej, chciała się uczyć pieśni od niego, potrzebowała młodego lirnika, namówiła ojca, aby gwałtem wędrownika zatrzymał. Nikt nie wiedział wszakże, że to był przebrany królewicz, sądzili go lirnikiem, a nazwał się on Dumką.

Motylica i on oszaleli za królowną, przed którą, że się z tém nie mogli utaić, musiała się z nich śmiać pokryjomu. Nazajutrz raniuteńko Kuka była w ogrodzie, Dumka znalazł się przy niej i przechodzili kilka godzin pod lipami coraz bliższą zawiązując znajomość. Ona go eo-

raz bardziej zdumiewała, on się jój zdawał co chwila więcej podobać. I przebyli tak dzień i pozostali nazajutrz jeszcze.

W wieczór, gdy znowu grali i śpiewali razem, nagle Pętelce wywróciła się głowa, dostał czarnej twarzy i jakoś mu się zaraz ten przybłęda nieznany uwijający tak bardzo około córki, nie podobał— powiedział kilka słów przykrych, które aż zasyczały w powietrzu...

Rumianek eoby od kogo innego i eienia wzgardy nie wzniósł, dla pięknych oczów czarownicy Kuki, udał, że nie słyszy przymówki, że nie rozumie myśli i ani się eheiał z dworu wybierać.

Nad wieczorem rejwach się wielki zrobił poddworem, gdyż jaeyś ludzie przybyli w kilkuset szukając zgubionego królewicza, bez którego rodzicomby się pokazać nie śmieli. Wzięli gdzieś języka, że tamtędy przebrany przechodził Rumianek, i hałasowali dopominając się o wydanie jego. Królewicz domyślił się, że to byli jego towarzysze i ukrył się na poddaszu, aby go Waligóra nie znalazł, i nie uprowadził od

królewnój. Nie wiem czy z tego powodu odgadnięto co czy nie, dość, że Pętelka nie wygnał Dumka Lirnika, a ludzie legli obozem podedwo-rem, na wszystkie strony wysyłając zwiady po straconego królewicza, który tymczasem u nóg swój pani grając na lirze, dnie całe przepędzał pijany.

Im dłużej z nią przebywał, tém namiętniej przywiązywał się do niej, czując, że mu serce zabiera do ostatka, i że go nawet dla ojca i matki nie zostanie... I to go nawet zrazić nie potrafiło, że Kuka miała dwunastu starających się o jój serce i rękę, którzy przybywali z kolci każdy w inną godzinie, otrzymywali po wejrzaniu, uśmiechu i słowie i pokarmieni nazad wracali.

Żołd ten regularnie był im wypłacany.

Biédny Dumka siedział, płakał i kochał, a gdy wypadkiem spójrzył w zwierciadło ujrzał je zamglono bardzo, zciemniałe i ledwie po kilku chwilach uważnego przyglądania cienie w nim rodziców i Lali ukazywały mu się jeszcze...

Groziło widocznie niebezpieczeństwo, ale od Kuki odstać było nie sposób, a ile razy tłum-

czek zabrawszy chciał odchodzić, zawsze się ona jakoś dowiedziała, wyrzała oknem, kiwnęła paluszkami, i chłopak złamany powracał.

Tydzień za tygodniem upływał, ludzie go wciąż po okolicy szukali, on się krył jeszcze, wreszcie, gdy stary Pętelka coraz częściej stając się czarnym niegrzecznie się go pozbywać zaczynał, postanowił przyjąć u niego obowiązek i służbę bodaj pastuszą, aby tylko nie być wypędzonym.

Jednego tedy rana, gdy mówiono, że twarz pobiciła, poszedł prosić, żeby go przyjął.

— A ty mnie do czego? spytał Pętelka— albo to ja śpiewaka potrzebuję? córka mi śpiewa? słowiki mi śpiewają darmo, żebym ci jeszcze za piosenki płacił i... niedoczekanie twoje...

— No, to dajcie mi co innego robić?

— Chyba będziesz trzodę Bazyliszków paść...

Królewicz się bardzo zafrasował, gdyż wiedział, jak to było niebezpiecznie z temi stworzeniami, ale już miał przystać i na to, gdy Waligóra, który go w téj chwili oknem najrzał z podwórza, wpadł z łoskotem na pokoje.

Zdziwienie było wielkie, gdy się dowiedzieli,

że królewicz chciał dla Kuki pastuchem zostać... ale go wnet zaczęli inaczej przyjmować, a że król Gwoździk miał sławę bardzo potężnego mocarza, syna też otoczono czcią, jakiej dostojność wymagała; i poczęto od tego, że go siedem razy okadzono do koła bursztynem i piżmem, aby z niego Dumka lirnik wywietrzał.

Zjawiała się zaraz Kuka śliczniejsza jeszcze niż kiedy, odprawiwszy swoich dwunastu wzdychaczów i wejrzała na Rumiauka tak, że nieborak o mało nie omdlał, przybyły świeżo Lizitapa wtórując uwielbieniu pana pokłękł i udał, że traci przytomność, co mu jednak później nie do dobrego apetytu przy śniadaniu nie przeszkodziło.

Wyszli później samowtór do ogrodu, i tu już z Lirnika na królewicza awansowany kochanek upadłszy na kolana wyznał pannie swą gorącą miłość, co ona przyjąwszy z uśmiechem odpowiedziała, że pomyśli i za rok mu da stanowczą rezolucję. Bardzo to zmartwiło biednego Rumiauka, który chciał się zaraz nazajutrz żenić, a przynajmniej mocno zaręczyć, ale skwaszona jego mina rozśmieszyła tylko Kukę, która za-

cząwszy się śmiać z niego ogromnie furknęła i poleciała.

Gdy tak osierocony przez bałamutkę królewicz pozostał na klęczkach przed starą wierzbą, która tam stała, nadbiegła do ogrodu młodsza siostrzyeczka Kuki i ulitowawszy się nad nim, oznajmiła mu na ucho, żeby daremnie nie się nie spodziewał, gdyż Kuka przed rokiem przyrzekła jednemu, przed sześciu miesiącami, drugiemu, dwa miesiące temu zaręczona została, dziś jemu zrobiła nadzieję, a sześciu ma zapasnych, i nie pójdzie chyba za takiego, który jej da na piśmie przed notaryuszem, że latać pozwoli ile zechce i skrzydeł nie poobeina.

Dokąd zaś latała o tём nikt nie wiedział.

Młodsza siostra dawała też do zrozumienia Rumiankowi, chude jeszcze pokazując mu ramionka, że skrzydeł nie ma wcale, i że z nią bezpiecznieby się mógł ożenić.

Waligóra, który na to nadszedł nastawał tak-że na królewicza, żeby niekał, i mglistą osłoną pokrywające się zwierciadelfko wskazywało niebezpieczeństwo, ale królewicz oddalić się od czarownicy nie miał siły.

Widząc, że inaczej nie będzie, Waligóra z pomocą ludzi płaczącego i wyrrywającego się posadził na koń, przywiązał jedwabnym sznurkiem, oczy mu kapturem zasłonił, i puścił się z nim galopem szeroką drogą, choć Kuka za niemi wołała, śpiewała i płakała.

Motylica pozostał tam przy dworze Pętelki, bo go z sobą wziąć zapomnieli.

Nie rychło po tym szale królewicz oprzytomniał i przyszedł do siebie; dopiero w nim jakoś obudzili wznioślejsze uczucie przypominając bohaterski cel jego podróży, i niebezpieczeństwa i oddalenie i rady Gwoździka.

Gdy znowu jadą a jadą ciasnym wąwozem, dostali się do ogromnej doliny zewsząd opasanej górami, którą zwano Kościelisko. A była ze wszech stron zamknięta i otoczona zielonemi gajami poroślemi na gór bokach, a cała jej ziemia usłana kośćmi, jak śnieg wybielałami. Było to bowiem cmentarzysko wszystkich świata zwierząt, które poczuwszy zbliżającą się śmierć, ze wszech stron świata przybywały tu umierać od początku ziemi aż po dzisiejszy dzień. A było

tam milion milionów skieletów, i ani jednego stworzenia żywego, ani komara w powietrzu. Sam oddech tutejszém powietrzem nie żywił, ale umarzał, wszyscy poculi w sobie jakąś ochotę do snu, i gdyby nie Waligóra byliby posiadali na spoczynek i zawarłszy powieki poumierali. Ale Hetman zaciął konie i przelecieli po chrześzczących kościach dolinę na wylot, trafili w wązki przesmyk i dostali się na drugą stronę szczęśliwie. Tu siedział Cerber, ale siedząc darmo na pół zdechł i rozsypał się w proch; z siedmiu głów jego jedna tylko trochę się ruszała i w téj miał widać fluxią, bo się podwiał chmstką bawełnianą i kasać nie myślał nikogo. Ujrawszy podróżnych, chciał nawet z uszanowaniem zdjąć przed nimi szlafmycę, ale tak był już osłabiony, że nie mógł, i na zapytanie królewicza o drogę do żywiącej krynicy, wskazał tylko gościniec.

Według wszelkich obliczeń, byli już bardzo niedaleko cudów do których tak długo dobijali się podróżą, ale tu dopiero spotkać ich miały wedle powieści przeszkody i niebezpieczeństwa największe, choć z pozoru kraju weale się na

to nie zanosiło. Wszędzie do koła spokojnie było i wesoło, olbrzymów ani śladu, jednym jeden co się znalazł, został przewoźnikiem i po dydku biorąc przenosił podróżnych na drugi brzeg przez rzekę, co i z ludźmi królewicza i z końmi zrobił bardzo zwinnie, a jeszcze mu coś narzucili na piwo.

Zaraz na przeciwniej stronie stała gospoda murowana i ludu przy niej zgromadzonego było wiele, ale gdy się Rumianek począł dowiadywać o źródło i jabłoni, wszyscy się spojrzawszy po sobie rozśmieli znacząco, rękami mu wskazując blizki las i ramionami ruszając.

Nikt mu nie powiedzieć nie śmiał.

Szeroki i bity ztąd wiódł gościńiec, ludu nim wlokło się co niemiara, a wybierano od nich piętowego poboru tylko po groszu, przy tém od każdego ezuba nastrzępionego po groszu, i od tych co staroświecką modą nosili jeszcze ogony, po groszu od chwostu. Ten zwyczaj noszenia przyczepianych farbowanych różnie ogonów konskich z tyłu już zaczynał przechodzić, niektórzy jednak odziedziczywszy po ojcach gotowy

strój ten, porzucać go nie chcieli, choć nie bardzo był wygodny.

Ujchawszy spory kawał drogi, na wysokiej górze znaleźli ogromną ową jabłoń, która miała rodzić złote owoce, opasaną teraz szczelnym częstokołem, i ludzi którzy nie tylko, że do niej nie bronili przystępu, ale owszem zapraszali przybyłych. U furtki siedział żydek, który ją trzymał w arendzie i owoce sprzedawał. Pokłonił się nisko królewiczowi i przyniósł zaraz cały talerz.

Ale jakże się zdziwił Rumianek, gdy ujrzał wzięwszy jedno z jabłek w rękę, że to była prosta tyrolka listkiem złota oblepiona dość niezgrabnie... o mało nią w oczy żydowi nie rzucił, tak się strasznie rozgniewał.

Arendarz cofnął się kilka kroków.

—N. Paniezu, rzekł kładąc ręce za pas dla dodania sobie powagi— wola pańska. Kupić nie kupić... ale na co się bić? Jabłoń już od stu lat nie rodzi, my za nią przecie płacim, musimy sprowadzać tyrolki i tymczasem choć tym handlem na swoje wychodzić. Zresztą... niech ja-

sny pan zrobi kontrakt, a pierwsze jabłko co dojrzeje będzie dla jasnego pana.

Królewicz spójrział w górę... jakże nieboraka miała rodzić, kiedy suchą była oddawna, a parę listków z zielonego papieru, żydek tylko poprzyczepiał dla oszukania.

Splunawszy więc, i niedozwoliwszy znęcać się nad arendarzami, których towarzysze królewicza, poturbować chciaeli, odjechał rozczarowany wielce podróżny. Zamtąd już kilkaset kroków tylko było do żywiącego źródła, ku któremu żydki pomimo niegrzecznego z niemi obejścia chętnie pokazali drogę...

Przebyli lasek, dolinę, i wdrapali się na dosyć wysoki brzeg gliniasty, na który wyjeżdżając usłyszeli już wielki szum wody, jakby na łotokach.

Stanąwszy na pagórku królewicz ujrzał ze zdumieniem widowisko, jakiego się nie spodziewał: źródło opasane było także ogrodzeniem, i na wszystkie strony ciekły z niego strumyki, najdziwniej użytkowane. Jedne obracały młynki, tartaki i hamernie, na drugich pozakładano praczkarnie

dla rodu ludzkiego na wielką skalę, inne użyto do kotłów jakichś, w których się jedzenie warzyło, do mieszania gliny. A że woda ta miała własność, że wszystko czyniła co chciano, a siłę miała w sobie nieprzełamaną—niestety! zamiast użyć jęj na cel inny, ludzie ją po swojemu obrócili na najpodlejsze użytki. Źródło jak jabłoń było od dawna wydzierżawione towarzystwu akeyonaryuszów, a ci panowie sprzedawali je na co kto chciał i życzył, byle grosz wyciągnąć, nie troszcząc się wcale, jak się woda obróci, choćby w najbrudniejsze pomyje. Jedni się w nięj myli, żeby byli piękni, drudzy pławili konie, żeby je drożęj sprzedać, inni wymywali plamy z zabrukanych szat młodości... nikt już nie pił tęg wody i nie czuł do nięj pragnienia. Zafarbowana, zamydlona, śmierdząca, zawalana ohydnic, wstręt wzbudzała tak wielki tłum w nięj się babrał... a czysty jak łza strumyk nieopodal od krynicy zmienił się w błotnistą kałużę.

Źródło żywota stało się sadzawką nieczystości. Królewicz ujrzawszy to rzewnie zapłakał, a gdy mu żydek w podejrzanęj szklaneczce przy-

niósł do napicia zaczerpniętego napoju, odepchnął źródlaną wodę, zsunął się z konia bezsilny, rozkazał rozbić namioty.

Może oddalenie od Kuki, może zmęczenie podróży, czy inne powody takim smutkiem serce jego przejęły, że mu się życia, przygód i wszystkiego odechciało... Upadłszy na ziemię ledwie do niej głowę przyłożył, usnął snem twardym i głębokim.

Gdy się przebudził i otworzył oczy, nie rychło mógł się opamiętać i przypomnieć, gdzie się znajduje i co go otacza,— dwór cały spał jeszcze, słońce świeciło jasno, a u źródła kręcili się już kupczyki i przekupnie roznosząc wodę w wiadrach, cebrzykach i kubkach.

Na duszy dziwnie tęskno zrobiło się królewiczowi, mimowolnie przyszedł mu na myśl chybiony cel podróży, daremnie opuszczony dom rodzicielski, Stołpiec, ojciec, matka, śliczna Lala z uśmiechem na ustach, zielone lasy okolicy, szereg łaki kwiatami usiane, i spokój którego od niepamiętnych czasów państwo króla Gwoździ-ka używało. Wyjął zwierciadło i spójrzął

w nie, a tak wpatrzywszy się zadumał, że o wszystkiém eo go otaczało zapomniał.

Liziłapa widząc zkąd wiatr powiał, stanął na ustroniu i jął sobie wdychać i oczy przecierać, udając także żal wielki po domowej strzesze, której nie miał i krewnych, których nie zostawił.

— Otóż i podróż nasza skończona, rzekł przeciągając się Waligóra, dalej już nie wiem dokądby i po co? Zródło żywota w arendzie u żydów młyny obraca, złota jabłoń uschła, skarby ktoś przed nami zdobył, olbrzymi śpią, Cerber na fluxyą chory... trzeba powracać do domu!

— A! do domu! do domu! zawołał Rumianek, bo widzę jasno, że nie wiem czegośmy po świecie szukali... gdy wszystko czego dusza i serce pragnąć mogą tam jest! nawet...— dodał wahając się i rumieniając— czyż nasza Lala nie śliczniejsza stokroć od tych, któreśmy po drodze spotykali?

Liziłapa z rozczeniem potwierdził to zdanie, utrzymując, że to było zawsze głębokiém jego przekonaniem wewnętrzném.

—Więc cóż dalej? zwijać obóz i do domu powrócić!

—Gdyby jaka jeszcze bliższa się droga trafiła! dorzucił ktoś z ludzi wzdychając.

—Ale jest-że jaka?

—Mnie się zdaje, że być musi, odparł zagadniony, jechaliśmy bardzo krężno, a żydek z pod jabłoni powiadał, że ztąd na proszki do Stołpca półtora tylko dnia drogi.

—Czyżby to być mogło! krzyknął uradowany Rumianek...—jak to? a te kraje, przepaście, wąwozy, doliny, góry—wszystkośmy więc nadaremnie z takim trudem przebywali?

—Może... aby nabyć doświadczenia, zapracować na tęsknotę i lepiej ocenić co się w domu porzuciło! rzekł Waligóra.

—A więc w drogę i do domu—zawołał król Lewicz niespokojny...—jednego się tylko teraz lękam, czy tam wszystkich zastaniemy szczęśliwych, zdrowych... żywych... i czy mi kto Lali nie porwał! dodał po cichu.

—Pokochałem ją, myślał w duchu, dopiero przy rozstaniu, a teraz czuję, że rozpadam się

za nią, że bez niej żyć nie mogę... że ona jedyna życiem mojem.

Siedli więc co najspieszniej na koń i przez grobelkę, którą tam żydzi nosząc ziemię ze starego cmentarza na stawie od źródła żywota usypali—puścili się nową i krótszą drogą do królestwa Gwoźdźkowego.

Była to droga czysto-poleska, przez bory i brody, ogromnym lasem sosnowym wiodąca, kręta, smutna, ale dla nich weselsza od pierwszej, bo do domu doprowadzić obiecywała. A choć w tém pustkowiu piaszczystém nie widać było żywej duszy, królewicz jechał wesoło i rażno, dopytując tylko jak jeszcze byli daleko?

Bardzo się zdziwili, gdy nad wieczór wybrnąwszy z lasów postrzegli na uboczu znajomy już sobie kraj w sąsiedztwie Stółpca będący i na dzień drogi tylko od niego oddalony.

Poznali go zaraz po wielkiej fabryce królika Nowaka, który tam miał młyn, kuźnię i co by-ło potrzeba do przerabiania starych na młodych ludzi. Nie zawsze mu się to udawało i wielu bardzo, nieostróżnie sobie z niemi poczynając,

gdy przychodziło do przyszurowywania głów i przystawienia serc, życia pozbawiali... bo ich już potem żaden balsam wskrzesić nie mógł— ale jednak tłum był zawsze wielki pacjentów i odbył we młynie znaczny, a przedpotopowy niemieccy sprowadzony umyślnie zajmował się preparacją i dzierżawił instytut Antropoiczny, (jak go nazwał) po kilkuset z niego ludzi wypuszczając całkiem odmiennych od tych jakich przyjmował do przerobienia. Niektórzy z nich powracali do domów tak doskonale zapomniawszy wszystkiego swojego, że niepoznawali potem rodziców i krewnych, brzydzili się krajem i nazad do owego Niemca na buterszmity i fasolę powracali.

Przerabiano tam ludzi w różny sposób i na rozmaite ceny, odmładzano tandetnie za małą opłatę lub staranniej, gdy kto sypnął, a za znaczne quantum robiono nawet co się nazywa wielkich ludzi z lada trutniów i gałganów na nieprzydatnych.— Niemiec był dziwnie sprytny.

Zdała jednakże od tego Laboratorium stanęła obozem nad rzeczulką, aby kogo pokusa nie wzięła dać się przerabiać, a królewicz dobywszy zwierciadółka, którym się i w podróży pocieszał,

cały wieczór w nie patrzył wzdychając do Lali, a dziwując się, jak był ślepy, że się na nią wprzód nie poznał i tyle czasu stracił próżno, gdy życie tak krótkie, młodość tak niepowrotna... a szczęście tak drogie!

Liziłapa potwierdzał to z zapalem, Waliğdra zaś uczynił uwagę, że się téj nagle wezbranej miłości niebezpiecznie było poddawać, bo wiecec jest rzeczą wątpliwą czy król Gwoździk pozwoli na małżeństwo z córką szewca-partacza, który chociaż był królem, ale bardzo dawno, i królestwa się pozbył niepowrótnie. O tém słuchać nawet nie chciał królewicz pewien będąc, że przez matkę sobie wymodli u rodzica zezwolenie na małżeństwo z piękną Lalą.

Jak świt ruszyli z obozu dalej ku państwu Gwoździkowemu, w którego granice tegoż dnia wjechali, dziwnym trafem napadłszy na dawny gościniec i na nim zaraz spotkawszy się z Motylicą powracającym z miłą smutną i nosem spuszczoneym, bo mu na ostatku królowna Kuka o mało dla zabawy oczów wyłupić nie kazała. Wieczorem grywano w ciuciubabkę, a pauna lubiła do téj gry używać Motylicy, stał się jój

jednak podejrzanym wkrótce, że nie dosyć sumiennie chustkę sobie zawiązywał, i chcąc go na wieki zdolnym do téj zabawy towarzyskiej uczynić, bez użycia zasłonek i innych przydatków, Kuka mocno naglić nań poczęła, żeby sobie dał oczy powyjmować. Widząc, że to nie są żarty, że panna płacze, a ojciec nogą tupie, Motylec uciekł co tchu od nielitościwej psotnicy.

Gdy z za lasów ukazała się nareszcie stolica, zamek i wysoki Słotp murowany, znane miejsca drogie i powiało od nich wonią domową, królewicz łązy w oczach mając, z radości popędził konia i nim reszta towarzyszków podążyć za nim mogła stanął u ganku, w którym siedział właśnie w chłodku król Gwoździak rozmawiając z włodarzem, królowa przy kołowrotku, i Lala niżąca paciorki. Zdumieli się niezmiernie i krzyknęli ujrzawszy go rzucając się ku miłemu gościowi... Matka długo trzymała go w niemym uścisku, Lala płoniła się jak wiśnia, a stary król wycelowawszy go spytał zaraz, gdzieby były zdobyte skarby, czupryny olbrzymów zwyciężonych i łupy podróży?

— A! ojcie kochany, rzekł smutnie Rumianek, olbrzymi pokamienieli, Cerber siedzi w szlafmycy, królowny noszą włosy przyprawne, źródło życia w arendzie u żydów obraca tartaki, jabłoni sucha... a co gnzów dostaliśmy to przy nas... Żadnej niestety! nie przywozimy zdobyczy prócz tej smutnej prawdy, że człowiek daleko za szczęściem chodzić nie powinien, bo go zawsze ma w sobie i przy sobie, byle na nie zapracować umiał.

Ojciec tedy posadził kawalera, aby mu zaraz podróż swą opowiadał, a matka pobiegła go nakarmić bardzo będąc niespokojną czy nie wygłodniał w drodze... Lala popatrzała nań zdaleka nie śmiało i on ją gonił nienastannie oczyma, aż stary Gwoździak to postrzegł i brodę portargał, bo mu się to nieprzyzwoite oczkowanie niepodobało.

Rumianek znalazł Lalę piękniejszą stokroć niżeli porzucił i widywał w zwierciadełku, tak wykwitła ślicznie pod dachem rodzicielskim sierota.— Król Ćwieczek bowiem obchodząc jakąś uroczystość z szwecami zwołanemi na wielki sejm, dla postanowienia prawem, ile skórek miano na-

szywać w obcasie i gwoździ zabijać w podeszwę, gdy się giełda rzemieślników żadną miarą na to zgodzić nie mogła, chciał sobie w tém absolutnie postąpić i sam rozstrzygnął drażliwą kwestyę, powstała nań opozycja, rozruch, krzyk, wrzawa, Ćwiczek przy swoim stał, rozgniewał się i z oburzenia zachorowawszy, umarł. Przyjaciółka jego klucznica wstąpiła do czarownice, które miały nowicyat w miasteczku pod Łysą Górą i sposobiła się już na gotowanie miłośnych eliksirów dla drugih, sama ich nie mogąc zażywać, bo nie skutkowały; królowa więc Dobrochna Lalę wzięła do siebie.

Gwoździk, pamiętuy że zmarły w szewstwie Królik był jego bratem, i że wypadało go jakoś uczcić zabrawszy mu królestwo, sprawił bardzo wspaniały pogrzeb, kazał go spalić na cyamowym i lawendowym stosie, serce zaś na osobnym zgłiszczu z waniliją i gwoździkami; i na mogile Ćwiczka, wedle obyczaju tamtego kraju, wystawił kolos złocisty w kształcie wielkiego ćwiczka, na pamiątkę ostatniej professyi zmarłego i pierwotnych przeznaczeń, kładnąc na piedestalu złoty but i berło strzaskane.

Lala więc była sierotą, a w grubój żałobie Rumiankowi wydawała się anielsko piękną; żadna z tych królewien, które widział po drodze i w których się po kilka godzin kochał, wyrównać jej nie mogła... pożerał ją oczami, klękał przed nią wejrzeniem, a ile razy wzrok na nią obrócił, biedne dziewczę oblewało się krwawym rumieńcem.

Stary król, który się czasem nudził nie mając co robić, bardzo był rad z rozrywki jaką mu sprawił syn opowiadaniem przygód podróży, której dziwniejsze wypadki przytomny Liziłapa potwierdzał natychmiast gwałtownym przysięg wylewem. Gniewał się tylko nieco, że żadnych pamiątek i zdobyczy nie przywieźli, i tak odartopopowracali, że zaraz musiano nowy kubrak zadysponować dla Rumianka. Gwoździak sam z pod klucza wydał na to niemieckiej purpury trzy łokecie habilońskie i kilkadziesiąt łokci galonów. Konie też po większej części szwankowały, królewiczowski kulał, Waligóry dostał dyhawiey, Liziłapa swojego spleczył, trzechset ludzi i szkap niedostawało... co także królowi Gwoździakowi dość

było markotno, choć zdaje się że więcej koni niż ludzi żałował i z tém się nie taił.

Otóż koniec prawie naszój bajki,— Rumianek powróciwszy do domu, mocno zapragnął się ożenić, ale poprzysiągł sobie że z nikim innym jak z Lalą, ku którój dzień za dniem coraz strzelistszy afekt go napadał. Biedził się tylko jak się do tego przyznać przed rodzicami i swoje im postanowienie oznajmić.

Ale oko matki troskliwe, wcześniej niż się spodziewał tę tajemnicę odgadło, a że i ona kochała Lalę jak dziecko własne, uśmiechała się tylko czekając rychło li jój syn się przyzna. Domyślała się wprawdzie ze strony Gwoździka niemałych trudności, ale nie wątpiła że je pokonać potrafi. Umiała bowiem tak sobie z nim poczynąć, że choć niby najniższą była służą, zawsze jak zaśpicwała tańcować jój musiał. Nie zrażało ją to, że się zrazu zapérzył i pogniewał, i fuknął i tupnął i brodę potargał i oczy zrobił straszne a gębę rozwarł jakby miał pół królestwa zjeść na zakąskę;— wiedziała że się ta burza uśmierzy, i król w końcu gdérząc i plując robi co mu każą.

Tymczasem Lala i Rumianek chodzili wieczorami po ogrodach rozkwitłych, bo to był wiek taki, że w królewskich wirydarzach wieczna panowała wiosna i drzewa z jednej strony rodziły, z drugiej zbierały się na pączki... Kochankowie choć nic prawie nie mówili sobie, oczy ich i serca dobrze się rozumiały. Rumianek był szczęśliwy, niepokój tylko o przyszłość go zatrważał, ale sobie postanowił że jeśli mu król żenić się nie pozwoli, pochwyci Lalę gwałtem, ożeni się potajemnie i uciecze z nią na kraj świata, choćby na samą krawędź ziemi, w lesie gdzieś, w chatce, na pustyni prowadząc życie karmione orzechami, miodem, powietrzem i miłością stateczną.

Zbliżyła się nareszcie chwila stanowcza, królowa widząc ich tak gruchających, przekonała się, że bez jej pośrednictwa nic z tego dobrego nie będzie, i nie mówiąc nic synowi, gdy jednego wieczora siedzieli z królem przy cedrowém łuczywie, gdyż świece palono tylko od gości,—zagadła Gwoździka o tém jak to się Lala i Rumianek kochają.

—A to bardzo dobrze, że się kochają, rzekł

król dłubiąc w zębach, bo to by było wielkie nieszczęście żeby się nienawidzili.

—Ale oni się bardzo... bardzo kochają.

—No to cóż? spytał Gwoździk, którego widać w ciemię bito, bo się nie łatwo czego dorozumiewał—niech się bardzo kochają...

—A gdyby się pobrać chcieli?

—Co? co? I król porwał się, poskoczył aż zydel, na którym siedział, wyrócił, tak buelmał gniewny.—Co? Ślicznie go jejmość żenisz! Córka brata, to prawda, ale goła jak święty turecki (zdaje się że już wówczas byli w Turcyi i święci i golizna) a w dodatku... szewcówna! Mój syn, dodał, musi najmniej jedno królestwo dobrze zagospodarowane wziąć w posagu, i dać mi sprzymierzeńca silnego, gdyż chcę przed śmiercią zawojować z parę kraików, czemu sam nie podołam, bo mi się ludzie rozleźli.

Królowa z wielką flegmą ruszyła tylko ramionami.

—Chesz go uczynić nieszczęśliwym? no! to dobrze, będzie po twój woli.

Zamilkła potem, był to najlepszy sposób, Gwoździk milczał także ale niespokojny.

Nazajutrz począł koso patrzeć na Lalę i syna, a wieczorem spytał znowu:

—No, to Asińczka powiadasz że się kochają?

—Co to już o tém gadać! odparła z westchnieniem Dobrochna, posłałam po wróżki, bo Rumianek słaby, kazały mu pić ziele na zapomnienie, a jedna z nich obiecała przynieść grabki z niedopérza zjedzonego przez mrówki, dla odpędzenia téj miłości od chłopca... bo dziecko usycha.

—A czemuż kiep nie gada? zawołał król.

—Bo nie śmie...

—Ma słuszość, nigdybym na takie głupstwo nie pozwolił.

Trzeciego dnia z naprawy królowej, Lala zawiązała węzełek swoich manatków i przyszła Gwoździka pożegnać.

—A to co? spytał król— gdzież to się acpanna wybierasz?

—Idę służyć, szepnęła... cóż tu darmo chleba W. K. mości będę jadła?

Król brodą się przewiązał i wása targnął.

—Ot siedziałabyś głupia, kiedy ci dobrze! rzekł gniewnie. Ani mi się waż!

—Cheę pracować!

Król spójrzał na jęj rączki drobne, na nóżki małeńkie, na oczki zapłakane, posłuchał głosu łkań i łez pełnego, coś mu koło serca zakręciło.

—Mówię ci siedź, dodał, ani mi myśleć o tém.

W duchu poczęło go już gryść, że jęj się także coś z tego zawojowanego po ojcu królestwa należało.

Znowu tedy wieczorem gdy siedli, powiada Dobrochnie.

—A ta głupia Lala wybiera się jak czajka za morze.

—Ma służbę, obiecano jęj korzec pereł co roku i kwartę dyamentów u króla Samona, za to tylko, żeby w oknie stojąc świeciła ogrodowi oczyma a kwiatkom rosnać pomagała. Służba dobra, niech biedna dziewczyna na posag zarobi.

—Albo to ona nie nasza krew, żeby iść miała służyć niewiedzieć komu jak prosta dziewczyna?... Ludzie na mnie kamieniem rzucają, rzekł król... Toś to jęj się i tu coś da... gdy za mąż będzie wychodzić...

Królowa milczała a Gwoździk dalej:

— Ot, jeszczeby i Rumianek za nią gdzie służyć poszedł za kucheika...

— On już o tém mówi nawet, dorzuciła Dobrochna, król Samon chce go wziąć do swęj przybocznej straży, złożonej z najdoborniejszėj młodzieży jeżdżącėj na orłach. On ptasio dobrze słyshę jeździ...

Król się mocno zapérzył, a jak tupnął nogą aż ziemia pękła, ale się zaraz pomiarkował żeby szkody nie robić i umitygowawszy się, posłał jar zasypywać parobków z ekonomem.

— Już ja wiem co to znaczy, dodał ochłównawszy— niech się sobie żenią... i kwita... ale...

— Gwoździeczku kochanie, całując go szepnęła królowa, niech się lepiej nie żenią, kiedy cię to tak gniewa...

— Gniewa? nie... alebym wolał co innego! To mnie tylko pociesza, że im nie nie dam prócz futoru na piaskach, w którym będą mieszkali i ordynaryi na utrzymanie... niechaj biedę klepią!

— Jak twoja wola i łaska!...

I tak królowa Dobrochna skleila nareszcie małżeństwo, a w dziesięć dni potém wyprawiono im

weselisko wspaniałe, huczne, szumne, na którym
ja byłem, miód i wino piłem, po brodzie ciekło,
w gębie nic nie było...

Plaudite!

Tak skończył czytanie Konrad.

—A dalipan! zakrzyknął Teofil leccąc uścisnąć
autora powieści, tegom się nie spodziewał... Tyś
się z Rózią Piłsuciówną ożenił i śliczną bajkę
napisałeś w dodatku... dwa razem cuda?

—Ożenił się z Ruzią! dodali towarzysze chórem.

—Tak, podchwycił Longin, a ze spowiedzi
wykręcił się sianem i wyklamał... Gdyby mu
prawdę całą jak było przyszło śpiewać przed na-
mi, nicraz by się zadławił.

—Ale jakże to było! na Boga, jak to było,
Konradzie? Spytał Cyryll.

—Słowo w słowo jak w bajce, z tą różnicą,
że w niej myśli i uczucia splątały się i splotły
z wypadkami i uczynkami... zresztą nic ma tu
nic czegobym ja mniej więcej na jawie nie wi-
dział i nie doznał.

Trzeba tylko do bajki dodać mały komentarz nieprzerwany, a wszystkie tajemnice się wyjaśnią i bałamuctwa okażą rzeczywistością.

— A wieleż masz dzicci? zapytał Longin.

— Jak zwykle w bajkach, dodał Konrad— już ich jest sześcioro, nie sędzę jednak żeby rachunek miał być skończony.

— Szczęście jednak jakiego doznajesz, rzekł Longin, wybiło ci zęby i dobrze wytarło czuprynę!...

— Ha! cóż robić! *Homo sum, humani nihil a me alienum puto!* westchnął Konrad.

— Słowa są Tereneyusza, dodał Cyryl, na pewno— chociaż je i innym przypisują.

— Nic można zaprzeczyć, dorzucił Albin, ażeby nas tą powiastką nie rozerwał... jest talent!

— Chyba talencik... talenciczek, talenciątko! przerwał Longin... ale co za chaos!

— *Opus tumultuarium!*

— Jam też nie pisarz, wymawiał się Konrad— do autorstwa pretensyi nie mam, bawiłem się sobie tylko.

— A nam przerwałś wyznania czéms przynajmniej nie tak pospolitém... *molle atque facetum,*

za cośmy ci wdzięczni, bo któż wie jakie jeszcze nieklassyczne tragedye oczekują nas w dziejach Jordana, Cyrylla, Teofila i Baltazara?

—Za pozwoleniem, zawołał milczący Dr Baltazar—ja wcale nie wiem czy jestem do spowiedzi obowiązany, siedmin was związaliście się juramentem, jam tylko służył za świadka.

—Ale się przecie od ogółu nie odstrychniesz! Jużciż kto cudze je, ten i swojém częstuje...

—Różnie to bywa... najczęściej przeciwnie.

Gdy tak gawędzą, drzwi od drugiego pokoju otwarły się szeroko, a przez nie jasność i woń razem rozkoszna buchnęła z przyległej sali, z której ukryta za wazonami muzyka zagrała unty znaną pieśń akademicką:

Gaudeamus igitur juvenes dum sumus.

Znacież wy czytelnicy kochani tę pieśń tradycyjną sięgającą może XIIgo lub XIIIgo wieku, tyła wesołych pokoleń usty powtarzana? Któż z niej wie nad jedną strofę... a jest ich tyle i tak wyrazistych! Utwór to nie jednego upojonego studenta, któremu życie zaszumiało w głowie i w piersiach zawrzało, ale ich przez lat kilkaset

nie wiem wielu po słowie i wykrzyku na ten hymn młodości się składali... Jest też w nim wszystko co być powinno w piosnce pierwszy raz wyswobodzonego dziecięcia, które pije z długo odmawianego kielicha życia...

Nutą téj znanéj pieśni gdy zagrały pokoje, wszystkie piersi wspomnieniem zadrzały, nie jedna łza błysła na oku, a widok sali jadalnéj, okwieconéj, przybranéj, wyświeżonéj i oświeconéj wspaniale, stołu jaśniejącego kryształami migającymi jakby błyskiem łez i płomyków, owoców i zieleni ubierających go—woń nezty... wszystko to obudziło młodą wesołość w sercach starych ludzi.

Albin też miał słuszną chwałę się swą wierzgą, bo ją z całą starannością smakosza z powołania obmyślił, starając się i o jadło wykwinne i o zbytek a świetność, które go czynią pojętném, o to, co niejako znaczenia jedzenia i daje mu na chwilę przynajmniej szatę jakicjs poezji. Nawet Siamskiemu słoniowi jeść dają w złotym żłobie, żeby mu strawa nie obnierzła.

Przyznać musiano, że Albin potrafił dobrze zbudować ten monument tak kruchy i wąty, któ-

ry za godzinę runąć miał i w brzydkie rozwaliny się zamienić. Stół świecił, nęcił, pachniał, pociągał i byłby spokusił najobojętniejszego, najmocniej przekonanego nawet, że wiecznierz jutro odchorować będzie musiał.

Przywykłej do uczt takich weszli powoli rozpatrując się tylko, zgadując po woni przyszłość podniebienia i satysfakcyę żołądkowc... Longin jeden zgłodniały przebił się przez stojących w około i posunął śmiało naprzód, ze wzdargą jakąś i przybraném zuchwalstwem rozsiadając na pierwszym miejscu. Oczy mu świeciły blaskiem dziwnym, a usta drgały uśmiechem pełnym gorzycy.

—No, zaczynajmy *ab ovo*, to jest od wódki! zawołał, nie waszym tym kieliszeczkiem, który jest urągówiskiem z człowieka, ale starą szklenicą Goëtzów z Berlichingen. Nalój, dawaj! w ręce wasze, panowie naparstkowi!

Albin się skrzywił, ale trudnoż było biednemu obdartusowi odmówić téj pociechy.

Baltazar z inną miną, ale równie chciwą i żarłoczną, przykradł się cicho, rozpatrując wszystko, do bocznego stoliczka, jedząc naprzód oczyma

przysmaki, połykając ślinkę i starając się ukryć jakie w nim obudzały się żądze. Ręka jednak wyciągniona drżała mu, oczy od widoku nagromadzonych łakoci oderwać się nie mogły.

Inni chodzili koło stołu nie śmiejąc rozpoczynać.

— A co? dobrzem się spisał? spytał Albin, pochwalcież!

— Przepysznie! rzekł Konrad.

— Wybornie, dodał Cyryll... ale wróć mi przeżytych lat dwadzieścia, a oddam tę ucztę lukulowską za samowarek Cymbusia i pieczone kasztany.

Albin westchnął.

— Weselsze tamte były gody, rzekł, weselsze! wszystko tam smakowało, dziś trzeba dobierać dla ust wybrednych..., a sereu już nikt nie dobierze... Ale siadajmy panowie, niech gra muzyka dobrej myśli k'woli...

Słudzy w kaflowych frakach, oblamowanych herbownemi pasami, z akselbantami i kamaszami, poczęli srebrne roznosić półmiski, Longin patrzył i uśmiechał się ciągle.

— Panowie, wniósł Teofil— gdybyśmy czasu

nie tracąc, odprawiwszy tych niepotrzebnych adiutantów, dalej nasze ciągnęli opowiadania? Trudno nam będzie skleić rozmowę chyba ze wspomnień, bo życie rozbiło nas i porozdzierało tak, że nie między sobą wspólnego nie mamy... Na ciebie kolój, Cyryllu, coś wyszedł pieszo a wrócił kareta.,.

Biedny skazany westchnął.

—Nie będę się wam wymawiał, rzekł powolnie— nie powstydam się życia, chociaż ono i mnie omyliło, dając mi może nie to szczęście jakiego pragnąłem... ale takie jakie mu się podobało wydzielić.

—Nie skarż-że się a spójrzyj na buty moje! krzyknął Longin podnosząc nogę.

—Cale czego innego pragnąłem od życia... mówił Cyryll dalej— nauka była dla mnie celem jedynym a namiętnością książka; dzieckiem byłem już stary bom się kochał tylko w Plantynach, Aldach, Manuzzich i Elzevirach, w naszych Łazarzach i Försterach. Chciało mi się uczyć i zaświecić nauką, marzeniem było zostać bibliotekarzem i jak szeszur zaryć się w cichój izdebce nad niemym jakim folialem. Czy sądzicie, że

gdy zamiast ukochanych tych skarbów życie da człowiekowi garść złota, świetniejsze na pozór położenie, dostatek bankierski i żydowski, to potrafi mu nagrodzić czego poskapiło tak okrutnie? Myślicież że kareta i dwór i majątek zastąpią mu to co kochał?

— A któż ci u licha broni? przerwał Konrad— nakupić sobie książek? zbierać Aldy i Elzewiry i cieszyć się niemi?

— Kto zabroni? Alboż ja panem dziś jestem siebie? a majątek nie jest-li niewolą? gorzko odparł Cyryll.

— Ale zaczynajże od początku! rzekł Longin.

— *Dicendi periculum non recuso*— odezwał się Cyryll po chwili namysłu. Jeśli brzęk szklanek i talerzy nie da wam usłyszeć spowiedzi, tém lepiej, nie hardzoby kto skargę moją na los zrozumiał.

Gdyśmy rzucali miasteczko nasze, jam już miał nadzieję posady nauczycielskiej, osnułem sobie życie bardzo skromnie, na nauce i książkach, nie więcej, na pracy, którą ukochałem i co dla mnie była już nałogiem, w cichym kątku. Tak mi się śniło życie, ale począłem od

walki z rzeczywistością; potrzeba było oczekując na umieszczenie żyć, jeść, mieć kątek na szpargały, stolik do pisania, izdebkę osobną. Na to wszystko grosza mi brakowało, musiałem zaprzedać pracę moją.

Poznałem się był w tych czasach z bardzo uczciwym i spokojnym człowiekiem, przypadkiem, (bo to się zawsze tak w języku ludzi nazywa), choć przypadku niema na świecie. Był to cichy, niepozorny, ale naukę lubiący staruszek, z którym zszedłszy się w księgarni zbliżyliśmy się nieco, i jedne mając upodobania prawic, a czując się sobie potrzebni poprzyjaźniliśmy się powoli. Starry Horbacz, jakem się później z boku dowiedział, był niegdyś bardzo moźnym człowiekiem, — nieopatrna głowa i zbyt dobre serce go zgubiły. Majątek topniał w jego rękach i z dosyć znacznego, przeschł na ledwie mu do biédnego życia wystarczający. On i żona jego puściwszy resztki resztek dzierzawą, przenieśli się do miasta i tu skąpo i oszczędnie żyli odsunawszy się od świata.

Dla Horbacza nie było wielkiem nieszczęściem, że zszedł do ubóstwa, nie miał bowiem pociągu

do zbytku i skromném się zawsze obchodził, ale go bolało, że już nic nie mógł czynić dla ludzi, i w kątku siedzieć był zmuszony nie mając udziału w dobrém, które inni robili. On, żona, z wielkiego niegdyś domu, znosząca dosyć cierpliwie, ale nie bez zżymania się swój upadek, córka i syn składali tę rodzinę, która zmuszona liczyć się i skąpić, zajmowała na Skopówce mieszkanie od tyłu czyste i schludne, miłe nawet, ale ciemne i niepozorne.

Stary był jednym z tych ludzi, którym lada co wystarcza, bo się z wszelkim losem zgodzić potrafią, ale charakteru swojego nie potrafił przelać na żonę, która choć się tała z boleścią przed nim, po kątach płakała nad upadkiem, oddaleniem przyjaciół i przyszłością dzieci; jak gdyby dzieciom koniecznie był potrzebny gotowy kapitał na podsycecie próżności i zapewnienie siedzenia z założonemi rękami— jak gdyby potrzeba zdobywania sobie stanowiska nie była także błogosławieństwem.

Horbacz poznawszy się ze mną polubił mnie bardzo, zrazu spotykaliśmy się najczęściej na przechadzkach i długie rozmowy wiodły nas na

Antokol, na Pohulankę, ku Jeruzalem, na Rosę... Czytał ogromnie wiele, zajęcie to stanowiło jego życie;— stare, nowe, złe i dobre, mając czasu wiele, połykał, aby się upoić i zadurzyć, ale nie tak czytał jak drudzy. Ani imie pisarza, ani rozgłos, ani czarodziejstwo stylu nie obłąkiwały go w sądzić o rzeczy, a właśnie ta niezawisłość wyroku, ta śmiałość z jaką roztrząsał już rozsądzone i potępione lub okryte sławą dzieła, wielce go dla mnie zajmującym czyniły.

W domu ukrywać się musiał niemal przed żoną z tém zajęciem, które się jój nie podobało; ona chciała go nakłonić do zajęcia interesami, do proceśw, chodzenia czynnego około spraw zawikłanych, które on zdawał na Pana Boga.

Chodziliśmy tak z nim czytając ukradkiem i gawędząc szeroko; podziwiałem, gdy mi swe dawne i dzisiejsze położenie opisał, tę duszę wyższą nad pospolite, ten umysł spokojny i w świat patrzący z rezygnacją stoika. Dziwiłem się jeszcze bardziej, że jak wielu ludzi istotnie wyższych, Horbacz ilem mu razy pochwalił myśl jego i do pracy na korzyść powszechną zachęcał—

uśmiechał się nie bez szyderstwa ruszając ramionami.

— Ale dajże ty mi pokój! mówił— toż to dziesięć już razy, lepiej odemnie, ktoś zrobił, po co papier psuć i jedno powtarzać, a mazani-
nę mnożyć, gdy ludzie już aż nadto mają tego
zaczernionego papieru.

Umysł prawdziwie poważny, umiał z najlżejszej rzeczy wyciągnąć treść istotną, nie gardził świstkiem i szpargałem najmniejszym, pi-semkiem niepozorném i błahém, a często zdumiewał mnie sądem o rzeczy oklepanej, zupełnie oryginalnym, który w niej nowe i niespodziane strony odkrywał.

Słowem, pokochaliśmy się, ale nasze stosunki były dziwne, ja nigdy anim chciałem, ani myślałem bywać u niego, on mnie do siebie nie zapraszał. Często u bramy mieszkania naznaczaliśmy sobie spotkanie i szliśmy dalej gawędząc; schodził, gdy mnie zobaczył, ale mnie do środka nie zapraszał. O rodzinie i położeniu swojem nigdy mi nie mawiał.

Jednego razu, gdym tak przyszedł na Skopówkę, aby go z sobą zabrać, wybiegł za nim chło-

peczyna, lat dziesięć mieć mogący, blady i delikatny, z poselstwem jakimś od matki przypominającej godzinę powrotu, na którą się adwokata spodziewano.

W oczkach miłego chłopczyny świeciło chorobliwie podbudzone życie... ojciec wziął go za głowę, pocałował i rzekł pokazując mi dziecię.

— To mój syn...

— Niebym nie chciał, dodał po chwili, tylko przelać weń ten spokój duszy, jaki mi dało doświadczenie, moją rezygnacją i wejrzenie na świat. Sam pracuję nad nim, ale z tą młodością to tak trudno! ze mnie tak zły nauczyciel! Nadto jeszcze jestem sobą bym mógł być dobrym pedagogiem; zbyt często wątpię i sumienny jestem, bym chciał dziecku narzucić to, w co sam nie wierzę, lub czego jasno nie widzę... Bieda to z temi dziećmi.

— Ale pan musisz mieć nauczyciela? spytałem.

— Otoż nie mam, kochany panie, bo to drogo by kosztowało, ja i matka dajemy mu lekcye, a że jeszcze ma siostrę, to się na nich podzielać musimy.

Tego dnia trudno nam było na inną przejść

rozmowę i stary wciągnięty mimowolnie w gawędę, pierwszy raz mi się wypowiadał ze swemi domowymi okolicznościami. Żał mi się go zrobiło— nie byłem bardzo zajęty.

— Weź W. Pan mnie, rzekłem mu w końcu, daj mi tylko dach i chleb suchy, a będę ci dzieci uczył, parę godzin w dzień mogę im poświęcić i zajmę się serdecznie.

Stary spójrzył na mnie z rozczerwieniem.

— Ale ty, rzekł, daleko lepsze sobie miejsce znaleźć możesz?

— Może, wiązać się jednak nie chcę, oczekuję, nominacyi na nauczyciela, a tymczasem próżnuję... nauczycielstwo potrzebuje nowicyatu, odbędzie go u pana jeśli chcesz?

Przerwała się rozmowa, ale po dwóch dniach namysłu stary przyszedł do mnie sam i zastawszy mnie wśród moich szpargałów zajął się cały książkami, poczęliśmy swobodnie rozprawiać, czułem jednak, że mi coś ma do powiedzenia.

— A cóż projekt mój panie marszałku? spytałem po chwili, był bowiem jakimś marszałkiem.

— Właśnie z tém przychodzę— cóż? chciałbyś?

Ale myśmy ubodzy i życie ubogie.

— Państwo mi łaskę robicie! rzekłem.

— No! to przenieś się do nas, — jest dwie izdebki trochę ciemnawe na twoje usługi, stół szlachecki... chleb powszedni! I wyciągnął mi dłoń drżącą.

— A serce nasze oceni cię, kochany Cyryllu! Nazajutrz byłem już na Skopówce.

Sama pani przyjęła mnie zrazu z jakąś nieufnością, obawą, przyglądając mi się nieśmiało. Dobra to była kobieta, ale z niewieścią swą troskliwością o dzieci choć przywiązana do męża, pojąć nie mogła obojętności jego na ich przyszłość, miała mu za złe to opuszczenie rąk, płakała i gryzła się po cichu. Ja więc, jako sprzymierzeniec męzowski wzbudziłem w niej odrazę i niechęć, bała się we mnie marzyciela; ale wprędce potrafiłem pokonać to uprzedzenie i zyskać sobie jej przychylność, zajmawszy się szczególnie dziećmi i małe czyniąc posługi. Biedna kobieta była tego przekonania, że majątek został im wyrwany nieprawnie przez opieszałość męża, że przy staraniu można się było dźwignąć z n-padku, wyprocessować, podbierać co im wzię-

to. Nie można jój było wytłómaczyć, że prawo, często bywa niezłomne i niedozwala podnosić spraw raz ukończonych, nie pojmowała by sprawiedliwość ulegała przedawnieniu. Bolejąc z nią razem starałem się ją tém pocieszyć, że dla niej biegał po prawnikach, rądził się, uczył, studował, starego do zajęcia interesami zachęcał, o ile mogłem i umiałem. Oprócz tego zajmłem się dziećmi, Stefankiem i Marynią, młodszą od niego o rok córeczką, poświęcając im wszystkie wolne godziny. Resztę czasu siedziałem nad książkami mojami i swobodnie spędzałem go pod tym dachem gościnnym na własnej nauce, usiłując w jedną całość zbić i porządnie rozklassyfikować cały gmach wiedzy ludzkiej, *hoc erat in colis*. Musiałem, jak się domyślać łatwo, co chwila nowe przedsiębrać badania, aby każdą gałąź poznać i w swoim miejscu ją położyć. Zarzucony książkami, znajdowałem rozrywkę i odetchnienie w lekeyach z dziećmi, w rozmowie z Herbaczem, nawet w cichych uzaleniach samej pani, która przedemną lubiła się to z żalem wylewać, to świetniejsze swe malować mi czasy. Stałem się pokornie powiernikiem wszyst-

kich, doradcą i przyjacielem. Niewiem jak pozyskałem miłość tych dzieci, ojca i matki i wcieliłem się w rodzinę, przyjęty przez nich za brata,— trwogi ich, potrzeby, niepokoje dzielając sercem całym.

Horbacz teraz mając moje książki, więcéj przy nich siedział w domu, co żonę jego uspokajało i cieszyło, bo go miała pod ręką dla narad z adwokatami. Ja sam pomagałem jéj w nich i la-
tałem, żeby biedną kobietę choć nadzieją pocieszyć. Wszystko to jednak było napróżno, bo z tych mnogich procesów imaginacyjnych, prowadzonych bez pieniędzy z wymodloną protekcją,— naturalnie prócz zawodu nie wyrosnąć nie mogło.

Ale się przynajmniej jakąś łudziła pociechą, a choć popłakała, ożywiła się na chwilę tłómacząc po raz setny papiery, które według niéj w przyszłości niechybnie odzyskanie majątku odbiczywały.

Prawie rok przepędziłem tak u Horbachów, gdy niespodzianie Stefanek, dziecko istotnie zastanawiające nadwyzwyczajném pojęciem, umarł z lekkiego przeziębienia i gorączki. Co tam był

za lament w domu, jaka rozpacz matki i ojca, tego opisać nie potrafię. Gdy zachorował, sprowadziłem co było najlepszych doktorów w Wilnie, Wróblewskiego, Porcyankę, Mianowskiego, sam dzień i noc siedziałem przy łóżeczku—ale Bóg nie chciał dozwolić by nasz Stefanek wyżył i wziął go mimo wszelkich starań naszych. Umarłą dziecinę sam płacząc włożyłem w trumienkę, bom się do niego serdecznie przywiązał, i poprowadziłem z ojcem na cmentarz. Nas było dwóch tylko, ksiądz trzeci, matka w domu została z Marynią, a przyjaciół i znajomych, choć Horbacz miał ich dawniej wielu w wyższych społeczeństwa strefach, nikogo. Ta podłość ludzi uciekających od boleści nieozłoconej niczem, to opuszczenie i obojętność ścisnęły mi pierwszy raz serce, i dały uczuć, że nienawiść ku ludziom czasem się daje tłómaczyć.

Powróciłem już mniej potrzebny do tego domu, ale nie jako nauczyciel, lecz przyjaciel jedyny pozostałem przy nich. Stary oniemiał z boleści i straszliwie się odmienił, matka tonęła w łzach nieustannych, a potrzebowała mówić o dziecku straconém—porzucić ich w tej chwili

byłoby barbarzyństwem, zwłaszcza, żem się tam czuł potrzebnym, żem był dla nich ostatnim.

W téj właśnie chwili przyszło mi długo oczekiwane zamianowanie na profesora i nakaz do wyjazdu; pobiegłem do naczelników wypraszać się, ale zwłoka była niepodobna, trzeba mi było albo jechać natychmiast, albo się wyrzec miejsca, a rozważywszy co powinność czynić każe i sumienie, nie wahałem się, co zresztą było małą rzeczą, poświęcić obowiązkowi tę jakąś nadzieję przyszłości. Miejsce straciłem, alem naturalnie ani mógł, ani potrafił wspomnieć o tém Horbaczom, którzyby ofiary przyjąć pewnie nie chcieli; jedno mnie tylko trwożyło, żebym im nie został niepotrzebnym ciężarem; póki bym znowu jakąś posadę mógł sobie wyjednać. Zresztą nie było tu z mojej strony tak wielkiego poświęcenia, przywiązanie do nich czyniło je lekkim i miłym, niechy mi bowiem, nawet swobodne i niezawisłe położenie, nie mogło dać szczęścia, gdybym o nich był niespokojnym.

Byli dla mnie drugą rodziną— ten starzec o niemniały z boleści, ta kobiéta upadająca na siłach, to dziecię miluchne, płaczące więcéj prze-

czuciem łez niż boleścią, która jeszcze w dzieciństwie długa i głęboka być nie mogła.

Poświęciłem się im jak mogłem; szczęściem znalazłem pracę maluczką, przy wydaniu słownika jakiegoś, około którego zajmąwszy się szczerze, na siebie i trochę dla nich zarobić mogłem.

Nie marliśmy więc z głodu, a moje i ich było jednem. Pojechałem na wicś dla wyzyskania im coś z domu, gdzie najniepocziwsza administracya majątek gniotła, a wróciłem dniem i nocą śpiesząc do biédnych, którym dopiero się potrzebnym uznałem, gdym ujrzał jak mnie przybywającego przyjęli. Nie mogę myśleć o tém com dla nich czynił, tylko z gorącą wdzięcznością, że odemnie przyjęli ten ubogi serca datek, że mnie przyswoili jak krewnego, i powierzyli się jak bratu. Chwile to były ciężkie, niedostatek, strata dziecięcia, choroba wreszcie saméj pani, zmuszały mnie podwajać się, aby wszystkiemu podołać.

Jużem nie myślał ani o posadzie niezależnej, ani o przyszłości, ani nawet o nauce, kradzione tylko chwile oddając jéj w nocy, a gdy mi się staréj książki zachciało, nie miałem wybo-

ru, bo im ten grosz, którybym poświęcił fantazyi na chleb powszedni był potrzebny. Wśród tego cierpienia matki i jój bezsilności, musiałem myśleć o Marylece i nią się zająć, bo dziecię rosło i potrzebowało oprócz boleści co ją do życia przygotowywało, innego wychowania. Pracując nad słownikiem, a później nad tłumaczeniami, które grosz jakiś dawały, postarałem się jój o fortepian, o metra muzyki, sam resztę nauczycieli, których opłacić nie mogłem, zastępując.

Horbacz dźwignął się niceo przedź i znowu do zaczytywania się powrócił. Ma to do siebie nałóg ten pożerania książek i myślenia, że jest skuteczném lekarstwem na boleści i silną w chwili ciężkiej odrywką. Stary tak czasem zaczytany, dzień cały w jakimś osłupieniu spędzał, a zajęcie się pewną epoką, krajem, człowiekiem, na chwilę go czyniło szczęśliwym monomanem, i jak Lafontaine co latał po ulicach pytając wszystkich czy czytali Baruch'a, tak on często zaprzątiony czémś, nie umiał już, jeno o tém myśleć i mówić.

Sama śmiercią syna do reszty sił i ochoty

do życia pozbawioną została, nawet zwykle zajęcie processami, podźwignieniem majątku, nie mogło jęj z odrętwienia rozbudzić — syna nie miała, dla którego to czyniła. Leżała w łóżku z książką od nabożeństwa, modliła się dnie całe i wypłakiwała oczy; posyłała mnie na grób dziecka, mówiła ze mną o Stefanku, a w przypominaniu jego, całą czerpała pociechę. Postrzeegliśmy wkrótce, że siły ją opuszczały i niebezpieczeństwo objawiło się gorączką prawie stałą, zwiększającą się tylko co wieczora. Napróżno znów sprowadzałem lekarzy, choroba i boleś zaległy głąb duszy, nie jęj uratować już nie mogło. Stary niemy i przybity nieodstępował jęj łóżka od chwili niebezpieczeństwa do śmierci, — wkrótce drugi pogrzeb wyszedł z tego nieszczęśliwego domu, gdzie ja jak grabarz zostałem sam ze starym i sierotą? Mógłżem ich teraz samolubnie porzucić?

Przyjaciele moi, mój poczciwy protektor napróżno wystawiali mi konieczność pomyślenia o sobie, i stratę upływającego czasu — godziłoż się ich tak odstąpić i na zgubę i zatracenie wystawić, bez rodziny i przyjaciół? Zwłaszcza, że

Horbach stał się zupełnie niezdolnym do poprowadzenia domu, podtrzymania pozostałego majątku, nawet pamiętania o codziennych potrzebach; wzbudzał on we mnie miłość i szacunek, ale razem politowanie takie, żem się nie odważył pomyśleć o porzuceniu go. Ja i stara Mikulska, dawna ich domu z lepszych czasów służąca, całém musieliśmy zarządzać gospodarstwem.

Tak w tych wypadkach, przy pracy żmudnej i jednoustajnej, upłynęło mi kilka lat nieliczonych, niepostrzeżenie, Marylka podrosła na dziewczeczkę, a moje przywiązanie do dziecka zmieniło się w dziwne jakieś uczucie, którego raz tylko doznał w życiu. Dziewcze to ledwie dorastające, ośwładnęło mną zupełnie, rządziło, opanowało. Nieszczęście co ją wykołysało, czy szczególne dary Boże, uczyniły z niej istotę niezwykłą i wyjątkową. Nie powiem nic o jej piękności, są wdzięki marmurowe, których ja nie rozumiem, i są szpetne twarze, które tak rozpromienia duch, że je cudnemi czyni. Ona nie była ani tak piękną, jak są czasem piękne istoty, przed któremi ludzie kłękają, ani brzydką, ale niechybnie oblicze to było niepospolite i uderzające, rozumem i

uczuciem razem. Nic w niej nie było dziecinnego, pojęcie bystre i jasne, wzrok ducha szybko przenikający do głębi, a serce tak rozgrzane cierpieniem, jakiegom w życiu nie spotkał. Dojrzała wcześniej niż inne, a łzy lat jej dopełniły... ojciec zresztą i ja cośmy z nią byli ciągle i codzienne jej składali towarzystwo, brak niewieścich znajomości i rówieśniczek, coś jej dały męskiego i od pospolitych kobiet odmiennego z instynktem wdzięku, z upodobaniem piękna, z sercem czującym wszędzie co było dobrém i wielkiem. Była ona raczej młodzieńcem rozmarzonym, niż słabą kobietą, śmielszą niż kobiety w jej wieku bywają, mniej płochą i już świat pojmującą surowiej.

Potrzeba ciągłego czytania ojcu, który wzrok sobie nadwreżył, a musiał się żywić jedynym pokarmem, do którego był przywykł, zastępowanie mnie często przy nim, wdrożyły ją do poważniejszego zajęcia, tak, że czasem postrzeżenia jej i uwagi podziwienie w nas wzbudzały. Nie były to błyskotliwe i dowcipne popisy, ale słowa z duszy płynące i wyciśnione wątpliwością, bo

Marylka była zadumaną i milczącą i nie łatwo się z myślą swą wydała...

Dla mnie to był anioł pociechy, dobroci, spokoju, nie wiem jak z jój nauczyciela stałem się prawie dziecięciem. Ona teraz opickowała się mojem ubóstwem, odgadywała potrzeby, czuwała by mi nie zbywało na niczem, tam gdzie często brakło wszystkiego.

W piętnastym roku była to już niewiasta poważna i zbrojna do życia, a ojciec i ja po trochę mogliśmy się chlubić tém wychowaniem.

Coś majestatycznego ale łagodnego razem miała w wyrazie twarzy ślicznój, wypogodzonej, uśmiechnionój, a spokoju pełnój jak niebo w dzień pogodny. Nie wiem jak i zkad podowiadyla się, może od poczciwój Mikulskiej, com ja dla nich robił i heroiczną jakąś przyjaźnią, posunioną do egzaltacyi, starała się ten dług wypłacić.

Tymczasem stary Horbaez dzieciniął, z przestachem patrzałem na te symptomata starości, które potężny umysł obracając w ruinę, może przykrzejsze uczucie wzbudzają, niż widok zwalisk najpotężniejszych grodów. Starość niedołączna wielkiego człowieka jest pewnie więcćj zni-

komości ludzkiej dowodzącym i bardziej upokarzającym obrazem, niż w gruzach zagrzebana Niniwa. Widzieć umysł co pracował, co się wyzwolił i dźwignął, co się wzbogacił, powoli, przez osłabienie narzędzi, które mu posługiwały, wątlejący, tracący energiję, pozbawiony pamięci, rozsypujący się w nicość... to coś tak okropnego, że życie nie ma strasniejszego nadeń widowiska—śmierć w pełni sił—jeszcze apoteoza; a to już po starosłowiańsku marne *zeczennienie*. Horbach miał chwile powrotów siłnych do życia, wybuchy te jednak trwały krótko i przechodziły jak błyski, a po nich następowało głuche, głębokie milczenie, w ciągu którego oczy wlepił w jedno miejsce, usta mu zapadały dziwnie i nieporuszony siedział tak godzinę całą. Napróżno wówczas ja i córka usiłowaliśmy go rozbudzić, ożywić;—roztargniony pytał o jedno po kilkakrotnie, nie rozumiał odpowiedzi i nśmiechał się tylko ze starego nałogu, ale widać było, że myśl znudzona nawet na pracę pochwycenia słów naszych nie wystarczała i przedsiębrać jej nie śmiała.

Niekiedy znown powtarzał jedno a jedno upar-

cie, i tracąc pamięć jakiegoś słowa, a innym go zastąpić nie mogąc, obracał się w koło.... Dla Marylki i dla mnie widok to był może smutniejszy nad śmierć samą; oboje pracowaliśmy aby go wyrwać z tego zabójczego odrętwienia; stary wówczas doroznmiewając się tych usiłowań naszych, chwycił za rękę mnie lub ją i nie mówiąc płakał.

— Dajcie mi pokój, rzekł raz, wy chcecie nazać ku ziemi ściągnąć ulatującą już duszę, a tu jęć tęskno i ciasno. Na co ja wam? na co świat mnie? dusza się gdzieś dalej wybiera, dzicci moje, jedno ją może tu trzyma, to przywiązanie do was, choć ja wam nie potrzebny tu chyba jak świadek... Zresztą mnie już tylko patrzeć, mówić nawet nie mogę, ciężko mi... myślenie samo utrudza...

— Słuchaj Cyrylku, rzekł inną razą do mnie— ezemn ty o swojej przyszłości nie myślisz? cóż dalej? Oknęś się w kajdany dla nas, ja to pojmuję jeśli serce za co płaci, mnie i Marylkę masz całych, ale cóż dalej? co dalej? Ja z dnia na dzień mmrzć wam mogę, dziecinne, czułości

na bok, potrzeba obmyśleć i przewidzieć. Wiercie mi żem nie długowieczny...

A po chwili dodał.

— Gdybym był bogaty, wiem co bym ci powiedział; ale Marylka uboga... a ty...

Spójrzał mi w oczy.

— Gdybym miał wam co dać... ot, powiem ci szczerze, ożenił bym cię z nią i byłbym spokojniejszy.

Uściskałem starego, ale mi się słabo zrobiło na myśl tego niedostępnego szczęścia, które jak gałąź zaczarowanego drzewa spuszczało się nademną, by umknąć potem, gdybym ku niemu rękę wyciągnął.

— Byćże to by mogło? ale ja... ale ona! — rzekłem pomieszany.

— Ona cię kocha jak ojca, jak brata, jak męża i byłaby z tobą szczęśliwą... Są tam jakieś szczątki naszego dawnego mienia... gdyby się to ułożyć mogło, jabym już sobie umarł spokojnie... pomyśl. Ona pracowita i wytrwała, ty także... weź dziecko moje.

— Ojciez mój drogi, odpowiedziałem wzruszony, ale to byłoby z jój strony poświęceniem, imie

jěj, urodzenie, stan, zresztą umysł i serce dają prawo do daleko większych nadziei, jam biedny, ubogi, sierota,...

—Ale ona cię kocha... a tyś ją sobie sam wychował, rzekł żywo ojciec, ona tego pragnie, ja to widzę.

—Nie! to być nie może! nadto by było szczęścia dla mnie, zawołałem.

Stary zapłakał i pocałował mnie w głowę...

—Jeśli to będzie szczęście, moje dziecko— rzekł, tyś na nie gorzko zapracował... ale ona uboga...

—Czyż ubóstwo przestraszać może! odparłem... czyż się go lęka kto się nie obawia praey?

—Marylko!— zawołał stary podszedłszy ku drzwiom jej pokoju, w które zastukał, chodź tu, chodź tu...

—Oto twój mąż! zawołał niecierpliwie, gdy się drzwi otworzyły, chwytając i łącząc ręce nasze, nie mam pierścionka abym was zaręczył, ale was poślubiam błogosławieństwem ojca i łzami.

Z obawą spójrzałem na nią, ale w jej oczach błyskała odwaga i radość dziecinna.

— Spełniło się, rzekła, czegoś pragnęła... Teraz, za two poświęcenie dla nas, ja powinnam ci zapłacić szczęściem, czuwaniem nad tobą, drogi nasz przyjacielu... Będziemy szczęśliwi, o ile ludzie mogą być na ziemi.

Żem nie oszalał w tej chwili, wielka to łaska Boża, ale mi się zdało, że się ziemia pod nami obraca i całując jej ręce, które drżały w moich dłoniach, płakałem razem ze starym.

Cieho odbyło się nasze wesele, ledwie kilku ciekawych służyli nam za świadków, pieszo poszliśmy do katedralnego kościoła, w codziennych sukniach, ona w białej muslinowej, ja w wyszarzanym fraku, nad który lepszego nie miałem, stary ojciec za nami. Kapłan przed ołtarzem Św. Stanisława, męczennika obowiązku i prawdy, połączył nas na życie boju i trudów, które się ciężkiem obiecywało naówczas.

Jakkolwiek znałem Marynię, codzien z nią będąc od dziecka, mogę powiedzieć, że mi się po ślubie nową objawiła istotą, gdy cała jej dusza i myśli, żadną dziewczę nie okryte zasłoną, zaśniały przedemną. Jeżeli kiedy mną władała, to teraz upadłem przed nią jak przed istotą,

w której zjednoczył Bóg co innym swym dzieciom daje po częsteczce.

Siedzieliśmy zasklepicni w naszém szczęściu, ani chcąc wyrzćć na świat, a stary na chwilę nas nie opuszczał, rzekłbyś, że się obawiał stracić widoku, na który długo oczekiwał.

Nie wiem czy go uspokojenie ożywiło, czy przeszła apatya, w jakiej od śmierci żony zostawał, ale nagle rozruszał się i począł krzątać więcej niż dawniej o majątek i przyszłość naszą. Nie chcieliśmy mu dozwolić aby jechał na wieś, ale się tego napał tak mocno, że dla jego spokoju potrzeba mu było dogodzić. Zapózna to praca jednak nie przyniosła owoców, bo majątek był zniszczony, a administracya, jak pospolicie u nas, wzięwszy go raz w swe szpony, dojadła do reszty. Wypasali się na niej ludzie bez sumienia, dla których robienie grosza choćby na sierocych ostatkach, byle go schwycili, jest rzeczą w świecie najnaturalniejszą. Pastwy téj, gdy ją raz pochwycą, nikt już im z rąk nie wydrze. Starzec użył teraz całej dobytej z siebie energii, aby ocalić szczątki choćby sprzedaż majątku, ale i to było trudném, bo administratorom cho-

dziło o ich zyski. Starzy przyjaciele Horbacza pogłuchli i zobojętnieli, a dzierżawca miał silnych popleczników i składając rachunki wołające o pomstę do Boga, śmiał się prawie z tego, któremu mienie wydzierał. Dopiero krzyk pokrzywdzonego, który z rozpaczą niemal dobył się publicznie z jego piersi, opamiętał nieco ludzi, którzy bezsilnego gnieść się nie wahali, i ułękli się wywołanej a strasznej boleści. Starzec nie bardzo umiejętnie wziął się do swęj sprawy, ale przynajmniej nadzieją jakąś uzyskał, że go ze skóry nie obedrą. Złoczyńcy pomiarkowali się i musieli zawstydić. Horbacz powrócił małym swym tryumfem gorzko opłaconym, szczęśliwy i promieniący.

Tymczasem Bóg mu niespodzianie gotował daleko większą pociechę, i w chwili kiedy ubóstwo nasze opromieniało jeszcze szczęście nowe i pokój młodości, odebraliśmy wiadomość prawie do bajki podobną o śmierci stryja Marylki, który nie znajomy jęj, na przekór kallatorialnym dokuczliwym, cały swój majątek zapisał. Słyszałem o nim nieraz za życia matki, bo ona dla biednego Stefana całe na nim i bezzemności jego pokłada-

ła nadzieje, utrzymywała z nim korespondencyą, ale po śmierci pani Horbaczowój, na kilka listów Marylki nie odpowiedział i wszelkie z nim stosunki zerwane zostały. Stary ten kawaler, rządny aż do skapstwa, zostawił po sobie milijon kapitału i dwa razy tyle wartujący majątek, w jedném więc mgnieniu oka z ubóstwa przeszliśmy do bogactw, jakie się nam nigdy nie śniły.

Wyznam wam, że mnie to boleśnie dotknęło, w pierwszój chwili ucieszyłem się dla starca, dla niej, ale czułem upokorzony... Gdyby byli kilka tylko miesięcy poczekali, jabym nie był im zawadą, i nie byłbym nieznany, ubogi, jak kula na łańcuchu spętał ich sobą i przykuł do siebie. Postrzegł to stary i ona, nie dali mi bolć długo, potrafili pocieszyć, ale w głębi nie zmieniło to mojego położenia przykrego, człowieka, który nie mając, wziął chleb po żonie i na cudzém żyje.

Przy szczęściu mojem jest to troska codzienna, jest to nieustanna obawa; nie śmiem dotknąć tego grosza cudzego, téj pracy, téj własności, którą za swoją uważać nie mogę. Boję się zażądać czegoś, jestem męczennikiem dostatku, na który

patrzę, którego użyć nie mogę, nie śmiem, nie powinienem.

Złoto wprowadziło mnie, prócz tego, w świat nowy, obcy, do którego ja nie był weale stworzony. Z niém razem zjawili się przyjaciele starzy, których niedostatek porozpędzał, krewni, rodzina... Nazajutrz po nowinie owój, drzwi, które próg lubiły, jak się wyraża Horacyusz (*Amatque janua limen*)—i nie otwierały się, chyba popchnięte dłonią pocziwój Mikulskiej, zaczęły skrzypieć nieustannie od pochodu winszujących. Ci co nie umieli pocieszać i dzielić ubóstwa, przybiegli zobaczyć zaraz jak nam będzie z dostatkiem do twarzy;—pozbyć się ich było niepodobna. Ale Horbaez i Marylka i ja, nie porzuciliśmy ani Skopówki, ani życia, do któregośmy byli przywykli, pełnego wspomnień miłych. Trwało ono aż do naszego przeniesienia się na wieś. I nie łatwo nam przyszło rozstać się z tą małą, ciasną kamieniczką, oblaną tyłą łzami. Nareście z bolem serca musieliśmy wyjechać, opuścić te miejsca i stary w chwili odjazdu prawie zaniemógł z żalu, tak nałogowo przywiązał się do swojego więzienia.

— Wy sobie jedźcie, mówił, a mnie tu zostawcie, po co ja pojedę?

Opierał się długo, ale jechać nam potrzeba było razem lub razem pozostać, namówił się w ostatku, bo mu widok naszego szczęścia był potrzebuy. Tak rozpoczynaliśmy życie nowe, które dla mnie nie przyniosło nowego szczęścia, owszem, szczerze powiem wam, że mi ono popsuło marzenia moje i przyszłość.

Grosz włożył na mnie cięższe kajdany niż nędza, której się nigdy nie obawiałem, dał mi natrętów, zabrał czas, przymusił zająć się obojętnymi rzeczami, zwiechnął, onieśmielił. Byłem panem siebie i przyszłości, stałem się sługą grosza.

Bogactwo jest przesądem, z którego nie łatwo będzie wyleczyć się ludzkości, jeszcze pod tym względem dziecinnój, ale to pewna, że ono częściej daje pozór zazdrośny, niż dobro i spokój. Chleb powszedni, o którym mówi Ojciec nasz, o to co człowiek żądać powinien, i nie nad chleb powszedni, chleb jutrzejszy i pozajutrzejszy jest już ciężarem, za który się drogo płaci. Jam te-

go doznał na sobie, i, choćbyście się z niedowierzaniem uśmiechać mieli, powiem i powtórzę, żem nieraz po cichu przeklinał te miliony, które na nas spadły.

Praeuając na chleb, miałbym prawo dogodzić i mojej fantazyi bibliomana i zachceniom dziwaka, zakochałego w okładce, druku i papierze— bogaty musiałem odegrywać rolę bogatego, z cudzego grosza zaczerpnąć nie śmiejąc, i wyrzec się jedynego, co po Marylece i ojeu kochałem. Obawiałem się aby dziwactwo moje nie stało się dla nich ciężarem, lękałem się tknąć cudzego grosza, którybym zamienił na ukochany mój papier zbudowały... Potrafiłem nawet oszukać Marylkę, udając zobojętnienie... ale co cierpię! Bóg wie!

Gdy to mówił, Teofil, który słuchał z natężoną uwagą, wstał i ukłonił mu się z uśmiechem.

— Co takiego? spytał Cyryll.

— Nic, mów dalej... później się to wytłumaczy jakęś oszukał żonę...

— Jestem szczęśliwy zresztą, dodał opowiadający, Bóg mi dał niezależność, żonę anioła dobroci, dzieci które mi się uśmiechają, ojca, który w pokoju dożywa starości— ale to wszystko

okupuję potajemną męczarnią, wyrzekłszy się powołania dla świata i zajęć obojętnych, nudnych, ciężkich dla mnie.

Czasem, gdy salony i ludzie, co po nich chodzą, znudzą mnie, zamykam się na klucz w mojej izdebce, gdzie pod sprzętami jakiemiś ukrywa się gromadka moich starych książek, którem zbierał niegdyś od gęby sobie odrywając... tam zasiadłszy w kątku, przeglądam te skarby i przypominam dobre czasy, kiedyś się z bibliomanią taić nie potrzebował. Dziś, nie mogę już ani zapragnąć więcej, ani ręki po nie wyciągnąć, bo Marylka kupiłaby dla mnie bibliotekę Mazaryńską gdyby była do sprzedania, ale ja nie chcę, aby moja fantazya odjęła dzieciom chleba, na który nie pracowałem, dostatek, który mieć będą nie po mnie... Brałbym to jak jałmużnę, upokorzony...

Gdy mi się bardzo czego zechce, po cichu pracuję pod cudzym imieniem, biorę za to grosz jakiś i ten mój własny szeląg zapracowany obracam ukradkiem na książeczynę, z którą się taję. Nie jednej nocy kawałek, pod pozorem rachunków gospodarskich, poświęciłem aby nabyć kronikę świata, która mi się trafiła, której chciałem, a

grosza na nią z kassy naszej nie wziąłbym za nic. Co przykrzój, tać się muszę z zabytkami temi, aby poezciwa żona nie postrzegła, aby nie odkryła mojej słabości, bo by jej chciała dogodzić kosztem wszystkiego co ma... a tego ja nie chcę...

—Kochanku, to tylko dumą dorobkowieza— rzekł Albin, przyjmowali od ciebie twą przyszłość, którą im dawałeś po kawałku, a ty od nich nie dziś przyjąć nie chcesz? Jest czasem grzechem nieprzyjęcie ofiary i rodzajem skąpstwa duszy, która wdzięcznością płacić nie chce... Tego ci nie pochwali nikt, dobrowolny męczenniku, jest to po prostu dziwaństwo...

—Zrozumiecie mnie czy nie, pochwalicie czy nazwiecie egoistą— cóż robić? dodał Cyryl— ja się odmienić nie mogę i nie chcę.

—To źle, rzekł Konrad.

—Dodajcie, mówił pierwszy, o czém już napomknąłem, weiclenie moje do świata zupełnie obcego, moje onieśmienie z tego powodu, rodzaj ukrytej ale dającej się czuć od ludzi wzgardy, które dziecię plebanii wiejskiej spotyka w tych sferach, niedostępnych zwykle jemu podobnym, nadto harde by się z pochodzeniem swoim tało,

zbyt przenikliwe, by tego co wzbudza nie zrozumiało. Ani moje obejście się, ani język, ani upodobania nie są dla nich miłe, ja też przymuszony często dzielić ich zabawy i fantazyę, nie bardzo się niemi uszczęśliwiam. To czeze życie wystawy, kłamstwa, które nikogo nie oszukuje, popisów, fanfaronady, zabaw i rozrywek dziecinnych, jest dla mnie męczarnią... Aleśmy na nie-szczęście bogaci i nosić musimy jarzmo złote na karku.

Często w chwili, gdy się napawam książką, gdy myśl z trudnością wysnutą dobywam z siebie, zastukają do drzwi, wołają mnie do salonu i jeszcze rozgrzany pracą, wychodzić muszę żeby zabawić fireyka w białych rękawieczkach, który jako ex-nezonego, bo za takiego uchodzę, bawi mnie, owianego wonią klassyczną, swojemi fatalszkami franenzkiemi i popisuje się z erudycją maślanych okładek. Często, gdy w słowniku Duncange'a szukam wątpliwego wyrazu téj średnio-wiecznej łaciny, która jest językiem osobnym, gdy go łapię, gdy już dochodzę czegoś porównaniem i analogiją, dzwonią po mnie do obiadu, na który oczekuje krewny hrabia i daleki kuzyn,

pełen doweipu a razem głupiusieńki, mający mnie bawić topografią Paryża.

Trudnoż się zakopać, zerwać ze światem i zdziścić dla niéj, dla dzieci, zresztą dla tego, żeby mnie bakałarzem nie nazwano—niepodobna. Wiedziecie i to, że tam o mnie dziwne familija rozpowiada historye, że mi kochani kuzynkowie żony co chwila czuć dają pochodzenie moje, śeiskają serdecznie gdy potrzeba pożyczyć pieniędzy, ale im imie nawet to Cyrylla, tchnące parafiją, ciężko przez usta przechodzi.

Otóż to szczęście, któreś kareta zajężdżające widział Longinie, któregoś może pozazdrościł w duchu, szczęście, co by się mieniało na chatkę ubogą z tą kobietą, która więcej stworzoną była do niedoli niż na dolę... Ona słabsza odemnie i cóż za dziw, że nie pasując się, scree jój dało się owładnąć złotu i orszakowi, jakie ono wiedzie za sobą, że musiała zostać panią? Jam w duchu jeszcze ubogi i obyczajam mam stare; ona zapomniła naszych dni próby na Skopówce, które są dla niéj snem tylko i żyje w swoim żywiole.

Nędzy zląkłbym się dla niéj i dla siebie, ale ubóstwa ucieziwego, cichego, przy pracy i swo-

bodzie, pragnę i wołam; niech im znów będę potrzebny, niech na mnie spoczywa ich przyszłość, a rozwiążą mi się ręce i całkiem będę szczęśliwy.

Skończył Cyryll i smutnie spuścił głowę, a towarzysze jego spojrzeli po sobie,

—Ten znów, rzekł Konrad, tak przefiltrowuje to co mu pan Bóg dał, że w końcu męty same otrzymał z kryształowego napoju!

—Człowiek zawsze człowiekiem, dodał Teofil— musi mędrować i męczyć, a machinka życia tak jest urządzona, że choćbyś ją jak pokręcił zawsze zapiszeć musi. Najzabawniejsza to, że myśli iż żonę oszukuje...

—Tymczasem, przerwał Longin, pozwólcie mi nie boleć wcale nad dolą i udziałem szanownego towarzysza, który ma trzy miliony i nie może sobie kupić książki za kilkaset złotych; albo wariat, albo go żona tyranizuje, do czego się przyznać nie chce...

Cyryl uśmiechnął się boleśnie.

—Ten anioł dobroci! ona! ona eoby mi chciała nieba przychylić!

—A jednego Alda nie domyśliła się kupić?—

zawołał Teofil... Jakże to być może, żeby nie zgadła, nie odkryła, nie wyszpiegowała ciebie i twojej namiętności?... kobieta co rywalkę odgadłaby w słupie, gdyby się w nim człowiek zakochał!

— Bo nie jest kobietą i nie obawia się rywalki, odparł Cyryll, zresztą proszę i mnie coś przyznać, bo nowe życie weale na niezłego wystrychnęło mnie komedyanta... Zdziwilibyście się z jaką rolą moją odegrywam powagą i prawdą... Książki nie tknę, nie spojrzę zwłaszcza na starą, kryję się z nałogiem tym jak z pijaństwem, a niestety... jest to taki nałóg i fantazyja, jak każdy inny... Książka wzbudza we mnie to co w was widok karty, butelki... kobiety... namiętność— pragnę jej, czuję że mi do życia braknie, że mógłbym ją ukraść... to dosyć! Zważcież co kosztować musi walka z taką namiętnością, codzienna, dręcząca... chwilami to ogłupia. Raz przyjechał wędrowny żydek co na furze w sianie wozi razem elementarze, inkunabuły, rękopisma i nowe romanse... Nie wiem kto i na co kazał mu się rozpakować w sieniach, miał Danta takiego i parę nieoberzniętych Elzevirów, że gdym je przypadkiem

wziął w ręce krew mi się rzuciła do głowy... miał wydania, które pachniały jak stare wino, śmiały się jak młode kwiaty... ale cóż? drząc niekłem do mego pokoju, aby się nie wydać z pokusą, a żyd powędrował dalej z Elzevirami, rzucawszy je w słomę... Mogłem je nabyć łatwo, ale byłbym się wydał z moją namiętnością, którą chcę ukryć, postanowiłem ukryć, i ukryję!

Teofil, nie mogąc już dłużej wytrzymać, rozśmiał się na całe gardło, a wszyscy znowu obrócili oczy na niego.

—Co ci jest? rzekł Cyryll.

—Co mi jest! ale to przedziwna historia! temu człowiekowi naiwnemu zdaje się, że kobietę oszuka.

—Zkąd-że te twoje wesołe protestacye? spytał Cyryll niespokojny, wiesz-że co? zdajesz się mówić na pewno? niepojmuję?

Teofil począł szukać po kieszeniach.

—Historia jest taka, rzekł—ja się w książkach weale niekocham... mój to jedzą i miejscę potrzebują... Ja, brat mój stryjeczny i siostra, o-dziedziczyliśmy świeżo po kanoniku H... wielkim bibliomanie, trzy do czterech tysięcy książek zbier-

ranych przez całe życie. Mają to być *raritates*, unikaty, inkunabuły, białe kruki, czarne łabędzie... i co chcecie...

— To zbiór jedyny w kraju! zawołał Cyryll. Znam go z katalogu...

— Chcieliśmy go sprzedać i ogłosiliśmy o tém w gazetach.

— Wiem, dodał biblioman... ale cóż? pójdzie to jak wszelkie ludzkie zbiory, co kosztują życie pracy i zachodów, a potem się rozchodzą po rękach i rozsypują po świecie.

— Dajże mi skończyć! zawołał zwycięzko Teofil, od ogłoszenia przedaży jeden list tylko odebraliśmy; patrzaj-no, kochanie, nie znasz ty od kogo? nie poznasz czasem ktoby go mógł pisać? jak ci się zdaje?

Cyryll spójrzał na adres, na pieczętkę, i pobladł... rzucił okiem na podpis i poznał rękę żony, która znać niedawno doszedłszy téj tajemnicy bibliomanii tak starannie ukrywanéj, po cichu zaczęła umowę o nabycie całego zbioru dla męża. Na widok listu, który oczy jego przebiegły żywo, Cyryll zadrzał wzruszony cały i od tęż wstrzymać się nie mógł.

— Anioł zawsze, anioł! wykrzyknął... ale w cóż poszła praca moja i walka... ona wie! ona odkryła wszystko!

— Otoż masz płaksę, który i teraz gotów jeszcze narzekać, rzekł Longin, najwyraźniej oszalał!

— Widzę z listu, przerwał po chwili wychodząc nagle z osłupienia Cyryll— że o bibliotekę stanęła umowa... ale któż ję pilnuje?... lękam się już amatorów co mogą dzieła pozamieniać, przekłetych zbieraczy sztychów, którzy gotowi karty wycinać...

Dla książek zapomniał na chwilę o swoim przeżeniu i o żonie, ale wnet składając ręce, dodał znówu:

— A! czémże ja ję potrafię to wywdzięczyć!

— Zdrowie pani Cyryllowój! zawołał Albin podnosząc kieliszek... najpiérwsze ję należy!

Za nim wszyscy podnieśli się powtarzając:

— Zdrowie pani Cyryllowój...

On milczał stojąc z głową spuszczoną...

— Tam jest żywot Opecia i Marcholt! rzekł — jakby się budząc — wiem pewnie... i pyszny egzemplarz *Biblii pauperum*... to był biblioman

niepospolity! A! byle by tam nie pokradli! co za szczęście! Marya moja! pocziwa i anielska Marya!

Mówiąc to, zerwał się od stołu nagle.

—Wybaczcie mi, rzekł, książki to głupstwo, ale żona taka to więcej... to skarb droższy nad wszelkie ziemskie... Miło mi z wami, jednakże po tym liście któryście pokazali, chwili dłużej zabawić nie mogę... lecę do nóg jęj upaść.

—A! na Boga, tożbyś się mógł wstrzymać choć do jutra.

—A ananasy moje! zawołał Albin, jeszcze nie skończona wieczerza, deser panowie!

—Dajcie mi pokój z wieczerzą i deserem—wykrzyknął Cyryll, posyłam po konie i lecę do domu, bądźcie zdrowi!

Ruszyli się wszyscy, usiłując go nadaremnie powstrzymać, ale się im wyrwał, opanowany myślą o żonie i bibliotece. We drzwiach już wychodzącemu Longin, jak żebrak hiszpański z garłaczem na gościńcu, z miną zuchwałą zastąpił drogę.

—*Date obolum Belisario!* rzekł z dumą. Nie jedź nie wspomógłszy dawnego towarzysza... je-

steś szczęśliwy, podziel się szczęściem i nie odpychaj.

Cyryll drżącą ręką dobył pugilaresu i podzielił się nim z Longinem, którego oczy zabłysły straszną dla reszty zgromadzonych groźbą przyszłej składki.

Z kielichami przeprowadzono Cyrylla do przedpokoju, do sieni, w dziedziniec, ale nim Vivat krzyknęli, znikł im już pędząc ulicą do domu.

— Osobliwsza historia! rzekł gospodarz siadając znowu do stołu... to tylko źle że nam wieczkę przerwała, a nie gorszego nad przerwane jedzenie... nie ma potém całości, nie ma ciągu, zepsuł mi swoim wybrykiem tak doskonale obmyślaną budowę...

— Już teraz, aby jój do reszty nie popsuć, rzekł Teofil— możeby dać pokój antobiografom, które są smutne zawsze... chybaby kto nam chciał dać o Jordanie wiadomość; cudza historia zawsze się chłodniój opowiada.

— Jam gotów, zawołał rozweselony Longin, podobno napróżnobyśmy go już czekali, kiedy do téj pory nie ma; ja może lepiej niż on opowiem jego przygody... On by nieochybnie kłamał, gdy

ja żadnego nie mam powodu go oszczędzać... Więc posłuchajcie! jak mówi nieoszacowany Jowialski. Jakoś nie o sobie mówią lżej język chodzi, i wam nie potrzeba będzie min nastrajać, lepiej gadać i słuchać wygodniej... będę mógł upowieściować nieco relacją... ale jeszcze kieliszek téj madery, to nie zła rzecz!

—Sucha, stara madera, dodał Albin kiwając głową.

—Nie wiem co ty suchą nazywasz, odparł biedak, ale to pewna że gardło odwilża przyjemnie... a po niej historia Jordana pójdzie jak po maśle... Szczerą zresztą prawdę powiem za niego, możecie być pewni.

—«Gdyśmy się świętej pamięci, onego czasu rozstawali z workami pełnemi nadziei, mości panowie a bracia, rzekł Longin wysuszywszy maderę, Jordan milczkiem ale pewien siebie wyszedł w świat, z tém mocném przekonaniem, że się czegoś dochrapać musi, czując w sobie siły i z góry zapowiadając jasno i wyraźnie, wszem

w obec komu o tém wiedzieć było potrzeba, że w wyborze środków zbyt delikatnym nie będzie. Za narzędzie miał w ręku prawo, miecz obosieczny i ostry, i nim się zaraz rozmachał przeciw losom i ludziom wojując... ale co jednemu ucho-
dzi i wodzi, to drugiemu na zgubę idzie, przy-
czyna w tym diabelskim losie, którego nikt nie
zrozumie.

W naszych czasach, przed jakimi laty dwu-
dziestą, wiele było przykładów dorabiania się for-
tuny zręcznym matactwem i chodzeniem około
brudnej pańskiej bielizny, a nas to podobno obu
zgubiło żeśmy chwycili zębami twardą skorupę,
z której już wprzód inni cały tłuszcz objedli.

Z razu robiły się majątki łatwiutko, póki
się ludzie nie obejrżeli, że plenipotenci, korzy-
stali z ich gnuśności, niedbalstwa i nieświado-
mości, kilka grubych skandalów zepsuło to rze-
miosło i kilku wielkich szelmów odjęło małym
chleb od gęby... ale my jeszcześmy oba przyszli
do studni podówczas, gdy każdy co się zajmował
cudzymi interesami, swoje polepszał.

Jordan, jakeście go znali, wszystko lubił ro-
bić po cichu, ukradkowo, nie jak ja, com przy-

wykł z hałasem i jawnie się przebijać i przynajmniej tém się chlubić, że otwarcie prowadziłem wojnę, nie tając po co i dokąd idę. Tamtemu się zdawało, że ta droga maleńka lepsza, że manowcami zajdzie dalej, jał się tedy, poczynając od małego advokactwa, jak niby to i ja, ale inaczej. Wielkiej sprawy też nikty mu był nie powierzył, bo, prawdę powiedziawszy, z oczów mu patrzyło nie ciekawie, a ci co najmniej znali się na ludziach wsręt mieli od niego. Ja zawsze to powiadam, że choćby szelmostwo robić, to śmiało i w oczy patrząc. *Latrones fortuna juvat*. Jeśliby mnie kto miał ochotę nazwać rozbojnikiem, to jegoby wypadło złodziejem, a ta była między nami różnica, że ja przynajmniej łba nadstawiałem, gdy on tylko grzbietu.

Stykaliśmy się z razu często i witali uśmiechem, jak owi angurowie przy kischkach bydlęcych; żaden z nas drugiemu w drogę nie wlaził, bo też gościńce nasze nie schodziły się. Ja zaraz sobie żyć zacząłem porządnie, ten sknerzył obrzydliwie, w kącie biedę klepiąc.

Pozór to nie był głupi, bo udawał eichego, pracowitego robaczka, do niepoznania, zdaje mi

się nawet, że chodził do kościoła, myśląc że i na modlitwę ułowi jakiego wieśniaka, ale pan Bóg mu téj pociechy nie dał. Z rana bywało piechotą, z teczką pod pachą, od drzwi do drzwi drepezc za sprawami, potem zje lichy obiadek w traktyerzyku za dwa złote, a wieczorem go nigdzie nie zobaczył chyba w jakiejś billardowej dziurze, gdzie na wielki fest piwem się pokręcał, poglądając na graczy, ale sam kija nie dotykając. Trudno się nawet było domyśleć, że kroił na wielkie rzeczy, bo cierpliwie od małych poczynął. Straciłem go potem z oczów; w rok patrzę che? już coś inaczéj koło kawalera i surducik opięty i futerko szopowe i częste gęsto w błoto na dorożce się przejeżdża, po juryzdykcyach chodząc z wielkiém zajęciem... jakby miał około czego.

Poszczęściło się zrazu i jemu jakby los go chciał zaoskomić, bo to ten błazen ma do siebie, że z nas tak drwi wszystkich...

Dwie czy trzy sprawy wygrał także, o których już zrozpaczano, poczęto mówić o wielkiej jego głowie i zdatności, ktoś go posłał do stolicy, tam się porobiły stosunki, zaczęło się już

żyć inaczej. Jużem myślał, że mu pójdzie na dobre, a może by tak było, gdyby powoli chciał iść, noga za nogą, ale zacheiało się galopem niepodkntem.

W tém go też nie pochwalam, że sknerstwo i cheiwość posuwał do najwyższego stopnia, bo często coś trzeba stawić na kartę a ludzie jak widzą tak piszą, i jeśli się skulisz biorą cię za małego.

Jordan wkrótce pośliznął się w najohydniejszy sposób, co na całe jego życie miało wpływ zgu-bny i już mu się podnieść nie było podobna, choć nie zbywało na odwadze. Jeden z jego piérw-szych klientów, któremu on wygrał proces w Se-nacie, złapał go do jakiegoś przybyłego ze wsi jegomości, o którym naprzód cudów naopowiadał, że to był stary, bezdzietny, ogromnie majątny pieniaka, mający maniję processowania się, że mu plenipotent wprawdzie nie łatwo dogodził, ale miał sperandę raz nim owładnąwszy dojść do wiel-kich rzeczy... owładnąć zaś nim miało być tak łatwo jak kichnąć po tabace. Klient jako dowód przyjaźni i wdzięczności nastręczał Hruszce to miejsc, które mu wystawiał jako warkocz for-

tuny... Ale fortuna oddawna wyłysiała, nosi francuzki szynion, i kto ją pochwyci za kudły, tylko mu trochę włosów w garści zostanie.

—Starzec bezdzietny, monoman, mówił ów jegomość, podobasz mu się pewnie, ogarniesz go, i on twój i majątek... Kawaler, rodziny nie ma... któż wie.

To polowanie na wieloryba zrazn się niezmiernie Hraszec podobało. Poleciał jak strzała z rekomendującem na ulicę Niemiecką, gdzie zastali w zajezdnym żydowskim domu na tyle, w izdebce smrodliwój, staruszka siwego, przygarbionego, w zajęczeniu finterku, z nogami bosymi w poobeinanych starych butach, w brudnej koszuli, z chustką zatańczoną wiszącą u pasa za kolana, i w myce zatluszczonój na głowie. Był to ów pan Murgill-Kruta...

Stary zdawał się mieć lat ze siedmdziesiąt, przygarbiony, kaszlący, suchy, zawiędły, ale żywy był jeszcze. Jak tylko wszedł Jordan, domyślił się w nim z miny kandydata do plenipotencyi i rozpoczął bardzo zręczny egzamen. Był to bowiem najslawniejszy pieniacz na Litwie, który już kilka pokoleń adwokatów jak olbrzym

dzieci zjadł na swoich processach, każdego brał na czas jakiś, trzymał, męczył, zajęczał, zszarzał, wyssał i w końcu pokłóciwszy się odrzucił, gdy mu już nie był przydatny. Znano go w prowincyi jako pierwszą głowę prawniczą i obawiano się jak ognia; w juryzdykeyach adwokaci, urzędnicy uciekali gdy się zjawił jak od zapowietrzonego, gdyż była to dokądś straszliwa, zawsze nicrad z tego co dlań zrobiono, nigdy dłużej nad lat parę z nikim w zgodzie nie pożył, a w końcu oplamił każdego. Płacił źle, wymagał wiele, gderał strasznie, a że sam był jurystą z powołania i znał się dobrze na wszystkiemu, więc nawet swobody najmniejszej nie dał temu kogo wziął w kleszcze — kicrował, obracał, posyłał, narzucał co robić, a gdy mu czasem co nie po myśli wypadło, zawsze obwinał tego kogo użył, nie siebie.

Dla Jordana ze wszech miar było to niestosowne miejsce, ale Hruszka nie obawiał się niktogo, nie zapytał nawet o człowieka, nie starał się objaśnić, a tak był pewien wygranej, że gdy go przestrzeżono śmiał się, i wpadł w łapkę sam najohydniej, gdy dołek pod nim kopać myślał...

Murgill Kruta w tój porze miał kilkadziesiąt swoich i cudzych ponabywanych różnemi tytułami procesów, wlewków, przekazów, całe życie pieniactwa na karku, majątek bardzo znaczny, nabyty szczęśliwemi kręcicielstwami i sknerstwem obrzydliwém, a reputacyę najchytrzejszego z ludzi, ale Jordan ani się zastanawiał, ani badał, ani pojmował, by go kto mógł i potrafił podejść, tak rachował na własną przebiegłość.

Wielki znawca ludzi, Murgill poznał w nim niedoświadczenie w połączeniu z zarozumiałością i zaraz je umiał obrócić na korzyść swoją.

Z pod okularów, które tylko dla zakrycia oczów nosił na końcu nosa, popatrzył na niego gdy papiery przerzuceł, ocenił i postanowił zużytkować siły młode, póki by się nie wyczerpały, udając z talentem przed Hruszką człowieka podstarzałego, zmęczonego, któryby rad tylko pozbyć się ciężaru, zdając go w wierne ręce.

Nie go to zresztą nic kosztowało przedstawić się jak chciał, gdyż przywykły był przybierać strój, minę, mowę, jakich mu było potrzeba, i tę komedycę z ludźmi odegrywał wiecznie, powtarzając za maxymę:

— Bądźcie chytry jak węże.

Stary jego sługus, siwy jak on kamerdyner, co mu się od lat czterdziestu przypatrywał, tak już dobrze wiedział o naturze pańskiej, że gdy przychodziło do ubierania, śmiejąc się po eichu, zawsze go wprzód zapytywał.

— A co jegomościu? jak dziś? co tam będzie? czy pan? czy szlachcie? kogo panu dziś wypada udawać, czy chorego czy zdrowego? magnata, czy zrujnowanego?

A Murgilt krzywiąc się i pryhajac, sucho odpowiadał z udaną łagodnością:

— Wojtusi!u kochanie, milcz i trzymaj język za zębami chcesz li być cały— tycho tycho! kto milczy ten ma rozum... dziś mi dasz pańskie odzienie... tak wypada... i *mouczy!*

Wszystko szło wedle obmyślanego z góry planu i ludzi, z którymi się miało do czynienia. Gdy tak po pańsku wystąpić widział potrzebę, to i garderoba była stosowna i sygnety i precezoza i mina; gdy jak chudy pacholek miał się gdzie wy-eisnąć, to w wytartój kapocie, z kijem białym, czapczyzna stara, a tak umiał się zastosować i twarzą i postawą do ubioru, że zwiódł kogo chciał.

Bywało, że z siedmdziesięciu lat na pięćdziesiąt niespełna się przerabiał, i to mu się nawet udawało, bo się rozprostowywał, wymył, ogolił, odświeżył i głos zaraz dobył inny, a żaden taki wysiłek go nie kosztował gdy szło o zwycięstwo. Raz, opowiadano, w sprawie jednej, gdy szło o ukończenie polubowne, wdówec się młodej począł zalecać, aby rachując na jego krocie i konkurenta w nim widząc, zaspala gruszki w popiele. Dopiero po skończeniu sprawy zwinął chorągiewkę, schował miłość do kieszeni, skurczył się i odjechał kaszlącym i starym.

Z takim człowiekiem nie lada kto mógł się poborykać: szerokie sumienie, doświadczenie, znajomość ludzi, przewrotność miał na usługi.

Trafiła od razu kosa na kamień i szkaradnie, bo się w nim Jordan weale kamienia nie spodziewał; śmiał się z przestroóg i z całą siłą młodości skoczył przeciw temu starcowi zawiądnęmu, chytrenu, stwardniałemu i chłodnemu... a panującemu nad sobą. W dodatku i miłość własna niepospolicie cierpieć musiała, bo Hruszka grał tu tylko rolę podrzędną, słuchał jak dziecko robiąc

co mu kazano, a ile razy próbował zbić się z drogi o własnej sile, zawsze guza i burę oberwał.

Z razu poczęło się to od troskliwego egzaminu sił i charakteru, gdy Jordan niby się rozpatrywał w papierach, które stary poddawał mu ciągle, w różnych sprawach się go radząc; Murgill rzucanemi słówkami badał go, z różnych stron, łechtał, podstępami zażywał, aby moc nowego narzędzia wypróbować. Kilka razy obawiając się w nim nazbyt łoskotliwego sumienia, tracił go i z téj strony, a przekonawszy się że nie było weale drażliwe, zadowolony pojęciem, ochotą, żywością i wytrwałością, zatarł ręce i uczynił z nim jakąś umowę wedle staréj formy, dobrze wprzód obrachowanej, którą zawsze wszystkim swym pełnomocnikom poddawał...

Cyrograf ten wartoby zachować dla historycznej pamiątki, ale go na nieszczęście nie mam.

Poznawszy Jordana na wylot, stary zatrzymał go a widząc w nim gwałtowną chętkę nagłego z bogacenia się, nie wabił go ani pensją, ani obietnicą wynagrodzenia wielkiego, ale dał mu niewyraźnie do zrozumienia, że ma lat siedmdziesiąt kilka, zamiłowanie w prawnictwie i szukał

tylko człowieka wedle serca, a pewnie znalazłszy w nim pomoc i pociechę starości, gotów mu wszystko co ma przekazać.

Była to przynęta tak gruba, że trzeba było ślepoty Jordana aby się na nią dać złapać, ale Hruszka przez chciwość głupiał i we wszystko wierzył co jego nadziejom pochlebialo, gotów był najniepodobniejsze przyjąć, byle w myśl przypa-
dło... Został więc ofiarą tego obalamowania i monomanii, nie widząc że stary po prostu drwi z niego... Włazłszy w interesa Murgilla Kruty za stosunkowo bardzo małe honorarya, dokładał do nich grosza, życia, pracy, rozumu, łamał się, njadał i chcąc dowieść staremu swojego poświęcenia, dokazywał rzeczy niepodobnych.

Kruta tylko ręce zacierał tak mu szło z nim wybornie, a kiedy niekiedy rzucił słówko niezna-
cznie na pastwę Jordanowi, który pożywiony ru-
szał dalej jak pijany.

Stary zamiatał nim jak ścierką, nie oszczędza-
jąc bynajmniej i zamęczając na śmierć, a śmie-
jąc się po cichu z łatwowierności młodzieńca,
którego za to wychwalał przed wszystkimi, choć

ze starym Wojtusiem żartowali sobie z niego nic-
 litościwie. Ten już wszystko Murgilla miał za
 swoje i chodził jak około własnego, można się
 domyśleć z jak zajadłą gorliwością.

Murgill był jednym z tych ludzi, co jak konie
 gdy się rozhasają, lecą nie pytając po co i do-
 kąd choćby łeb przyszło roztrzaskać o ścianę.
 Siedmdziesiątletni sknerzył, zbierał, szafował su-
 micuiem dla majątku, choć ani go użyć, ani zo-
 stawić miał komu...

Ale— kóż wie? może same te przejścia, wzru-
 szenia i wrażenia ciągłego pasowania się, go-
 rączka pieniactwa robiły mu jakąś przyjemność;
 potrzebował do życia tego żywiołu kłótni i sporu
 jak ryba wody, a gdy sam nie miał kogo pieniać,
 to drugich podżegał i pomagał im. Całe dnie
 siadywał w papierach, a często się trafiało że
 w świeżej zgodzie znajdował zarodki processu,
 nigdy nie pisząc aktu, w którymby na przypa-
 dek dziury do wymknięcia się z niego nie zo-
 stawił.

Powoli począł przerabiać na swoje kopyto Jor-
 dana, wskazując mu nie tylko co miał robić, ale

jak miał mówić i wyglądać—ten choć zżymając się często po cichu, słuchał starca i poddawał mu się we wszystkim.

W sprawie pierwszój Murgill wskazał tę zasadę Jordanowi, żeby nigdy nie szedł prostą drogą, a w przeciwniku zawsze domyślał się więcej niż ten pokazywał i robił. Murgill sam tak robiąc, zawsze śledził pokątnych powodów, chodów, myśli podstępnych i ścieżek ubocznych, i to co czynił jawnie służyło tylko do zakrycia tego co robił pokątnie... A że nikomu nie wierzyć było u niego drugą stałą zasadą, z Jordanem więc tyle tylko był otwarty ile konieczność wymagała, jeszcze i z nim biorąc się na figle czasem dla upokorzenia go; częściej dla przytrzymania przy sobie.

Był to rodzaj walki, z której Hruszka najpewniejszym się sądził że wyjdzie zwycięzko, codziennie silniej przekonany, iż starca pozyszcze i cały po nim majątek odziedziczy. Prawda że gratka to była nie zła, ale diable trudnego zapaśnika miał przeciwko sobie. Stary urojenia te Jordana zrozumiał i poddawał mu ich jeszcze, czyniąc czasem wyznania, że szuka tylko człowieka,

któregoby pokochał, do któregoby się przywiązał, aby go uszczęśliwić... Ten brał to za dobrą monetę, co ze strony starego było prostą rachubą. Tymczasem opanowany myślą ową Hruszka, stał się gorzej sługi i wyrobnika, a co znosić musiał w domu skapca i w pożyczin z nim, to się opisać nie daje.

Były tygodnie, że w domu karmił się jednym odgrzewanym krupnikiem, a w drogę gdy jechał, musiał się ze swojego grosza utrzymywać, bo stary udawał zawsze jakoby o kosztach zapominał... Ale że złote góry na potem obiecywał i coraz jaśniej dawał do zrozumienia, iż może zapisać wszystko, Hruszka znosił to z poddaniem się, pokorą, nie śmiejąc ani pisać. Prawda, że Murgill nie miał żywego ducha, przyjaciela, krewnego, rodziny, nikogo, sam był jak palec.

Wyszedł on z jakiegoś kąta Litwy tak po ciachu, że nikt dotąd z pewnością dojść nie mógł z kąd właściwie pochodził; jedni mówili, że się rodził w Krożach, drudzy, że w Lidzie, inni, że koło Borysowa; wykształcił się późno i w sposób bardzo podejrzany. Począł z małego aplikanta przy palestrze, długo w wytartym kubraczku no-

sił papiery pod pachą, potem nieźmiernie wolno wybijał się na wierzch i dostawszy kapitaliku, postem, głodem i chłodem i nie wiem jakimi usługami zdobytego, wstąpił na właściwą drogę, poczynając od nabycia processu. Gdy mu się raz wlewec taki pozyskać udało, całkiem się na picniactwo rzucił, i przez najdziwniejsze frymark przyszedł do fortuny. Pożywał nazwisk, podejmował się rzeczy niepodobnych, chodził, straszyl, i skapiąc przytém obrzydliwie, nabywał majątki coraz znaczniejsze. To go jednak nie uspokoiło, nawyknicie, charakter niespokojny nie dały mu spocząć, i gdy już weale niepotrzebował na nowe się narażać niebezpieczeństwa, na starość w tych popiołach grzebał cudzemi rękami, a zasmakowawszy we wzruszeniach, dalej bawił się tą grą w ludzkie słabostki. Takich prawników namiętnych nie widać już dzisiaj, inne czasy i obyczaje, znikło to amatorstwo pieni, idziemy do sądu zmuszeni, starając się interesa poprzeć, wygrać a skrócić ile możności;— on zaś przedłużał umyślnie już z rachuby, już do rozsmakowania się w nim. Dla niego proces był dramatem, do poparcia go używał sprężyn wszel-

kich, grał komedję, farsę, wymyślał środki jakich my już pojęcia nie mamy... Fałszywe wieści, nasylanie postrachów, pogłoski, kłamane listy, i nie wiem co jeszcze... były u niego pospolitą monetą. Miał po temu policyę, wysłańców, tych co przynosili plotki i co je puszczały, umysłnych i mimowolnych popleczników i narzędzia. Niekiedy przerazić się starał następstw jakiemiś, które z prawdziwym talentem wysnuwał z powietrza i ten *centus textilis* sprzedawał za straszliwe widmo; to znowu, gdy mu z tém było dogodniej, łudził przeciwnika nadziejami przedwczesnymi, przyczajał się, usypiał niby, podbiegał po ciechu, sam odgrywał rolę zrozpaczonego i gotowego do układów, gdy ich weale nie żądał, gniewał się, gdy był kontent z czego, przybierał fizyognomije według okoliczności, uciekał się do zajęczych skoków aby zbieć z drogi antagonistę... słowem, więcej zawsze rachował na słabość ludzką i oszukanie niż na sprawiedliwość.

Sędziów podchodził równie zręcznie jak tych, z którymi się rozpierał, obiecywał, pochlebiał, straszył; o nim to rozpowiadają anegdotę, że w chwili podpisywania dekretu położył przed sę-

dział gruby pak papierów mających fizyognomię assygnat, tém jakoś skonwinkował go na swoją stronę, a w kopercie zamiast pieniędzy spodziewanych znalazły się stare gazety...

Z innym lepić sobie jeszcze postąpił, bo mu dał rozeięte bankocetle i potém go pozwał o te połówki jako o depozyt, wiedząc, że do przyjęcia datku przyznać się nie może.

Równego mu w tym rodzaju już nie zobaczycie: to też do kogo się przyczepił prawie pewny był że przegrać musi, dostać mu było niepodobna, a jeśli zrazu pocznął zbyt gorącego antagonyście, to sobie robotę na lat dziesięć lub piętnaście rozłożył i nudził póki nie znękał, w chwili najmniej spodziewanej, gdy usypiał przeciwnik, dojeżdżając go ostatecznie. Bywało tak, że znów wygrywano, ale nazajutrz po dekrete potrzeba się było układać dobrowolnie, bo wygrana pozorna była istotną ruiną.

Niedoświadczony, młody, choćby najzdatniejszy i tak jak ja gotów na wszystko człowiek, nie mógł sobie dać rady z takim wygą, ale Jordan o nicém nie wątpił, ani się spostrzegł, że stary

drwił z niego oszukując... Przestrzegano go na próżno, starano się opaniętać, ale na to odpowiadał tylko pogardliwym uśmiechem.

Murgill też pracował dobrze aby go obalamować, jednego dnia był czuły, serdeczny, łzawy, ścisnął, rozezulał się, to znown straszył, to łechtał i obiecywał, a kochał go niby jak syna, i nie nazywał inaczej jak drogiem swém dzieckiem. A że go chwalił i łechtał przy tém miłość własną, prowadził potem jak chciał.

Życie Jordana na wsi było srogiem męczeństwem, bo już nie plenipotentem tylko, ale czem stary kazał być musiał, jeździł, pisał, zastępował ekonoma, pisarza, wojtów, błazna, kome-dyanta, pomagał do kłamstwa... i w nędzy pędził żywot zaprzeczany. Murgill czy nie ufał żeby to długo potrwać mogło, czy wprost nie mając li-tości — miotał nim, używał i nadużywał, bo jeszcze tak posłusznego narzędzia w zyciu swojem nie znalazł.

Kazał mu się kłócić, kłócił, godzić, jednał, po-chlebiać, durzył, kochać, miłował... i nigdy nawet nie syknął. Fraszka to co kto zniósł w zyciu

obok tego nowieyatu Jordana... Diabeł by nie straszniejszego nie wymyślił.

Tymczasem cóż się robi? — nadechodzi jakaś sprawa, w której była massa rachunków, kwitów i t. p. Nieźmiernie ważnego dokumentu zabrakło, a na nim opierało się wszystko. Akt ten według Murgilla powinien był egzystować, dla tego że był potrzebny, i dowodził że się znaleźć musi. Ile razy Jordan powracał z poszukiwań z próżnemi rękami, stary zapalał się gniewem, stukał pięścią o stół dowodząc że gdzieś znaleźć się powinien, że trzeba go z pod ziemi dobyć a poszukać koniecznie. Jordan posłuszny jeździł, chodził, latał, wachał, ale nie było sposobu stworzyć tego co podobno nigdy nie istniało. Trwało to nie wiem jak długo, wciąż w ten sposób, że Jordan szukał a Murgill się niecierpliwił, chorował, gryzł, dając niejako do zrozumienia że czy dokument jest, czy go nie ma na świecie, powinien się znaleźć kiedy potrzebny.

— Wszyscy tak niewdzięczni! — wołał stary położywszy się w łóżko — nikt poeziewie nie służy... jak to być może żeby nie było tego papieru... to zdrada! ktoś go przetrzymuje... nie umiecie szukać!

Jordan usiłował dowieść że papier ten nie istniał a stary zagadywał czém inném i narzekał.

—Ale cóż począć wreszcie? zagadnął Hruszka, jeśli papieru tego nie ma na świecie?

—Rób sobie co chcesz byle był, odparł stary, u mnie tego nie ma, ja nie rozumiem co niemożność! musi być!

Dorozumiał się wreszcie Jordan o co chodziło, ale nie bardzo chciał zdrową głowę kłaść za chorą pod Ewangelię; nareście zgnieciony, przyciśnięty, nagle znalazł potrzebny dokument, nie mogąc nawet jasno się wytłómaczyć zkład go dostał.

Akt autentyczny był i dowodny, o ile nim mógł być, ale strona przeciwna rozpatrując się w nim bacznie, jak zaczęła chodzić około papieru, okazało się wypadkiem, że na arkuszu z datą wodną 1800 r. napisany był kwit w r. 1796. Stało się to odkrycie w sądzie przy świadkach, w chwili gdy go się najmniej spodziewano, dokument okazał się fałszowany. Przeciwna strona chwyciwszy to, poszła już drogą kryminalną o podrobienie...

Hałasu narobiono ogromnego, bo *is fecit cui prodest* wskazywało sprawcę; stary co się pierwszy raz w życiu dał złapać na papierze, mimo swęj chudości o mało nie padł rażony apopleksją. Całą winę zwałono na Jordana, a Murgill czyścił ręce i oddając go na pastwę sprawiedliwości, sam się pomaleńku wycofał.

Szczęściem dla obwinionego, nie było znown najmniejszych dowodów żeby on mógł akt podrobić: źródło z kąd dostał dokument zostało wskazane... winowajca za grobem... Silne jednak podejrzenie ciążyło na Jordanie, na chwilę został przyaresztowany, a gdy go dla braku dowodów wypuszczono splamionego, odartego, bez grosza i wrócił zapukać do drzwi Murgilla, odprawiono go z kwitkiem, tak że się z nim nawet widzieć nie mógł. Wojtnś, siwy sługa i powiernik zapowiedział mu, żeby się nawet więcej nie pokazywał, gdyż to panu jego wielką zrobi nieprzyjemność i do zrobienia nieprzyjemności Hruszcz zmusić go może.

Jordan jednak tak się odepchnąć nie pozwolił i powiedział stanowczo, że nie ustąpi póki się z Murgillem nie zobaczy; parlamentowano długo,

wręście stary o kiju, kaszląc wyszedł z miną surową.

— Co to jest? zawołał na wstępie, WPan mnie i dom mój kompromitujesz? rzuciłeś cień podejrzenia na całe życie uczciwe starca stojącego nad grobem, i chcesz tu znowu powrócić gdzieś wniósł hańbę, a to, by mnie jako współnika podejrzeniem równém temu, które na WPanu ciąży, obrzucił! Proszę WPana, ustąp natychmiast i nie zmuszaj mnie do kroków ostatecznych...

Hruszka w gniewie, który mu przytomność odjął na chwilę, dopiero teraz poznał z kim ma do czynienia, ale to jak wiadro zimnej wody otrzeźwiło go nagle i dało przejrzeć jaśniej. Tém większa złość i chęć zemsty za to że się dał oszukać ogarnęły go.

— Słuchaj stary, rzekł, jam ciebie chciał oszukać, ty mnie... podszedłeś mnie i użyłeś za narzędzie, rzucając jak narzędzie niepotrzebne gdyś się zadrasnął. Czy to twoje ostatnie słowo?

— Pierwsze i ostatnie, jakem *człowiek honoru* (było to jego zwykłe przysłowie); nie znamy się Panie i znać się nie będziemy.

— Słuchajże dobrze co ci powiem, odparł Hruszka— wiesz to już że mnie jakiś fałszywy wstyd nie wstrzyma na drodze, wszystko mi jedno co o mnie powiedzą, gdy z twojej łaski zostałem fałszerzem, choć nim nie byłem nigdy. Zmuszasz mnie do zemsty, chcesz się probować, dobrze, ale jakieś ty mnie nie znał, ja ciebie znać nie zechcę... rozrachuj na czém się to skończyć może. Znam od *a* do *z* wszystkie sprawy twoje, bom tu będąc jeszcze połapał na wszelki wypadek wszystkie twoich szachrajstw ślady, wiem drogi, które mi chodziłeś i chodzisz, przyczepię się do ciebie jak pijawka, nie mając co robić z sobą i nie opuszczę cię dopóki nie zgubię.

Murgill się uśmiechnął i podrapał po niegolenój brodzie, mrózając oko wpół zamknięte jak gdyby mówił.

—No! no! zobaczymy co z tego będzie!

—A no! probujemy się, rzekł w końcu, ty goly i głupi, bo byś tego mnie nie gadał a robił gdybyś miał olój w głowie, ja stary i trochę doświadczony, zobaczymy, zobaczymy! Może tak poborykawszy się ze mną, waść siły i ro-

zumu nabędziesz, a ja będę miał chwilkę satysfakcyi...

Śmiech stłumiony starego, który się brał za boki, wzbudził w Jordanie gniew silniejszy jeszcze.

— Wpań mi grozisz, mówił Murgill, to zabawna rzecz dalipan? cóż mi zrobisz? możesz pisać? ale ba! czy to już jedno pisano na mnie? Ja także jutro mogę cię pozwać o nadużycie zaufania, posadzić do ciupy i osądzić nim się opamiętasz... któż tobie uwierzy? któż ci pomoże? przeciw mnie, którego boją się i znają wszyscy... Otóż to głowa! otóż to głowa! Bardzo dobrze! zatém wojna wypowiedziana mośpaunie? Trzymajże się dobrze, zobaczymy kto kogo położy... cha! cha!

To rzekłszy drzwi mu przed nosem zamknął i kazał ze dworu wyprawić.

Gdy przyszło wziąć się do rzeczy, Jordan poczuł dopiero że się wziął do przedsięwzięcia niepodobnego, ale się cofać już nie chciał, przyezaił się i zamilkł. Za lichą płacę zaciągnął się do jakiejś kancelaryi, poświęcił na nędzę i z cicha począł swą krucyatę przeciwko Murgillovi, jak ja przeciw mojemu plenipotentowi...

Ale mnie szczęścia a jemu piątęj klepki brakło, bo proszę was, czy to przystało ubogiemu poświęcać się dla jednćj zemsty? Zemsta to deser po obiedzie, przysmak bogatych, ale rozpustnik kto mrąc z głodu takiego sobie pozwala zbytku? Wprost rozpusta, dodał Longin, różgami bym dał za to; rozumiem polizówkę zemsty kiedy są siły i możność, a chleba nie mając, ale to był człowiek zwichniony!

Dawał sobie rady bardzo zręcznie, przyznać mu to potrzeba, i gdyby te siły na co innego obrócił, mógłby istotnie do wielkich dojść rzeczy... Naucezony, nie gadał, nie obiecywał, nie hałasował, ale się przyczaił i stary pomysławszy że go nastraszył, całkiem o nim zapomniiał.

Tymczasem Jordan oddał się temu jednemu, nie jadł, nie pił, nie spał a zbierał dokumenta i ślady przecherstw i kręcielstwa swojego pryneypała, formując z nich rodzaj historyi, którą codzień powiększał jakim dokumentem i dowodem. Murgill weale się nieopatrzył co mu groziło, może nie dbał zrazu i nie przeszkadzał weale, a że nieprzyjaciół miał dosyć pokątnych, Jordan po cichu się krzątając, pomoc w nich znajdował.

Gdy nareszeie to ciekawe sprawozdanie z całego życia pieniaeza, z dokumentami, między którymi była i metryka urodzenia i co tylko pochodzenie i stan wyjaśnić mogło—wygotował, Hruszka ślicznie przepisana jego kopiję posłał Murgillovi.

Czytając to ciekawe *factum* poznał dopiero i oenił stary z kim miał do czynienia i omyłkę popełnioną! pierwszy raz w życiu może uzenił się niespokojnym i podechwyconym, a sam człowiek zemstą powiększony i silniejszy mu się wydał niż kiedykolwiek. Murgill, jednem słowem, przeląkł się: ze wszech miar jednak nie wypadało mu ani kroku zrobić, ani ręki wyciągnąć. Tu dopiero zaczęła się przedziwnie zabawna komedia między dwoma graczami, na którą kółkiem stanawszy, jak w kawiarni kiedy wezmą kije dwaj najsławniejsi bilardowicze, warto było popatrzeć.

Jordan siedział na pozór cicho a sięgał starego postrachami; ten ani się ruszał, choć dnia nie wytrwał bez wysłańców i szpiegów! a dla ostrożności warty postawił we wszystkich jurydykeyach. Na niektórych z tych ichmościów poznał się Jordan, innych nie mógł dowęchać tak

osłonięni otaczali go zewsząd. Po upływie pewnego czasu, zaczęto się z różnych stron, pod innemi zupełnie pozorami czepiać do Hruszki, stracił naprzód miejsce w kancelaryi i chleba kawałek; znalazł gdzieindziej zajęcie, i ztamtąd go jakiéś oszezerstwem wyparowano; został prawie bez sposobu do życia, ale nie zwyciężony trwał w zamiarze opublikowania nieprzyjaciela. Wtém dla niedostatku papierów jakichś kazano mu nagle powracać na miejsce urodzenia, a że wszelkie ślady pasportu znikły i dowodów pochodzenia szlacheckiego nie miał, bo mu je nie wiem jak ukradziono, od stacyi do stacyi prowadzono go pieszo pod strażą okutego... Pochyliwszy głowę poszedł, i w miesiąc, opatrzony we wszystko co mu było potrzebne, zwycięzko powrócił.

Murgill nigdy nie był bez processu, Jordan kilka ich swoim kosztem począł popierać przeciwko niemu, sam wpraszaając się jego antagonistom, pracując, prosząc, pozywając, krzycząc, chodząc, i dokazawszy nareszcie, że jedną z najważniejszych spraw stary przegrał na łeb i szyję.

Natychmiast kopiję dekretu przy liście win-

szującym choć późnego wymiaru sprawiedliwości, posłał Jordan staremu sztafeta... Obie strony rozjadły się do najwyższego stopnia, ale jedno poślizgnięcie się, po długich powodzeniach, jak to często bywa, zbiło zupełnie z tropu Murgilla.

Tak stały rzeczy w chwili gdy strony w których się to działo opuszczał, w półtora roku przyjeżdżam i z wielkim podziwieniem mojem słyszę, że Jordan wrócił do Murgilla i znowu się jego interesami w najlepsze zajmuje. Było to niepojętém dla mnie, nikt zresztą wytłómaczyć nie umiał jak się to stało, faktem jednak, było, że się znowu zeszli i targowali na jedno. Kto z nich pierwszy rękę podał nie wiem, jak sobie wzajemnie darowali urazy nie pojmuję, dość, że Murgill wziął go i interessa mu całe powierzył z zupełnem zaufaniem. Powiadano głucho o seenie, jaką Murgill odegrał z towarzyszeniem łez nawet, przyjmując owego syna marnotrawnego... naśmiewano się z obu. Stary здаwał się zesłabły, pragnął pokoju, podupadł widocznie. Jordan śmielszy, żwawszy, pewniejszy siebie brnął dalej nie wiem w jakim celu. Dziwna rzecz, że znając już Murgilla, raz oszu-

kany, nie uląkł się go i znowu wpadł w jego ręce... jaka tam była rachuba? trudno odgadnąć.

W pół roku potem, gdy Hruszka już tryumfował i czytał zapewne na testament, który mu jeśli nie całość to część majątku miał przekazać,—stary dostał kaszlu zaziębiwszy się w izbie przez skapstwo nicopalanéj, zapalenie płuc rozwinęło się i umarł prawie nagle...

Przed śmiercią mówiono, że podyktował ostatnie rozporządzenie. Za życia nie było ani jednego krewnego, któryby się doń przyznawał, zaraz po śmierci zjawiło się ich kilkunastu po matce i po ojcu, przybywających z różnych stron niespodzianie, Murgillów, Murgillo-Krntów, Kruto-Murgillów, i Kruto-Krntowiczów. Wszyscy składali dowody blizkiego powinowactwa i z chęcią rozgarnionemi rękami opieczętowali, opisali, obwarowali co tylko miał nieboszczyk, przystępując do otwarcia testamentu, który znaleziono w istocie. Okazało się z niego, że pomijając wszelką familiją znaną i nieznaną, majątek swój jako dorobkowy przekazywał na Inwalidów, Jordanowi zapisując tylko papiéry po sobie, no-

taty i owoce długoletniego doświadczenia na polu prawniczych zapasów.

Było to pośmiertne szyderstwo, którego Hruszka mógł się spodziewać, a przecież go nieprzewidział, sądząc, że starego uchodził, i że w nim choć postrachem potrafił wzbudzić jakąś miłość ku sobie. Wyszedł więc ztamtąd o kiju, a co gorzej znużony, bezsilny, skompromitowany i zmuszony po straconych latach najdroższych, które marnie poszły, rozpoczynać życie na nowo. Spotkaliśmy się wówczas na rozdrożu życia i musiałem mu poddać ducha tak go stracił. Już, już miał wyjeżdżać do Brazylii lub Kanady, ale pomiarkowawszy, że i tam Murgilla nieboszczyka znaleźć może, wolał już z domorosłymi mieć do czynienia. Familija jego nie w tej chwili dlań zrobić nie mogła, a co gorzej ojciec i matka na oczy go widzieć nie chcieli, tak ostatnia sprawa zniesławiała go szkaradnie... i nadaremnie. Jedyną dlań radą było porzucić strony, w których grał taką rolę, wynieść się daleko, gdzieby słuch o nim nie doszedł i na nowo życie rozpoczynać *de noviter repertis*... Bieda, że nie miał ni z czém, ni o czém, ni jak...

Wahał się i nie wiedział co począć, a sam go znowu z oczów stracił i zapomniałem o nim nawet, gdy znów spotkaliśmy się i ujrzałem go już w nowe obleczonego suknie, zajmującego się interesami i zarządem majątku człowieka, który wielkie posiadając majątności zupełnie je był zadłżył i do licytacji się przysposabiał, gdy w rozpaczynym stanie, Jordan mu swe posługi zaofiarował. Nie mając nic do stracenia, bankrut przyjął pomocy Hruszki i cały mn się oddał. Tu talent i czynność rozwinął niepospolite, porobił układy korzystne z wierzycielami, gospodarstwo podniósł, natchnął jakąś ufnością wszystkich i cudem prawie potrafił dźwignąć człowieka, który kredytu na trzy grosze i przyszłości już nie miał. Po upływie roku, jawnie i oczewiście okazały się owoce pracy takie, że Jordan wskazał po opłaceniu wierzycieli część majątku czyścą, która mogła marnotrawcy pozostać. Był to end, ni mniej, ni więcej.

Magnat oczóm i uszóm nie wierzył.

Jordan nie miał nigdy tego, co zowią sumieniem, odkładając nabycie téj zbytłownej fraszki *ad feliciora tempora*, wziął się więc do roboty

tak bezwstydnie i ostro, że nikt mu nie dostał kroku, wszelki wybieg był mu dobry, a uczeń Kruty pokazał, że przy nim nabył przynajmniej doświadczenia. Gdybyż krew zimna! ale zaraz mu się od najmniejszego powodzenia głowa paliła, w boki się brał i nogi na księżyc chciał zarzucać.

Sądził się już tak nieodbycie potrzebnym bankrotowi, że sobie go za nie nie miał i lekko z nim poczynając, w żywe oczy z niego żartował. Pan to znosił zrazu choć kwaśno, ale gdy interesa stanęły na lepszej stopie i drogi uczul przetorowane, a Jordan uzuchwalał się do tego stopnia, że sobie pozwalał drwić z niego publicznie, po bardzo gorzkich przymówkach, poważnili się i rozstali. Hruszka znowu poszedł z kwitkiem. Miał tu wielkie bardzo nadzieje, a skończyło się na lichą sumę, którą ledwie wyrwać potrafił. Już mu wreszeie obrzydła ta kuchnia, w której ciągle się szałzył dla drugich, sam nie jedząc.

Z nabytkiem więc jaki mu się dostał, wziął dzierżawę bardzo na ten raz szezśliwie i tanio.

Dzierżawy u nas zawsze były jakąś grą azar-

downą na chybił trafił, często z nich dorabiano się fortun lub tracono nawet włożone. Jordan nie wielki gospodarz rachował na szczęście jakieś, na los, na głowę, że sobie da lepiej radę od drugich. Jakoż na pierwszy raz powiodło mu się szczęśliwie, tak, że w trzech latach na dzierżawie, za którą płacił dwadzieście pięć tysięcy złotych kapaniną, zebrał około stu tysięcy i rzuciwszy miejsce, gdzie mu się tak powodziło, nie ostrożnie w świecie poszedł zaraz na drugą daleko większą posesyę, na której już obracać się począł z zuchwałą śmiałością, właściwą tym, którym po długiej biedzie zaczyna się coś prąść nareszeie. Pewien był, że już jest na gościńcu do majątku.

W sąsiedztwie kluczyka który trzymał, były dobra Księcia R..., a w nich zamieszkiwała wdowa po Ekonomie generalnym, niegdyś nadzwyczajnej piękności kobieta, ale prosta, bez wychowania i prowadzenia więcej niż podejrzanego. Miała ona córkę, którą Xiążę moeno się, jako ojciec chrzestny opiekując, zapisał jej sto tysięcy. Gadano o tém głośno, a panua wychowana była tak właśnie, jak się hodują

konie na sprzedaż po wielkich stajniach... skóra świecąca, uszki powyszczygane, nóżki wylakierowane... gdy ze stajni wychodzi to się osadza na łapkach do góry; ogniem z nozdrzów zieję, gdy cheesz łagodny jak baranek... a ślize to, a miłe, ale nie pytaj, jakie nogi i czy wytrzyma w zaprzęgu. To znaczy, że panna tańczyła solowe tańce, grała na fortepianie briljante... śpiewała mazurki, trzpiotała się, kokietowała, a krew mamy dobrodziejki i wdziękiem i defektami przelała się na córkę, z tym dodatkiem, że córka ekrzestna JO. Księcia, choć się do niej tatko nie całkiem przyznawał, czuła się jednak księżniczką *in partibus...*

Dom pani ekonomowej, która teraz już dzierżawiła wioskę, był pełen kaneellistów, oficerów, młodzieży różnego kalibru, co się jak komar na świecę łapie na lada wdzięk, nie patrząc co pod nim... Wpadł tam i Jordan, a że był od tych wierepiętów, nie posiadających nic nad paciorkami wyszywane cybuehy, solidniejszy, łstwo mu było mimo panny podobać się matee i księciu. Fanny płakała troszkę po jednym oficerze, z którym wiecezorami ehozila po leszczy-

nowych szpalerach, ale poszła za mąż za Jordana, robiącego kolosalne głupstwo, wziął bowiem z córką matkę, ex-piękność wyróżzowaną, ex-faworytę, przywykłą do panowania i kaprysów, a do tego przeknękę i prostytutkę, załadując córunki z kułakami porywającą się do zięcia i grożącą mu wydrapaniem oczów i odkaszaniem nosa... Fanny miała się za królową hiszpańską, wymagała niezmiernie wiele, chciała się tylko bawić, słowem w tydzień po ślubie zaczął się już taniec taki, że Jordan mało nie zwarjował, a w dodatku przyjaciół oficerów i gryzipiórków z domu pozbyć się nie było sposobu... choć trutkę na nich kłaść. Sama ex-ekonomowa protegowała ich nie widząc w tym nie zdrowego, że córka idąc w jej ślady, nieco się chciała zabawić, właściwie swemu wickowi i wychowanin. Że Jordan wcale się nie kochał w żonie, ale miał w małżeństwie prosty rachunek, pokój nie potrwał długo i byłby może pokonał żonę, ale stariej faworyty nie było sposobu, tak miała wyparzone usteczka, dziwnie naiwne zasady i odwagę niepokonaną, gdy bronić ich przyszło. Pickło istne kupił sobie Jordan biorąc to dziecię

książęce, rozpieszczone, zepsute, zalotne, wymagające, poczytujące się za wyższą od męża istotę... Wojna z kobietami doprowadziła go do szaleństwa, energii zimnej na nią mu brakło, a wybuchy zawsze się kończyły tём, że jego w nich pokonywano. W miesiąc po ślubie zostali się, a straty poniesione z powodu ożenienia, bezpowrotnie poszły, bo posagu ani widział, żonę mu odebrano, a księżę obmyślił jej dzierżawę i dom, gdzie swobodnie wesołe towarzystwo na wieczorki zbierać mogła.

A że jedna bieda nigdy sama nie przychodzi, poczęły się zaraz sypać jak z rękawa nienrodzaje, pomorek na bydło, grad, ogień, śledztwa o pobicie ludzi i t. p. Jordan wyszedł z dzierżawy zrujnowany ze stu tysięcy ledwie ocaliwszy pięć, i wyjechał z dworku kałamaszką, kobyłą w hołoblach z kulawym na przyprzążce i processem o nadużycia w dodatku— stęrtym i magazyny przyaresztowano. Trzy razy potem jeździł prosić żony o przebaczenie, ale matka jej z ganku go odprawiła zbesztawszy, bo ją srodze jakimś epitetem obraził, a kobiety tego rodza-

ju przebaczać nie umieją i ex-ekonomowa groziła mu, że go do śmierci prześladować będzie.

Opuszczony, przybity poszedł na maleńką dzierżawkę biedę klepać i zdaje mi się, że na niej dotąd kwaśniej wyszedłszy na mizantropa. Powtarza on co chwila utworzony przez siebie axiomat nie zły zresztą, który nie obrażając nikogo powtórzyć mi pozwolicie— że durniom tylko na świecie dobrze.

Byłoby co za i przeciw temu powiedzieć, ale ze swego stanowiska Jordan ma trochę słuszności. Jabym się dziś na jego położenie nie pomieniał, mam, dodał Longin, trochę nadziei pokonać moich wrogów, żyję tą sperandą, gdy on już całkiem uszy opuścił, skapeaniał i nie już z niego nie będzie. Daj Boże, żeby z głodu nie umarł. Otóż to tak panowie a bracia mili,— spytajcie kogo chcecie, żem wam nie skłamał opowiadając te dzieje, a podziękujecie, żem je z niepotrzebnych obrał łupów i dodatków... bo dużo jeszcze opuszczonego gwoli spóźnionej porze...

Wszyscy smutnie zamilkli przesłuchawszy opo-

wiadanie o żywocie Hruszki, a przykre wrażenie wypiętnowało się na twarzach. Serapion podniósł się z westchnieniem i spojrzawszy na zegar, szepnął w ucho gospodarzowi.

—Daj mi się wymknąć cichaczem... czekają mnie jeszcze pacierze wieczorne... i celka moja u XX. Bernardynów, do której mnie potem nie puszezą... a jutro rano muszę mszę Śtą odprawić. Więc do zobaczenia. Na sercu mi ciężko jakoś, za tych dwóch z grona naszego zatraczonych popłakać i pomodlić się potrzebuję.

I ścisnąwszy dłoń Albina, ksiądz z eicha posunął się ku drzwiom, i znikł nie postrzeżony. Reszta towarzyszków została smętna pod wrażeniem opowiadania, mimo ndanej wesołości Longina, przyjść do siebie nie mogąc.

—Na zakąskę po téj niesmacznej potrawie, rzekł Albin, należałoby się nam coś słodsze... Teofilu! Baltazarze, panowie jesteście na kolei... Kto łaskaw? zapalemy cygara, siądziemy wygodnie i słuchać będziemy cierpliwie.

Ale oba wezwani milezeli, a Doktor Baltazar dobrze podjadłszy, oglądał się tylko i miał mi-

nę człowieka, który drzwi szuka, żeby się wynieść po cichu. Drzwi wszystkie były zamknięte, a stróże przy nich stojące nikogo wypuszczać nie miały bez zezwolenia ogólnego, bo się spostrzeżono zaraz, że Serapion dezterterował, i wielkiego narobiono o to gospodarzowi hałasu.

—Zacny Baltazarze, zawołał podochocony Longin, jam już dwa kroć dług za siebie i Jordana wypłacił, zechcesz-że zbankrutować?

—Na pana kolej, doktorze! prosimy!— podchwycili wszyscy.

—A dajcież mi pokój— rzekł siwy doktor z oburzeniem prawie—czym to ja dzieciak jak wy dotąd, żebym się spowiadał przed wami? I z czego? pytam? Moje życie nie dla historyi, ciche, jednostajne, nie ma tam w co wglądać... dajcie mi pokój.

—A ha! to tak!— krzyknął Longin—słuchać to się słuchało, a gdy przyszło łba własnego nadstawić, to niema!

—I nie ma i nie będzie,— rzekł Baltazar—jak tam sobie chcecie, to mi wszystko jedno, co powiecie!

—Miałżebyś takie, tajemnice, których wyzna-

nie tak wleleby kosztowało, że się na nie zebrać nie możesz?

— Ja! tajemnice! cóż znówu! całe życie moje jasne... właśnie, że nie mam o czém mówić.

— Ale choć słowo przecie! nalegano— jak ci się wiedzie? co porabiasz, toć się nam należy!

— Co robisz? wiecie, że jestem lekarzem, jak mi się wiedzie? a możeż się dziś powodzić lekarzowi, gdy więcej jest doktorów niż chorych? Komuż idzie? nie wiem, z głodu nie mrę, ale kapitałów nie składam. Wszysey dziś wdają się w leki, spytajcie kto nie doktor. Miał słuszość Stańczyk, błazen Zygmunta Igo, gdy się ofiarował dowieść zawiązaną gębą, że lekarzów na świecie najwięcej, co krok to doktor. W dodatku mamy te hydry, których leczba rośnie w proporeyi głupstwa ludzkiego, hydropathiją, elektro-pathiją, Leroy-pathiją, homeopathiją, morysonopathiją, Pawełko i Antoszek-pathiją i tysiąc panaceów, w które ludzie więcej wierzą niż w naukę, mamy natehnionych owczarzy, jasnowidzące, a gdy nie nie pomogą stare baby i za-mawiania, mamy cyrulików, mamy wszelkiego rodzaju gotowe leki, co przychodzą nam z Pa-

ryża w pięknych opieczętowanych pudełkach .. pozostaje więc tylko patrzeć, cieszyć się i winszować.

I jak się tu ma powodzić? pytam?

— Jedno więc już jasno i oczewiście dowiódł— rzekł Longin— że jemu się nie wiedzie!

— Prosta rzecz,— odparł stary gładząc czuprynę i bakembardy na przemianę— nie umiem być szarlatanem, nie opasuję się mgłą tajemnicy, ani podwyższam ndanemi jakimiś czarodziejstwami, chorego traktuję bez komedyi, mówię prawdę i nie lubią mnie.

— Otóż i nasionko historyi...— przerwał Teofil— trochę tylko ten temat rozwinać, a będziemy mieli ciekawą biografię. Wszakże w Uniwersytecie pilniejszego nad ciebie ucznia nie było, a do życia praktycznego usposobienie miałeś znakomite, szedłeś jak zegarek Breguet'a, rachowałeś zimno i na ścisłej formule opierałeś swą przyszłość?

— Jeden jest tylko rachunek pewny, rzekł Baltazar, a i za ten nie ręczę czyby się na księżycu okazał równie prawdziwym jak u nas... że dwa a dwa czynią cztery; inne rachuby ludz-

kie, — gdy do nich wpływają elementa żywe, zawsze bałamutne. Naprzykład jeden a jeden dwa? nie, bo ja i moja żona, czyniemy w ogóle sześć!

— A! a! aż czworo na twą siwą głowę! — rzekł Longin.

Baltazar zachmurzył się i spuścił oczy.

— Ale choć to nam powiedz jakieś się ożenił, *fama fert*, że pod koniec medycznego kursu zbyt często zachodzić nawykłeś pod gościnny dach Niemca piekarza, nie tyle dla bułek, ile dla pulchniej Frani... miałebyś??

— I nie lepszego w życiu ani zrobił, ani mogłem uczynić! Tak jest, wzięłem ją za towarzyszkę żywota, i nie żałuję, że jej mój los powierzył, nasze litewki mają w sobie nadto fantazyi, którą ja brzydziłem się i brzydzę... tu, sama krew germańska i przywyknienie do zegarkowego życia, były dla mnie rękojmią spokoju, ładn, porządku i szczęścia...

— W dodatku jeszcze cię mnsiała pewnie po niemiecku nauczyć *expedite*, dodał Longin, ot i czysty zarobek...

— A wniosłaż mi trzy tysiące rubli, powoli rozgadując się dorzucił Baltazar. Od tych po-

czeliśmy gospodarstwo, kupiliśmy dom i siedliśmy w miasteczku, które dobrze się rozpatrzywszy we wszelkich warunkach, wybrałem. Na przód okolica nie nazbyt zdrowa, w koło stare błota zakisłe, febry endemiczne uparte, to obiecowało chleb, dalej kołtun i różne przypadłości skrofniczne, rachityczne, i kilku panów chorujących na pedogrę, która się zawsze leczy, a nigdy wykurować nie może.

Doktora bliżej nad mil pięć ani jednego, cyrulik głupi jak bót... ja sam jeden. Z moey tych praemissów, kupiłem dom i osiadłem bezpiecznie, ale rachuby ludzkie zawsze omylają. Oto, gdy się już osiedlił na dobre, pokazuje się, że jeden dom pański choruje na homeopathyą i całe klucze dóbr swoich leczy maczkami mikroskopiecznemi,— tam już nie ma co robić, a jeszcze propagandą zarażają okolicę; dalej drugi fixat knurje moryssonem, trzeci propagnje Miniajewą, czwarty jeździ do Antoszka, do Staśka... do Maćka... Kołtun rzadki, na febry knurują baby zamawiając, i cyrulik korą wierzbową... a chorych ani słyhu. Czekam, czekam, chyba kto nogę złamie to mnie wezwą, ale któż nogi ła-

mie? Z głodu można umierać, żydzi nawet homeopathyzują się, choć dawałem im do zrozumienia, że tam wchodzi słonina... Mnsiałem konie końców dom sprzedać ze stratą i ruszyć na inne miejsce. Wybrałem sobie miasto powiatowe, jako żywsze centrum, baczając, że w niém było cztery winiarnie, w których truceiznę sprzedawano publicznie, pijatyki częste, awantur dużo, które krew psują; byłem pewny praktyki, ale tu miałem dwóch współzawodników, z których jeden jeździł kareta i bardzo elegancko się nosił, drugi dreptał o kiju. Oba tak mi wszystko zmiatali z przed nosa, że nie było co robić, i na konsylija nawet nie wzywali, chyba do ubogich żydówek, lub gdy we trzech trzeba było stanowić o jednej nodze zgangrenowanej z nędzy... Na dobiecie zgryzoty, w miejscu gdzie dom sprzedałem i zakładem się wyniosł, osiadł inny i ogromnie mu się powodziło, bo pokazało się że nie miał eierpliwości i taktu. Tamten zaraz wziął się do homeopathii, zakasował panie amatorki, woził im maczki, umiał zawiązać powoli przymierze z alcopathiją... i dorobił się majątku.

Druga moja próba, na której już wyuczony doświadczeniem wytrzymywałem jak mogłem, gorsza była od pierwszej, po latach trzech zjedliśmy co mieli i musieliśmy nieukać z tego przekłętego kąta. Postrzegłem, że potrzeba było trochę się nadstawiać, i że nadto dotąd trzymałem się skromnie; z resztek więc kupiłem powóz, i wyjechaliśmy karetą i koczem poprzędzani otrąbioną sławą na nowe osiedliny. Tu jakoś lepiej z początku poszło, jeździłem karetą, płacili podwójnie, ciekawość ciągnęła do mnie. Kilka pierwszych kuracyj doskonale mi się udały, dźwignąłem zdesperowanego prezesa, już już zdawało mi się, że na nogi stanę.

Tymczasem, trzeba takiego wypadku, zachorowuje pani N... tamci ichmość lekarze, traktują to jako febrę, ja widzę, że ją zabijają chłną, bo to coś wątrobowego, mającego tylko pozór febry... biorę na siebie odpowiedzialność, usuwam lekarzy, ręczę za życie i leczę poczynam zupełnie przeciwnie. Trzy dni idzie ślicznie, czwartego dnia moja pacjentka przeciwko wszelkim prawidłom, niespodzianie umiera... To mi cios zadało okrutny— krewnych miała pełno

w okolicy, przyjaciół jeszcze więcej, wszyscy bij zabij na mnie, a doktorowie bracia milczkiem, jak zaczęli intrygować, zostałem bez jednego pacyenta. No... ale żydów im odciągnąłem i choć mozolną, drobną, ale jaką taką zachowałem praktykę łachmanów.

Tu zamilkł.

— Jak to? i na tém koniec?— spytał Longin— przecież musiałeś się dźwignąć?

— Dźwignąć! nie bardzo... wolałbym być konowalem, rzekł Baltazar, bo tych jest mało, a koni drogiech dosyć i o konia posiadacz co zań zapłacił, często więcej dba niż o rodzzonego brata. Co to można zrobić teraz, gdy się nas namnożyło jak mrowia? Jeden na stu pójdzie, dziećmiędziesięciu dziewięciu pożywają chleb w pocie czoła i smrodzie cudzych chorób. Ale myślę wynaleść specyfik i pigułki patentowane, choćby przeciw katarowi, założyć razem aptekę pod cudzím imieniem i ratować się tym sposobem. Tyle dla ludzi ma pociąg tajemnica, że wszelkie lekarstwo, którego składu nie wiedzą, zawsze najlepsze, a choćbyś im chleb tarty z cukrem dawał, cudów dokazesz z pomocą imaginacyi. O

téj władzy, jako o specyfiku, nie mówiono nam w medycynie, a przynajmniej za mało, szkoda, bośmy za późno się domyślili, że nie lekarstwo, ale wiara w nie, kuruje.

—Stare to bardzo axiomata!

—Mnie ich dopiero smutne nauczyło doświadczenie, konieczny Baltazar, to są rzeczy, nie dające się wciągnąć w żaden rachunek, ja zaś do rachuby przywykłem. Najgorzej żem tyle razy miejsce mieniał, gdy najmniej korzystne, a stare zawsze lepsze od nowego. W piérwszój chwili nowe sitko na kółku, ktoś wezwie, ale tylko ze starymi znajomymi oswoiwszy się, przywyklszy do nich, ludzie są stale związani... i wiara nabywa się powoli. Nowy człowiek zawsze wzbu-
dza obawę, i nie gorszego jak miejsce przemieniać.

—Przecież we dwójgu z Fraunią, przysięgnę, rzekł Longin, żeście się czegoś dorobili...

—A tak! czworga dzieci! odczwał się Baltazar z goryczą, któż to dziś pieniądze robi? traci je wielu, ale dopracować się czegoś sumieniu i nieziwemu człowiekowi?

—Wychodzi to coś na pogadankę Jordana— rozśmiał się Longin— z dodatkiem jeszcze cięż-

szego przeciw losowi zarzutu, że wspięra niepocziwych... *Latrones fortuna juvat!* Héj! héj! dawnom się tego domyślał... ale co u kaduka... czyż my z Jordanem tacy bardzo już ucziwi?

— Szkoda, że Serapion uciekł, dodał Albin, bo by nam był z tego textu kazanie powiedział... Stara to w oczy doli rzucona potwarz! powodzenie, niepowodzenie! Wszystko człowiek sam zasiewa, choć często niedostrzeżoném ziarenkiem, a że siebie obwinić nie chce, na milezący los to zrzuca i już spokojny!

— Jużciż ja tam znowu tak bardzo narzekać nie mogę, przerwał Baltazar poprawiając się, ale prawdą szczérą, kto z nas wszystkich najwięcej się kwalifikował do zrobienia majątku, kto rachował najehłodniej? kto najwytrawniejszy wychodził w drogę? Kto najlepiej znał ludzi? Jużciż ja com dużo wprzód praktykował, nie wymlókosi... tym czasem...

— Ale po cóż się było żenić z tą tabliczką Pythagoresa?— zapytał Longin... w tém sęk... to ziarno niepowodzenia... nie chciałbym poróżnić małżeństwa, ale gdybyś Wpanie doktorze kocha-

ny nie miał rodziny, żony, dzieci??— Mógłbyś wyśmienicie to zrobić, co Jordan zamierzał, a nie wykonał— pojechałbyś sobie do Brezylji lub Monomotapa, wykurowałbyś z żółtej febry pierwszego ministra, dyktatora lub generalissimusa, dostałbyś order srebrnego cielecia, czterekroć sto tysięcy akrów ziemi złoto-dajnej, brunatną lub pomarańczową narzeczoną, i byłbyś dziś naczelnikiem Akademii Medycznej... gdziekolwiek... choćby w Botany-Bay.

— Tak! jeżelibyś sam wprzód z żółtej febry nie umarł...

— Nie! to być niepowinno! Ale mów-no dalej!

— Cóż dalej? nie... Frania utyla, ja posiwiatem, dzieci wołają jeść, ludzic w koło zdrowi jak pnie, cholery nawet nie widać...— westchnął Doktor— to pewna, że syna eskulapem nie zrobię...

— Z Baltazara trudno coś dobyć... a więc ty Teofilu, zostałeś nam ostatni na zakąskę, spodziewamy się— rzekł Albin, że nas swojemi dziejami rozweselisz i pocieszysz...

— Ja! smutnie odezwał się interpellowany, który od niejakiego czasu zamyślony zdawał się zbierać materyały do powieści— ja...! Jeżeli

chcecie bym z dobrym humorem i fantazją, najśmieszniejszą i najsmutniejszą razem opowiedział wam historią— a! nie będę się opierał... tajemnie tak dalece nie mam... Ale pozwólcie mi bym nie od mojej rozpoczął biografii, ale od historii dawnego znajomego naszego Cymbusia! to będzie zabawniejsze od dziejów nieszczęśliwego Teofila waszego...

—A! Cymbuś! Cymbuś! cóż się też z nim stało, krzyknął Albin, czemuś go nie przywiózł z sobą! Jeszcze dziś stoi mi w oczach przytulony do pieca na pokucie, dmuchający w samowarek lub walezący z lawiną śmiecia... Cóż tedy? mów, lepij, że jemu na świecie się powiodło? Trudno, aby ze swą naiwnością i powierzehownemi przymiotami do wielkich dochrapał się rzeczy.

—Ba! ba! posłuchajcież tej historii jako wstępu i przedmowy do mojej własnej... Cymbuś! ten co to imię nosił dziś się zowie nie inaczej jak pan Alexander Mineurzewski, jest dziedzi-

eznym panem stu morgów gruntu, gospodarzy na nim, i tylko ci nie widać jak kupi wioskę!

—A więc *stupidos fortuna juvat!*— rozśmiał się Baltazar...

—Musiał mieć ukryte przymioty, na których myśmy się nie poznali, dodał Albin.

—Już to samo, że lat kilka potrafił stać pod piccem choć stękając, ale wierny obowiązkowi, przerwał Lougin, dowodziło w nim wytrwałości stoicznej, nieugiętości potężnej... musiał tę żelazną wolę z jaką dmuchał w rurę od samowarka na zgłiszcza wygasle, użyć i skierować do robienia majątku...

—Trochę to tak, dodał Teofil, ale i szczęście mu służyło...

—Zawsze to szczęście, zawsze ślepa fortuna jak za rzymskich czasów! rozśmiał się Albin. Ale wróćmy do Cymbusia!

—Powrócił on ze mną do penatów rad przede wszystkim, że się nroczyście wyśpi, i więcej podobno zrazu nie nie pragnął tylko się wyleżeć i spocząć po akademickich szczęśliwościach..., daleko od samowarku i pieca... *procul negotiis*. Drugiego i trzeciego dnia anim go widział w o-

czy, dostał się na strych i tam na wakującym materacu gościnnym wyciągnawszy się jak długi, spał, spał i spał... we śnie znać przyszły mu pomysły zbawienne. Czwartego dnia przybył do mnie do niepoznania zmieniony, zacierwienił się nawet, ogolił, umył i ubrał w suknie wileńskie z pewną pretensją, stanął u drzwi prosząc o posłuchanie; zażądał, abym go od służby nieco zwolnił na jaki rok, dla potrzebnego mu wypoczynku. Że na ten urlop zasłużył bardzo, wspaniałomyślniem mu go raczył dozwolić. Natychmiast pokłoniwszy się znikł mi z oczów pan Alexander vulgo Cymbuś, a po roku dopiero zjawił się znowu, ale wypiękniony, rzeźwiejszy, rumiany, czub do góry, kołnierzyki białe wyżej uszów, a na łańcużku przy żołądku pieczątki zegarek zwiastujące i miua okazała...

— Cóż Cymbusiu, jużś przecie wypoczął?

Uśmiechnął się. *

— At! rzekł, ale ja się już do służby nie zdam.

— A cóż?

— Wziąłem się do handlu i uzbierałem trochę grosza... chcę poprobować szczęścia...

— Probuji! co myślisz?

— Będę się dorabiał... już mam *kole* trzechset rublów i myślę się ożenić?

Począłem się śmiać nieobyczajnie...

— Z kimże? kogo uszczęśliwiasz?

— Niech pan nie żartuje, panna z miasteczka, i co się zowie...

— Z miasteczka! ba! ba! Cymbusiu! pomysli z miasteczka!

— A co to szkodzi? i nie głupia i piękna i kawałek ziemi dobrej ma w posagu.

— A za ciebie idzie?

— Czemuż nie? albo to ja gorszy jak drugi? człowiek stateczny...

— Ależ piękny nie jesteś, bogaty także nie, i jeśli ona więcej ma od ciebie, a iść myśli, pewnie tam jakiś fałsz w towarze...

— E! to głupstwo, proszę pana, machając filozofiezuie rzekł Cymbuś... różnie tam gadają, ale co mnie do tego, bardzo porządna panna, piękna, nie stara, a gruntu szmat i dobry!

Cóż powiecie? Cymbuś z filozofiją praktyczną największą ożenił się z tą panną, która w istocie wniosła mu wspomnienie życia w wesołych

spędzonego towarzystwach, ale razem posag i ochotę usatkwowania się. Oboje jęli się zajadlc gospodarstwa, zbudowali sobie dom, a Cymbuś rozwinął tu takie talenta döröbkowiczowskie, żem się mu zaprawdę zdziwił— zimną krew, ochotę do pracy, wytrwałość żelazną.

Dziś już nie żartem patrzy na obywatela, kupił stary koczobryk i wyrestaurował go, żoua się zaczyna stroić ale domu pilunje, bo ją wprost kijem okłada jeśli czasem nie po myśli co zrobi..., i są... najszczęśliwsi. Dwoje ślicznych dzieci, kapitały, remanenta, oto zdobycze Cymbusia, który gdy przyjedzie do mnie, nieproszony już sam siada, czując że kieszeń, na której się opiera, prawo mu daje do tego. Kapitalista większy odemnie, spekulator trafny i szczęśliwy, z żydami gra o lepszą, wynajął dzierżawą młyny ogromne, obraca pieniądźmi i tak mu się wszystko wiedzie, że nie ledwie byśmy mu mogli zazdrościć! cóż wy na to?

Albin westchnął i uśmiechnął się razem, Baltazar splunął, a Longin wzięwszy się w boki począł ruszać ramionami.

— Otóż to sztuki twoje fortune... rzekł, ja bez butów a Cymbuś Nabobem.

— I w lakierowanych, dodał Teofil... niechże mi tu kto zgadnie co się komu od przyszłości należy?

— Tak jak w Brienne nikt w Napoleonie nie odgadł zwycięzcy Europy, tak w Cymbusiu stojącym skromnie pod piecem, któżby się domyślał władcy młynów i folwarku i męża jakicjs Józefiny!

— Prawda! a cóż powiecie jeszcze na to, że ten Cymbuś utrapiony, co tyle od nas wycierpiał, dzisiaj gdy Wilno przypomni, owe lata ciężkiej próby i zahukanja, uśmiecha się i wzdycha, a nieraz zagadawszy się o nich, zapomni o młynie, gospodarstwie i żonie.

— Rzecz do wiary niepodobna.

— A jednak prawdziwa.

— *Sunt lachrymae rerum*, dodał Teofil śmiejąc się smutnie... i ja samowarek pogięty chowam gdyby relikwią, bo święte, bo złote były te czasy naszej młodości, gdy życie nam wszystkim więcej obiecywało niżeli dać mogło. Ja może

z was wszystkich najdziwniej dotąd sobie z niém poradzić nie mogłem...

—A! otóż: *Incipit historia Theophili.*

—Cicho! i proszę nie przerywajcie, jeśli łaska.

—I ja, rzekł po krótkiej chwili milczenia, nie pochwałę się życiem mojem, ale dziś mam już to pocieszające przekonanie, że nikt podobno nie otrzymał czego żądał, każdy z nas po czémś płacze... Najszczęśliwsi na pozór ci co mają choć chleb...

—I masło do chleba... szepnął Longin.

—Ale niebieskich migdałów, które okwitły w młodości, nikt!... a i te do życia potrzebne.

Znaliście mnie towarzyszem waszym, wiecie jak niepewien tego co z sobą pocznę, rozstawałem się z wami, wioząc folianty wierszów i prozy, stosy nut, teki rysunków pełne i serce niepewnością nadziane. Były dla mnie dnie natechnienia, zdawało mi się żem stworzony poetą, nazajutrz budziłem się muzykiem, szalałem za harmoniją, co tydzień chciałem być koniecznie malarzem i

mówilem sobie że jeszcze nim zostać mogę. Po-
stanawiam więc rzucić resztę, oddać się jednemu
wyłącznie, ale pokusa i żal chwytają za serce
nagle... jak się wyrzec języka pieśni, jak wyrzec
tonów co mówią więcej niż słowa? jak nie wy-
spowiadać rysem ołówka, co czasem za najdłuż-
sze stanie opowiadanie, urzeczywistniając marze-
nie, dając życie myśli mglistej?...

Ta nieszczęsna namiętność do wszystkiego z ko-
lei, zatruwała mi dnie spędzone z wami i całe
popsuła życie, nie miałem odwagi zostać czémś
jednym wyłącznie, zamknąć się w komorze odo-
sobnionej, i jestem jak ów skazany na roztarga-
nie kołmi, którego rwą na wszystkie strony...

Powróciłem na wieś do ojca nihy literatem...
ale zupełnie jeszcze nie pewien co z sobą pocznę,
poczeiwy ojciec zostawił to mojemu upodobaniu
i wyborowi, widać jednak było, że ta niepewność
losu, na którą już i siebie skazałem, bolała go
tajemnie. On także we mnie odkryć nie umiał
ku czemu bym był zdolniejszy, obawiając się bym
rozstrzelony nie skończył na pospolitym człowie-
czku salonowym, co po troszę liznął wszystkiego
a nie sercem nie ukochał i bez celu pozostał.

Przedewszystkiém mogłem sobie zostać swobodnie gospodarzem, szlachcicem, domatorem, ożenić się, nie nic robić i mieć w pewnej perspektywie marszałkowstwo powiatowe... ale ojciec miał dla mnie i za mnie więcej ambicyi, widział we mnie coś więcej nad pospolitego wiejskiego szlachcica, pragnął koniecznie wykierować mnie na fenomena... na fenixa. Tymczasem pierwszy z brzegu nim być nie może, fenixy rodzą się jak wiadomo z popiołów, a w dodatku los im pomaga, forytuje, popycha... los, który mnie jakoś sprzyjać nie chciał, choć Cymbusiowi dopisywał. Długośmy się naradzali z ojcem co począć, aż wresze stanęło na tém, że mam się trzymać literatury... Poezycj miałem mnóstwo gotowych, odczytaliśmy je razem, mnie się one wydawały śliczne, endowne ojen, a przyjacielowi domu, który u nas rezydował, wyższe nad wszystko co dotąd kiedykolwiek w naszym języku napisane było, zwłaszcza gdy przy obiedzie miód stary podano, a po miodzie następowało czytanie.

Uchwaliliśmy tedy jednogłośnie wydanie areydziała i posłałem je do druku... naturalnie *proprio sumptu*, bo na początek inaczej być nie mo-

gło. Poezye moje pokiereszowane i podopełniane kropkami tajemniczemi, w których dla profanów mgła osłaniała największe piękności, jak w owym obrazie zakryta twarz płaczącej matki— z pięciuset sześćdziesięcią omyłkami wyszły w żółtj okładce. Przyjęliśmy je wszyscy z niepokojem, radością, uśmiechem, szalem, gorączką, a ja zaraz od deski do deski odezyciałem·siebie drukowanego... stawiając się na miejscu czytelnika.

Otóż— co powiecie na to?— poezye moje w tēj nowēj szacie wydały mi się gorzej niż wiersze, pospolite, oklepane, blade,— ojciec nawet milczał czytając, jeden rezydent unosił się jeszcze, ale widać było że przez punkt honoru tylko. Chodziło o skutek jaki sprawią na publiczności,— jak na biedę nie uczyniły żadnego, każdy numer gazety porywaliśmy szukając w milczeniu, krytyki, wspomnienia, pochwały; znajdowaliśmy cmentarzowe milczenie.

Trzykroć tylko maczkiem wydrukowane okazały się bibliograficzne nwiadomienia o wyjściu poezyi... i cicho. Posłałem *gratis* egzemplarze wydawcom pism peryodycznych i członkom areopagu...

Cisza... głucha, zabijająca cisza — ktoś się odezwał dwuznacznie, i znowu nie. Trzeba wiedzieć, że to była pora wylewu poezyj, na którą są lata urodzaju i posuchy; wówczas mieliśmy tyle noworoezników, zbiorów, zbiorów, liryków, poematów, że czytelnik na poezyą najłakomszy nie mógł im poddać, a żem ja nieznany wystąpił nagle, bez opieki, nikt nawet czytać mnie nie chciał.

W pół roku dopiero przyszła komuś fantazyja mnie zarzuć, i we trzech numerach gazety, poczynawszy od przyznania mi talentu, dowodził że w poezyach nie ma ani sensu, ani smaku, ani natchnienia, ani stylu, ani imaginacyi, ani myśli. Skończył logicznym bardzo wyrokiem, że powinien pracować, kształcić się i nie ustawać... pisać głupstwa. Trzy numera bił mnie aby w końcu ojcowską pogłaskać prawicą.

Jam to jakoś zjadł dosyć gładko przełknawszy, ale rezydent wpadł we wściekłość, a ojciec mówił o wyzwaniu na pojedynek; chciał bić i kłóć, niszczyć, redaktora pozywać, wojnę wypowiedzieć, krucyatę ogłaszać, i wymógł na mnie żem posłał odpowiedź, która choć ostra i jędrna, jeszcze mu

się za słabą wydała. W sekrecie jednak sam gorąco obstał za mną i wypalił pierwszy w życiu artykuł, a rezydent nagle natchniony, wierszem siedmio i jedenasto zgłoskowym uciał satyrę przeciwko arystarchom wileńskim...

Koniec końcem, tak mnie to zniechęciło, że książki pozamykał, a cały się oddał muzyce. Zawszem ją kochał bardzo, ale nie uczył się jej mało, grałem jak u nas bębnią wszyscy, ledwie się domyślając że co innego uczyć się grać, co innego muzyki... Wziąwszy się do egzekucyi zapragnąłem teoryi i przekonałem się że wypadało zacząć od alfabetu. Zaprzęgåłem się tedy do pracy, i *Catel*, *Förster*, *Fetis* wprędec mi dali pojęcie tego co zostawało do zwyciężenia, myślałem udać się do konserwatorium w Pradze, ojciec nie bronił, ale uznawał mnie już tak wysoce usposobionym, że mu się to zdawało nieużytecznem.

—Ty więcéj umiesz od nich! powtarzał.

A rezydent dodawał:

—Ale to już pewna, że czegoż on nie umie!

Choć grube kadzidło to—biję się w piersi,—przyjemnie łechtalo w nos... Napisałem Fantazya w trzech częściach pod tytułem: *Sous le gibet*,

z ogromną introdukcyą, i posłałem ją znowu *proprio sumptu* sztychować w Lipsku... Była tak fantastyczna, ognista, dziwaczna, śmiało zbudowana, że na niej ogromne pokładał nadzieje... nie podobnego nawet muzyce przyszłości nie słyszeli, zakasowałem Wagner'a.

Ale, cóż powiecie? nawet moim własnym kosztem Breitkopf arecydziła tego nie chciał sztychować, tylko podkreśliwszy mi ze sto omyłek ortografii i składni muzykalnej, odesłał rękopism, na którym zdawało się jeszcze czuć śmiech lipskich muzykusów z naiwnej śmiałości nowieysza... na marginesach czerwonym ołówkiem postawiali łokiełowe wykrzykniki!

Zjadłem to sam, ojen się nie chwając, ale zupełnie straciłem ochotę do muzyki.

Dotąd nie grywałem prawie tylko samych fortepianistów i to nowych, szybko-biegaczów szkoły świeżej, unosząc się nad Wilmersem i Fumagallim, nad Döhlerem i Thalbergiem, wtém zjawił się u nas skromny Czech muzyk, który z wielkiem podziwieniem mojem, powiedział mi popisującemu się przed nim od niechecenia, że to nie jest muzyka...

On piérwszy oznajomił mnie z poważniejszymi dziełami, z prostotą Haydn'a, ze sztuką Bach'a, z wdziękiem Mozart'a, z namiętnością i rozpaczą Beethoven'a, z tęsknotą Schuberta, z Schumannem i Spohrem, z Mendelsohnem Bartholdy, spadkobiercą wielkich dziadów. Nowy świat odkrył się przedemną, ale ogrom jego ucisnął mnie i przybił,—nie było już niewyspiewanej pieśni, nie użytéj formy, nietkniętego motywu, nie nie pozostawało do zrobienia. Jak i z czém stanąć obok tych olbrzymów? Zawstydzony zmiarkowałem dopiero, że moja fantazyja w Lipsku musiała się wydać dziecinną niedorzecznością—i—zamknąłem fortepian.

Otwierałem go czasami żeby przeczytać sonatę starą, przejrzeć ciekawą partyturę, ale bieganina po klawiszach ustala; ojciec mi wyrzucił, że zapominam muzyki, jam mileżał upokorzony. Dawniej improwizowałem całe wieczory, teraz mi palce stężały, umysł odrętwiał, nie śmiałem tknąć fortepianu, zdawało mi się profanacją odezwać się z ubogą myślą nieforemnie przedstawioną, po tylu mistrzach...

Tak koléj przyszła na malarstwo—ołówek wpadł

w rękę znowu, rozpakowałem farby, i począłem malować. Całe dnie pocziwy ojciec siedział za mną i patrzył, dziwiąc się i poprzysięgając, że był geniuszem uniwersalnym—czego zresztą i ja się po troszę domyślałem... Rezydent w zachwyceniu po miodzie gębę otwarłszy, powtarzał:

—Rafael, panie! słowo honoru! Rafael!

Wiele bym tak popsuł był płótna, nie wiem—gdyby niespodziana okoliczność nie przerwała tych zajęć, które na nic się nie zdały, ale mnie robiły szczęśliwym na chwilę—wśród malowania zakochałem się.

W sąsiedztwie naszym zjawiło się cudo! była to panienka, dla której wychowania rodzice spędzali lat dziesięć w Paryżu, Rzymie, Florencyi, Dreźnie, hodując ją na fenomen. W kolebce uznana została a raczéj nianaszczoną na dziecię cudowne i stosownie do tego ją pielęgnowano.

Matka miała ich kilka, próbowała z kolei każdą przerobić na heroinę, ale w téj dopiero znalazła odpowiedni materiał i jęj poświęciła się zupełnie. Miernego majątku ludzie, oboje starannie wychowani, nie wiem czy wprost żądali sławy i rozgłosu, czy ufali w to, że sława talentów nad-

zwyczajnych nadzwyczajnego sprowadzi im zięcia, dosyć że wychowali córkę na inspektach jak delikatny kwiatek, usiłując podnieść uprawą, co Bóg obiecywał w zarodku.

Imię jój było Bogna... już siedmi lat mając, śpiewała i grała w publicznym koncercie na ubogich, w tym wieku już była zachwycającą i zachwyconą istotą, wiedzącą doskonale, że jest fenomenem, kandydatką na bóstwo, starającą się podobać i tupać nóżką, gdy kto śmiał nie zwracać na nią uwagi. Jedno z dwójga, wychowanie przedsięwzięte albo ją miało spotęgować albo unicestwić... szczęściem *wytrzymała* je i nie się jój z tego nic stało; owszem rękami naj-sławniejszych mistrzów wypielęgowana, nanki mając sobie podawane w enkierekach i opłatkach w kąpielach wonnych i zakrapianiach nieznacznych, w kadziłkach i wyziewach, napoiła się niemni ła-two i przyjemnie utnęzyła w téj atmosferze... Sztuki uczono ją galeryami, jeżdżąc z nią od areydzia do areydzia, muzyki lekeyc brała od pierwszych kompozytorów, literatury kursu słuchała w Paryżu, a wszędzie padały przed nią na twarz zdziwione tłumy. Mając lat piętnaście

występowała w konserwatorjum z koncertem jako uczennica Thalberg'a i z kompozycją własną, kanonem na cztery głosy, który w zachwycenie wprawił peruki i okulary; w teatrze amatorskim grano jej operetkę buffa, wydała rozprawę o trzech nieznanach pieniążkach gallo-rzymskich po łacinie, tam później po francuzku i niemiecką powieść filozoficzną pod tytułem *Panmorpion*. A że przy tém był to anioł piękności... możecie sobie wystawić jakie obudzała entuzjazmy! Wożono ją po salonach Europy, i wszędzie począwszy od paui Świeczyn w Paryżu, Hr. Rz.. w Wiedniu, XXat. R... w Berlinie, robiła niewysłowione furore. Było to coś nadzwyczajnego... poeta, muzyk, malarz, erudyta w kilkonastoletniej dziewczęce, której uśmiech kwitł jak róża. Corinna XIX wieku, mówiąca wszystkimi językami i umiejąca wszystko, bo nawet robiła pończochę... co patrzącym łzy rozezulenia wyciskało. Rodzice występowali z tą pończochą bardzo często, a scena zawsze wielkie czyniła wrażenie.

Wypielęgnowawszy to monstrum idealne, gdyż inaczej nazwać jej było niepodobna, naturalnie wozili je obwinięte watą w pndelku i pierwsi byli

kapłanami bożyszcza; łączącego w sobie do innych, niezliczonych przymiotów, powagę potężną, zarozumiałość olbrzymią i upodobanie w kadzidle nieźmierne. Pochwały, z któremi się obyla, zawsze dla niej zdawały się niedostateczne, sama opowiadała z krwią zimną jaką jej cześć oddawano, uważając ją tylko za wypłat cząstkowy długu; ciągle stojąc na piedestale marmurowym, oczom śmiertelników promieniała z niego aureolą chwały.

Gdy się to zjawisko ukazało napowrót w stronach rodziunych, poprzedzone głośnemi w gazetach pochwałami, co żyło zbiegło się na oglądanie jego, śpiesząc paść twarzą przed Bogną. Ale cóż dla niej znaczyły pochwały domowe, po londyńskich i paryzkich, po rzymskich i wiedeńskich wspomnieniach?

Jeżeli domorośłe trzewiki po paryzkich kaleczą nogi, cóż dopiero cześć i uwielbienia naszych Indzi po tamtych? Bogua przywiozła ze swych podróży tę wzgardę domowej zagrody i dymu rodziunego, które znamionują Indzi wykarmionych białą europejską bułką. Nasz chleb żytni ma tę

własność że przywicznje do domu, ich kołacze robią ludzi kosmopolitami. Zmuszona powrócić pod strzechę wiejską, owa pielęgnowana sława, o której tyle mówiono, pisano, rozprawiano, przyjechała z zadatkiem zmudzenia, kwaśna, nie rada, pewna że nieszczęśliwia kraj, racząc mu przyświecać.

Otóż na początek, po moich miłostkach uniwersyteckich, potrzeba mi było pokochać się w takim bóstwie marmurowém!— wystawcie sobie kochani przyjaciele, jakie mnie losy czekały!

Naprzód upokorzenie... Mniej więcćj coś tam i ja umiałem, alem nie nie widział, a ta znała wszystko, cały świat, areydziała mistrzów, areyenda natury; z Lamartinem jadła obiad, Musset dla niej improwizował, żartował z niej Hejne, Gutzkow z niej do jakiejś powieści studował heroinę, z Dickensem podróżowała po Włoszech, Ingres robił jęj portret, Delaroche dawał jęj lekce, Rauch statuetkę dla niej wylepił, Hugo wpisał jęj cztery wiersze w albumie, Pellico dał odę... spiła śmietankę ludzkości, a tu przyjechała do nas na siwe mleko.

Gdym śmiało i nie wątpiąc o sobie wpadł pod

żrenięc Bogny i neznł że wzrok jćj przejął mnie do głębi duszy, anim się domyślał że mam jćj służyć za cel żartów i pocieszną próbkę świata, który nazywała barbarzyńskim. Potrzebowała z kimś rozmawiać, przed kimś się popisywać, bo miłość własna jćj cierpiała świerzb nienstanny, byłem więc powoływany aby ją bawić, słuchać, klaskać i brałem za dobrą monetę szyderskie jćj komplementa... a Bogna—niestety! patrzała na mnie jak na wzorek parafijańszczyzny.

Wprawdzie w niezém jćj dotrzymać plaen nie mogłem: większym obdarzona talentem, staranniej wyéwiczona, pojęcie i pamięć miała bystre, szacowny dar popisywania się śmiałego, a wiarę w siebie niezachwianą. Nie jćj zbić z tropu nie mogło, a w najmniejszój jak w największój rzeczy walcząc przeciw nićj, mógłłem się ja utrzymać? Służyłem tylko przy pokazywaniu tego en-du za ową czarną zasłonę koło obrazu, która koloryt jego podnosi. Miłość ta była od początku do końca upokorzeniem, trwogą, cierpieniem... Istota wyjątkowa kochać nie mogła i nie pojmowała miłości, bo któż jćj był godzien? nie wiem czy na królewicza rzuciłaby okiem... cóż ja mo-

głem znaczyć przy téj jaśnie oświeconej i najjaśniejszej pani? Byłem pokorną tylko zabawką, ałem się nieostróżnie zakochał po uszy i takem się upoił i odurzył, żem w jēj serce i w możność połączenia losu z nią uwierzył. Szczęściem Bóg mnie niechronił od posiadania fenomenu, którybym był mógł pokazywać za biletami, ale bym z nim żyć nie potrafił. Na estradzie, otoczona słuchaczami, wielbicielami, tłumem, Bogna była istotą piękną, natchnioną, wielką aż do śmieszności... w pospolitém życiu dzieckiem kapryśném i zinném. To też potrzebowała występować, a rodzice dla niēj byli wieknistym Barnumem, przyprawującym jēj wystąpienia... pokazywali ją tylko. Kiedy wchodziła na salę, wszystkie oczy ku niēj się zwracały, gdy się odezwała słuchano jēj w milezeniu, gdy rzezyła zdanie objawić, nikt nie śmiał mu się sprzeciwiać, choćby wyrzekła największe absurdum. Z góry wiedziano, że ilekroć otworzy usta wyjdzie z nich coś nadzwyczajnego, i w słowie każdym znajdowano intencye, odcienia, piętna jakieś cudowne.

Zrazu padłem ofiarą bóstwa i zupełnie oszalałem, ale kilkakroć w śmiecch obrócony, jużem

miał nareszcie tyle rozzumu i siły, że m się wycofał postanowiwszy odeierpieć i zerwać stosunki, gdy mnie znów grzechnostkami wciągnięto do tego domu. Byłem im potrzebny czasem jak kompars do téj farsy, jako dający zapytania i odpowiedzi, jako orszak królewój, paź niosący jój ogon, a powinienem się był poezytywać za szcześliwego, że mi dozwolano zbliżenia się do heroiny...

Bogna... gdy nikogo więcej nie było z widzów, występowała przedemną nawet, przed ojcem moim, przed rezydentem naszym,— ja myślę, że może przed swoim zwierciadłem, byle występować... Nie mogła nie grać téj roli fenomen, do której była przywykła... Mnie, przyznam się; jój doskonałość, a raczej wprawa mechaniczna we wszystko co czyniła, odebrała smak do tych zajęć, które ja z większą mocą ducha, ale daleko niezgrabniej spełniałem. Wprawdzie mało tam było oryginalności, ale niezmierny wdzięk formy i efektywność... Malowała jaskrawo, wykończono harmonijnie, wedle znanych sobie formulek; grała i śpiewała świetnie, cieniowano, starając się o wrażenie wszelkimi środkami, nie-

kiedy zakrawającemi na sztuczki, sądziła orzeczech choć nie z wysokiego stanowiska, ale w sposób dosyć dowcipny i bardzo zręczny— wyrok jęj zawsze miał być jęj własny, wyjątkowy i udawał paradoxalność choć jęj w sobie nie miał.

Przy nięj stałem się maluszkiem...

Zresztą nie ukochałem w nięj fenomenu, bo tych monstrów koheć niepodobna, ale piękną młodą istotę, idealną, i jak sądziłem— poëtyczną duszę, której skrzydła miały mnie podnieść ku niebiosom. W tém, gdy się zatapiam w kontemplacyach tego cudu, nadjeżdża młody paniczek goławy, ale z nadziejami fortuny i imieniem, a ja com był wyszedł na nprzywilejowanego słuchacza i publicum, wracam do mojęj roli komparsa; zapominają o mnie w kącie, z którego wyciąga mnie bóstwo, gdy m jęj na podrzędną rolę potrzebuy.

Bogna tymczasem wabi, pociąga, wikła panieza, któremu już sama woń zagranicy zięjąca od nięj, zawróciła głowę. Był to drugi z rzędu zakochany, ja spadłem na zapaśnego i niepotrzebnego. Nadbiegający po nim średnich lat boga-

ty książę, bardzo dowcipny i wiele stérany, który swoje koncepta gotował co rana i po kilka razy w tygodniu wszystkie do jednego powtarzał, wypędził panieza. Bogna miłowala nowość, chciała być kochaną, a jako fenomen nie czuła się obowiązana do wzajemności, szukała stosownej partyi z zimną krwią spekulatora. Książę mocno się zrazu zapalił, ale choć miał dowcip, jak perukę z endzych włosów ciepłą i wygodną, ze zdrowego jednak nie wylysiał rozsądku i zmiarkował prędko, że taka Bogna wzięta za małżonkę, byłaby niczem nie opłaconą męczarnią. Mąż naturalnie musiałby wozieć, pokazywać, karmić tego białego słonia, służyć za kornaka, a w nagrodę znosić jego zakulisowe złe humory—przyszłość nie różowa. Cofnął się Jaśnie Oświecony, ujrzawszy, jak wysoko w niepoścignionych chmurach stało bożyszcze, nie mające nad półtora kroć posagu po najdłuższem życiu rodziców, a potrzebujące rocznie pięćdziesiąt tysięcy na reprezentacye i pielgrzymki. Po oddaleniu księcia wezwano panieza znowu, który powrócił posłuszny na skinienie. Mienialiśmy się tak, a ja zawsze leżałem na dnie, służąc za mania-

ka dla zwabienia drugih, za chwałę, za rozpalacza zapalów cudzych i admiracyi.

Ojciec mój, u którego znowu ja byłem fenomenem, obrażony się uczuł tą moją podrzędną pozycją, gniewał się na mnie, żeś sobie innę nie starał się wyrobić, żeś czas tracił na wzdychaniach.

Ale ja wówczas kochałem się jeszcze, a miłość jest tak nroczyście głupia!

—Ty to mówisz Teofilu! krzyknął ze zgrozą Albin.

—I dla tego, że głupia jest tak wielka i piękna! poprawił się Teofil, daj jej rozum, a będzie to stara, kulawa, piskliwa i płacząca żebraczka... gdy bez niego to dziecię swawolne, uśmiechnięte, rozkoszne, a jak dzieciaki głupie i naiwne.

—Byłbym tam siedział przylepiony nie wiem, jak długo, kończył Teofil, gdyby nie rozmowa Bogny z paniczem, którą najniwinniej podsłuchiłem.

Wszedłem do pokoju, gdy tyłem do drzwi siedziała na kozetce, i tak własnym moim portre-

tem z natury zdjętym, strzeliła mi w samą piersi.

— A! Teofilek, mówiła... ależ to dobry dzieciak! Wiesz pan, i on się we mnie kocha szalenie; biedna ja jestem doprawdy... mogę mieć życie jego na sumieniu, bom je zwiechnęła... Któż wie mogłoby może co być z niego, zapewne mierna istota, słaba, bez energii, ale nie bez pewnego talentu... *Jak na nasz kraj*, i to by coś znaczyć mogło... Muzyk z niego nie wielki, poeta pospolity, bez wzniosłości, rysownik nie ciekawy... ale razem wzięwszy, w salonie bardzo znośny.

— Wię pani, odezwałem się w téj chwili, że portret skróślony po mistrzowsku, dziękuję... i wywożę go ztąd na pamiątkę! Nawet to prawda, że się kochał, ale w téj chwili okazałaś mi pani całą niedorzeczność miłości téj, podobnej do zapalów, które w Anglikach rodziła pewna statua Berniniego... jeśli się nie mylę... pani wiesz to lepiej.— Pozwól pożegnać...

Bogna zarumieniła się mocno.

— Otóż widzisz pan, zawołała nie tracąc przy-

tomności, jak to źle podsłuchiwać, jam to mówiła umyślnie widząc pana w zwierciadle...

—A w żarcie było dużo prawdy, odpowiedziałem przekonany, że mnie widzieć nie mogła, i wyszedłem.

Nie wiele tam o mnie dbali w tym domu, chowając na przypadek, gdyby już panua niebezpiecznie starzeć zaczęła, ale im musiało być przykro, że się odprawił tak dziwnie, sam *proprio motu*. Nie zająrzałem tam więc, Bogna jest dotąd starą panuą, powoli z bóstwa zeszła na boginię, z bogini przechodzi na bożyszcze, i czeka apotheozy, która ją do niebios przesiedli.

Szał mój chwilowy i zbliżenie się do niej, tém dla mnie były korzystne, że się przekonałem, iż to co umiałem było własnością ogółu dobrze wychowanych ludzi europejskich, a nie żadną rzeczą nadzwyczajną i oznaką szczególnego talentu. W królestwie ślepych jam był jednooki, ale w państwie widzących, byłem tylko na pół ślepy. Wybiwszy więc sobie z głowy sławę muzykalną, malarską i literacką, postanowiłem wziąć się do gospodarstwa. Zmieszało ojca

to zrazu, ale się tćm pocieszał, żćm mu obiecywał wszystko do góry nogami przewróćć i zaprowadzić agronomiją monumentalną, całć nową; na początek pojechałem uczyć się reform u Dombasl'a, który naówczas żył jeszcze.

Powiedział nam Albin jak był swą podróżą zniechęcony, na mnie ona całć przeciwnć uczyniła wrażenie. Wyjechawszy za granicę, jak zacząłem wielbić, jakoś mi się na to zebrało—tak z rozwartą głćbą powróciłem nazad do kraju. Wystawcie sobie naszą drogę i kolćj żćlazną, różnica jaka jest między niemi, da miarę porównania kraju i zagranicy. Jak się ma droga nasza do kolei, tak nasz kraj do Europy.

Cały ten świat jest, prawdę powiedziawszy, jednćm miastem w fabrykach i ogrodach— a jaki ład, porządek, co za policya! jaki rozum, cywilizacya i wygody! Co krok musiałem się zdumiewać niewidanym rzeczom, uprawie ziemi, drogom, mostom, domom, ludziom, szachrajstwu i egoizmowi... wszystko na skalę nową i u nas nieznaną. Jak ten ktoś co się dziwował, że we Francyi nawet chłopci mówią po francuzku, tak ja exaltowałem się w obec cywilizacyi,

którą spotykałem wszędzie. Naturalnie potem, nasłuchawszy się lekcji chemii organicznej, wyterminowawszy u Dombasła, nabrawszy w torby podróżne zasad najzdrowszych, powróciłem z nasionami, machinami, dać wielki przykład radykalnej reformy i kamienia nie zostawić na kamieniu. Wyrachowałem sobie, że wioska nasza, która dawała wprzód około trzydziestu tysięcy czystego dochodu, powinna była dać trzy kroć, a przy uprawie roślin farbiarskich, pogłębionej orce, drenażu, fabrykach, jeszcze więcej.

Naprzód więc zrujnowałem z kretesem co było, ale gdy przyszło do budowania na nowo, ani sposobu. Postrzegłem dopiero, że stał jak wyspa wśród oceanu sam jeden, bez związku z krajem, wyjątkowo—nie mogąc sobie w niczem dać rady, bo po złamane kółko od maszyny potrzeba było kilkadziesiąt mil posyłać, ludzi do wszystkiego przywozić z za morza, a w dodatku farbiarskie rośliny, turnepsy i lupiny nie sprzedawały się nigdzie, i grosza za nie nikt nie dawał. Ziemia się nawet napojona odwiecznymi przesadami oparła, wzięliśmy ją od razu ze czterech na osiem cali i nie urodziła

weale, w inném miejscu gnoje popaliły, sąsiedzi przyjeżdżali na granicę śmiać się trzymając za boki, a ja się wściekałem. Niemcy, ogromnie pensjonowani npierali się iść dalej, szliśmy więc dalej, i doszliśmy do tego, żem się zupełnie zrujnował w postępowém gospodarstwie, które jakoś poprowadziłem za nagle i zbyt szparko.

Źle tedy, wstydu dużo, a gorzej jeszcze go-
lizna; ojciec biedny rozchorował się patrząc na to, ja cierpiałem srodze i podwójnie, za siebie i za niego. Nic zachwiało to jego wiary we mnie, do końca bowiem przypisywał niepowodzenie ludziom, klimatowi, Niemcom, niepogodzie, ale nie mnie, tak biedny zmarł na moich rękach i przyszło mi stracić najlepszego na ziemi przyjaciela. Kto wie czy głupstwa moje nie przyspieszyły mu zgonu? myśl tą dziś jeszcze życie mi zatruwa. Został mi rezydent milezący i smutny, żaloba w domu i ruiny; pomiar-kowawszy się ruszyłem, aby to znów do dawnego stanu przywrócić i gospodarstwo radykalnie zmienić w powolniej postępowe i mniej niebezpieczne. Stryj dźwignął mnie nieco pieniędźmi, przyjaciele ojca dodali otuchy, choć za-

dłużony mogłem się trzymać jeszcze, ale na duchu tak upadłem, że zaniknąwszy się między czterema ścianami, założył ręce i opuścił głowę nie nie robiąc. Nie przyznam się wam jak nisko wówczas upadłem. Odsunięcie od ludzi, osamotnienie, znękanie moralne sprawiło, że szukał rozrywki w miłostkach z prostą wiejską dziewczyną. Niestety! miłość to była z mojej strony czysta, pocziwa i młodzieńcza, a ze strony zepsutej już choć młodej istoty, zimna, obrachowana i zwierzęca. Chciałem jej natechnąć myśl, pożyć, duszę, na próżno — w ślicznych jej oczach pusto było jak w głowie, jak w piersi. Okowany w te kajdany nalogu, upokorzony, gdy tysiąc razy odtrącała mnie dzikością swoją i naiwnym zepsuciem — opuszczałem ją i wracałem znów — męczyłem się straszliwie. Nareszcie otworzono mi oczy, dowiedziono, że nie była godną przywiązania i musiałem namiętność zwyciężyć... ale świat obrzydl mi zupełnie i do życia straciłem wszelką ochotę. Nie wiedząc co z sobą zrobić, postanowiłem wstąpić do wojska.

— Ty! między synami Bellony! zawołał Longin.

— Ale poczekaj-że i wysłuchaj, rzekł Tcofil,

była to tylko chęć i zachcenie jak inne we mnie— nie trwałe. Zrazu odmalowałem sobie to życie bohatersko jakoś, rycersko, poetycznie, ale nim mundur wdziałem jużem postrzegł, że będę kółkiem w ogromnej machinie nie nie znaczącem, numerem w szeregu liczb ogromnym;— podałem się więc za chorego i powróciłem na wieś. A co gorzej wróciłem do owój dziewczyny, wmówiwszy sobie, że ją przedemną niewinnie oczerniono...

Rzuciłem się tak na różne strony, czując się nad przepaścią, a zbudzić z odrętwienia i opanować paralitycznych tych ruchów nie mogąc.

Codzienną inną karmiłem się myślą, inne robiłem projekta; nazajutrz po dniu wczorajszym robota moja zdawała mi się bladą, próżną i dziecianną. Napadały na mnie spleeny, w których gwałtownie zachciewało mi się w łeb sobie wypalić, ale próbując pistoletów namyśliłem się, że życie naboju prochu nie_warte. To były kryzys!— dodał Teofil.

—A po niej zabrało się na ożenienie? spytał Albin.

— Jakże chcesz, żebym się ożenić mógł, zrąjnowany, zardzawiały, i osławiony ze złego prowadzenia się, bo cały już świat wiedział, żem jakąś dziewczynę ze wsi miał we dworze. W domach, w których bywałem koso patrzano na mnie, przyjmowano zimno, a miano za półgłówka i nie bez powodu. Starzy już osądzili, że ze mnie nic nie będzie, młodzi mieli za niepoprawionego excentryka, nikt nie chciał przyjacielskiej wyciągnąć dłoni.

Nagle chodząc po pokoju wieczorem i nudząc się śmiertelnie, zacząłem myśleć co by robić, żeby czas zabić.

— Uczyć się wschodnich języków i jechać na wschód! szepnęło coś we mnie.

Zadzwoiłem o światło, wydobyłem grammatykę hebrajską Żukowskiego i arabską Volneja— i zasiadłem do roboty...

Lekarstwo zostało wynalezione: nauka— praca.

Nazajutrz już mi się wprowadzie odechciwało tych liter pokręconych dziwacznie i niepotrzebnych mozołów, ale sobie dał słowo honoru, że wytrwam i codzień godzin kilka przesiady-

walem nad dziełami jakie miałem, pókim lepszych nie sprowadził. Cel ten nadany życiu nagle odrodził mnie, ożywił, odmłodził; wytępnawszy chwilę powracałem do roboty z zapalem. W chwilach wolnych zrobiłem sobie zabawkę z myślistwa, zająłem się ogrodem, dziewczę wydałem za męża, i począłem we wszystkiem przychodzić do ładu i porządku; dzięki językom wschodnim, a raczej nałogowi pracy i wytrwania, w który się wprzegłem powoli.

Podróż na Wschód pozostała na oddalonym planie, bom się jakoś do domu przywiązał, ale nauka pocieszycielka nie opuściła mnie, a to czém dawniej miałem się wsławiać, dziś przyszło mnie pocieszać. Powróciłem znów do muzyki studjując dzieła mistrzów, do olówek dla rozrywki po pracy mozolnej, do książek, do kwiatów, a trochę nawet do gospodarstwa.

Wierciecie mi, że jedyną w życiu rozkoszą, która po sobie nie zostawia mętów żadnych, ani zgryzot, ani nawet znużenia, to kształcenie się powolne, uprawa sztuk, nauka... Dopóki człowiek zajmując się niemi ma na celu popis i sławę, jest w tém żywioł gorączkowy, jest truci-

zna,— gdy zacznie pracować dla pracy, dla nakarmienia wewnętrznego, błogo mu z tém i dobrze. Tegom ja doświadczył zmieniawszy tryb życia, rozrządziwszy tak godzinami swojemi, aby tylko zmieniać zajęcie, a nigdy gnuśnie nie spoczywać.

Takich lat parę ciszy, szczęścia prawie, przeżyłem w jednostajnym spokoju... we śnie jakimś rozkosznym... człowiek więcej od ziemi wymagać nie ma prawa. Ale napisano było, aby nie dla mnie nie trwało; zrodziła się chęć wrócenia do pióra, zwłaszcza, że o tomiku poezji ktoś później wspomniał życzliwie, i dwa epigramy znalazłem z nich wzięte do jakiejś powieści. Znowu więc napisałem coś sobie... powieść, fantazją, gawędę, co chcecie... i wydrukowałem... najniepotrzebniej. Dość jest rzucić w paszczę tę włos jeden z głowy, by cię całego w nią pociągnął... Pochwała wkłada kajdany, nagana rozjāttra i budzi, obojętność niepokoi i drażni,— nie chce łączyć zmileć, nie może odpocząć, a trochę wziętości pobudza do porywania się na zuchwałe zdobycze... Stałem się tak niewolnikiem pióra i zaprzędaniem papieru, oglądając się

co mówiono o mnie, podsłuchując i posądzając, nie śpiąc spokojnie dla tego, że ktoś o sto mil nie zasmakował w mojem gryzmoleniu. Pojmijcież człowieka! jemu zawsze potrzeba czémś się gryźć, czegoś się spodziewać, iść do czegoś koniecznie...

Teofil westchnął i zatrzymał się chwilę.

— Miałżeby to być koniec? zapytał Albin— nie!

— A! nie, to dopiero początek dziejów ostatecznych... odparł spowiadający się smutnie. Wyratowany językami wschodniemi od rozpaczyny i upadku, przez literaturę znowu połączyłem się ze światem. Trochę sławy zdobytej gorzko i niestety— nie przyznanej mi jednogłośnie— uczyniło mnie dla ludzi osobiwością— anim się postrzegł jak zostałem wielkim człowiekiem powiatowym. Ludzie powoli, ostróżnie zaczęli się zbliżać do mnie, zaglądać, sondować, a przekonawszy się, że nie kąsam i nie kaleczę, powoli pozbyli się dawnych przeciwko mnie uprzedzeń... Byłem człowiekiem drukowanym i ciekawym.

Zuown się tedy jakoś na nogi podniosłszy, bo i majątek dzięki staremu ekonomowi znacznie

się podźwignął kilku dobrymi laty, zacząłem puszcząć się w towarzystwo i nie tak już kwaśno mnie przyjmowano, a płeć piękna ciekawie spoglądała na dziwaka — literata.

Raz powracając z jarmarku w Kobylówce późną nocą, spotkałem się na drodze z młodym szlachcicem Julianem Maczyńskim, z którym razem tego dnia kupowaliśmy woły. Dészcz lał jak z wiadra, a do domu miałem tęgie jeszcze dwie mile. Młody człowiek ledwie mi znajomy z nazwiska, bom go spotkał parę razy w sąsiedztwie, na rozstajni obraca się do mnie i powiada.

— Sędziu dobrodzieju, widzisz o staję mój dworek, ulewa straszna i dziś się nie wypogodzi... zajedź do mnie, przenocujesz, rad będę...

— Aleś nie ubrany.

— Ja, stara matka moja i siostra, rzekł, oto cały nasz domek; ale kobiety się nie pokażą, żeby nie zrobić panu subjekeyi, jedź pan, ogrzejesz się, proszę z serca.

— Jadę! rzekłem, i dziękuję podobnież!

— Oto! otoż i żona, zawołał Longin, spadnie z tém deszczem...

— Z dészezu pod rynwę! dodał Baltazar.

Smutnie jakoś na te uwagi uśmiechnął się Teofil i mówił dalej.

— W kwadrans zajcehaliśmy przed dworek małeńki, stary, ale bardzo czysto utrzymany. Z śieni weszliśmy do bawialnego pokoju na lewo, w którym sprzęt był bardzo prosty, ale coś miłego i wdzięcznego w całym urządzeniu zdradzało rękę kobiety.

Na kominie już weześnie przygotowany dla nas palił się ogień, śliczny wyżeł grzejący się przy nim wpadł z radością na pana, gdyśmy weszli. Nie było więcćj nikogo, bo gościa zobaczywszy znać cofnęły się kobiety, a Maczyński przeprosiwszy mnie pobiegł do matki i siostry.

Zgoła prawie nie znałem uprzejmego gospodarza, wiedziałem tylko, że miał cząstkę, pięć czy sześć chatek, żył ubogo i uczeiwie i nie złe odebrał wychowanie; ojciec bardzo majątny niegdyś stracił fortunę na zbytki. W domku jednak, a przynajmniej w piérwszój jego izbie nie było znać nawet szczątków dawnego dostatku—

stoły białe, podłoga takż, parę sof, kilka krzesłek prostych, całą ozdobą jego były prześliczne i dość rzadkie kwiaty w wielkiem oknie umyślne dla nich urządzone, kwitnące kamelije, rododendrony, azalije, pelargonije, gloxynije i achimenesy. To mnie zdziwiło, jako amator rzuciłem się ku nim, gdy gospodarz wrócił i widząc moje zdumienie, rzekł:

—A! to oranżeryjka mojej siostry, jam to postarał się o tę dla niej zabawkę i dostałem tę trochę kwiecica; w ubogiem życiu i to wielki zbytek, ale zdaje mi się, przebaczony.

—Zwłaszcza kiedy go się nie sobie pozwala, ale drugim daje—odpowiedziałem...

—Tak! to mnie tłómaczy, godziło się memu ukochanemu dziecięciu zrobić tę małą przyjemność, choćby kosztem jakiejś ofiary...

Podano zaraz herbatę czyściuchno, skromnie, ale nie bez pewnej elegancji wieśniaczkiej, ko biéciej, prostej a miłej; potem wieczercę, która była niewykwićtna ale wyborna. Rozgadawszy się weszliśmy do pokoiku pana Maczyńskiego, gdzie ze zdumieniem ujrzałem półki książek pełne do koła. Dotąd jeszcze mówiąc unikał przed-

miotów, któreby go z téj strony mogły mi dać poznać, nie popisywał się weale z czytaniem, rozmowa nasza była pospolita, gospodarska, wieśniacza; rzut oka na książki odkrył mi w nim nowego człowieka...

Było tam wiele niemieckiego, co zdradzało ucznia jakiegoś obcego uniwersytetu, dużo ksiąg łacińskich, a najwięcej religijnę i mistycznę treści. Na stole przy łóżku stał ukrzyżowany Chrystus i trupia głowa z rożnięcem...

Piérwszy to raz w życiu trafiałem na dwudziesto-kilkoletniego człowieka z tak wybitną dążnością religijną, zdumiewając się nad tém co mi się zdało przymiotem właściwym starem, bośmy w Uniwersytecie, przyznajcie, nie bardzo byli pobożni.

Jakiś szacunek mimowolnie powziąłem dla niego; ujął mnie swą prostotą, szczerością i serdecznością cichą, wiejskimi obyczajami przy ukształconym wielce umyśle; nie mogłem nawet ukryć, bliżej się z nim zapoznając, jak wielkie wzbudzał we mnie podziwienie.

—Dziwisz się pan, rzekł mi, znać to z ka-

żdego jego słowa; myślałeś że pod tą ubogą strzechą znajdziesz prostego jak wieśniaczy domek człowieka... i — przebac — tak ono jest, pozory cię uwodzą; jam nie waszego świata człowiek, nie crudyt, ani mędrek, ale Sługa Boży cichy, pustelnik dobrowolny.

— Więc bliżej jesteśmy sobie niż się panu zdaje... rzekłem, ja także pustelnikiem nazwać się mogę, żyję sam z książką i myślą...

— Ja z Bogiem tylko...

Nie nie odpowiedziałem, alem się zadumał głęboko; rozmawialiśmy potem długo, tak, że część nocy przeszła na gawędce, która mi przypomniła nasze bezsenne na Łotoczku. Julian nie nawracając mnie wcale, gdy postrzegł że był mąleń wiary, rozmowę na inny przedmiot skierował. Jam znowu skręcił ją na ten przedmiot i chciwie połykałem każdy wyraz tego człowieka, którego pokoju duszy zazdrościłem. Nazajutrz rano deszcz lał znowu, musiałem parę godzin przeba-
wić jeszcze, a do śniadania wyszły matka i siostra Juliana.

Były to postacie dla mnie całkiem nowe: ma-

trona poważna, siwa, w sukni zakonnej, podpasana paskiem Śgo Franciszka, w tereyarskim ubiorze, i dziewczę cudnej piękności, w ciemnej sukience z krzyżykiem na piersiach. Istoty to były tak święte i opromienione jakimś blaskiem enoty, że m poczuł od nich świętość i stanąłem przed niemi upokorzony. Dziewcze szczególnie, Emilija, była ideałem nie ziemskim; twarz jej przypominała madonny Rafaela i Perugina, spokój, błogosławienie, wesele anielskie rozpromieniały ją dziwnym blaskiem.

Obie powitały mnie życzliwie, bez uprzedzających grzecznośtek świata ceremonijalnego, bez niezgrabnego zakłopotania, prosto jakoś, miłe, jak gdyby dawno znajome, rozmowa poczęła się o rzeczach obojętnych. Konie moje zaszły narcisze i w chwili, gdy mi się najbardziej zostać chciało, musiałem odjechać. Ale obraz tego dworku; młodego człowieka, dziewczęcia i poważnej matrony tak mi się w pamięć i serce wraziły, że m wkrótce znowu pod pozorem kwiatów, które im obiecałem, pojechał odwiedzić Juliana.

Tak między nami zawiązała się przyjaźń trwała, której węzłem było nawrócenie moje; rozmo-

wy, przykład, książki, których sam zażądałem od Juliana, skierowały mój umysł ku wierze, dla której dotąd byłem obojętny; czułem jej potrzebę, upadłem na kolana i po gorącej modlitwie uczułem ducha, który na mnie zstąpił i ożywił obumarłego.

Wdzięczność przywiązała mnie do tych ludzi, których lepiej codziennie poznając, oceniałem więcej. Z łona tej zacnej matki, która tak umiała znosić ubóstwo, doświadczywszy lepszych i świetniejszych losów, na rodzinę spłynęła osładzająca skromny żywot wiara; jej oni wienni byli wszystko, ona wychowała ich tak, zbrojąc i przygotowując do życia rozbudzonem silnie uczuciem religijnem. Syn pracował z weselem skromnego chrześcijańskiego w winnicy robotnika, córka jak towarzyszka i pomocnica. Dom ich, mimo tej barwy klasztoru, jaką nosił, wesoły był i miły, oddychało się w nim swobodnie, czystem powietrzem i najrozkoszniejsze wspomnienia winieniem chwilom, które tu spędziłem. Julian był poważny i nad wiek swój starszy, ale na pół żył w świecie, pół w niebiosach, do których jak najczęściej się chronił; Emilija sposobiła się także

wstąpić do zakonu, nie nważając tego za ofiarę ale mając sobie za szczęście zbliżenie się w ci-
szy do Boga i poświęcenie nsludze bliźnich.

—No! powiedz-że nam i przyznaj się jakieś się zakochał, boć do tego idzie! przerwał Albin.

—Na cóż się wam przyda to wyznanie, kiedy miłość moja nie sięgnęła jój na ziemię— rzekł Teofil.—Tak jest... widzieć ją i nie pokochać by-
ło niepodobieństwem; alem nie śmiał powiedzieć jój o tém i pokoji świętej duszy zamącić; wyzna-
łem to przed matką, która spokojnie, bez zadzi-
wienia i wahania odpowiedziała mi:

—Dziękuję pann żeś Emilkę ocenił, ale byłoż-
by to dla niej szczęściem w porównaniu z tém
co ją czeka? Cisza klasztoru! Bóg! modlitwa!
praca! bez tych niepokojów, któremi miota życie,
na które bój wystawia! Miłość twoja mogłaby
ostygnać gdy ona najwięcej by jój potrzebowała,
a Chrystus oblubienice do śmierci dźwigać ją i
wspierać nie przestanie. Ani nędza, ani praca,
ani umartwienia jój nie straszne przy pomocy
z nieba...

Tak mi usta zamknęli, a Emilija wkrótce po-

tém wstąpiła do Siostr miłosierdzia i we dwa lata potém u łoża chorego chwyciwszy zgnilęj gorączki, umarła jak święta z modlitwą na czystych nstach...

Jam wyniósł z tego domu przyjaźń Juliana i nowy zwrót ducha, za który do dziś dnia jestem mu obowiązany; nie zostałem jak on ascetą, ale mogę westchnąć do Boga, pomodlić się i wierzę!! a wiara dała mi nowe życie.

Umilkł i wszyscy milezeli szanując głębokie przekonanie z jakim ostatnie wyrzekł słowa.

— Mów dalej, dodał po chwili Albin, boję się żeby i to u ciebie przechodzącym tylko nie było fenomenem.

— Nie— to jedno zostało we mnie; mam chwile wybuchów, łez i modlitwy gorętszej, ale nigdy mnie nie opuszcza wiara... Najlepszym moim przyjacielem jest Julian, żyjemy z nim jak bracia. on to skłonił mnie do ożenienia.

— A więc się ożeniłeś nareście! zawołał Albin, bravo!

— Jakim sposobem? spytał Longin.

— Wytlómaczył mi naprzód, że ideałów nie ma

na błotnistym świecie naszym, że anioły (jak jego siostra) są bardzo rzadkie i do niebios uciekają, a pocziwych i miłych istot bardzo wiele, byleby pliszki w gnieździe, jastrzębia nie szukać.

— Pewnik z historyi naturalnój! rzekł Baltazar.

— On tedy zawiózł między pliszki w perkalo-
wych sukienkach— dodał Longin.

— Nic, przypadek!

— Dészcz, burza czy spotkanie w drodze?

Nie zgadniecie jaki!

— Cóż?

— Koń!

— A no! to ciekawe.

— Miałem potrzebę kupić konia, wskazano mi sławną stajnię w sąsiedztwie byłego pułkownika Narostowskiego; pojechaliśmy razem z Julianem. W ganku spotkały nas trzy rodzone siostrzyczki, podobne do siebie, jednakowo ubrane, blondynki, uśmiechnięte, które mi Manię i Ziunię przypomniały. Zrobiła się znajomość. Nieźmiernie wesoło gwarząc i pustując zabawiliśmy tam cały wieczór, koniam kupił, a zaproszony po staropolsku zabawiłem nazajutrz jeszcze. Najstarsza

z córek pułkownika chwyciła mnie za serce tym wdziękiem czysto naszym, dziewczętom polskim właściwym, — wesela, szczeroty, dobroci. Powróciłem do tego domu raz, drugi i trzeci, naręście ośmieliwszy się, zawiozłem z sobą stryja aby mnie oświadczył.

Zrazu pułkownik czmychał, wziął mnie na konfessatę ostrą, nie było już co kłamać: wypowiadałem mu się z życia i błędów otwarcie i szczerze, choć doskonale je wprzód znał z plotek... przekonał się z zeznań że ani kłamać ani uniewinniać się nie chciałem, zrobił parę uwag, dał czas do namysłu, a w końcu pobłogosławił.

— Spodziewam się żeś się nie rozwiódł! rzekł Longin.

— Ja! jestem najzapaleńszym z mężów!

— Jak dawno żonaty, jeśli spytać wolno?

— Pięć lat!

— No! dość długo, próba dostateczna... i dziś cóż porabiasz?

— Gospodarzę, czytam, pracuję, uczę się i dzieci kołyszę.

— I nie przychodzą ci chętki do rozwodu, do

zakochania, do awantur? zostania księdzem lub wypalenia w łeb?

Teofil się uśmiechnął.

— Postarzałem, rzekł, a to doskonałe lekarstwo na fantazyę bujną, wiek obiecał jej skrzydła.

— Nie latając pęłzać można...

— A! zamknąłem ją na klucz i nie puszczam z domu; wolno jej chodzić po pokojach, po ogródku, wylatywać w pole, bujać po półkach bibliotecznych, szeroko rozpościerać się w przeszłości, ale za granicę tego świata— war.!

Westchnął Albін wysłuchawszy cierpliwie końca téj historyi, westchnął Teofil, co ją opowiadał i wszyscy zamilkli.

— Otóż i koniec, dodał po chwili Teofil— moich dziejów i dziejów nas wszystkich... każdy z nas złożył wyznanie i nadzieje ostatnie; wątpię żebyśmy tu za drugie lat dwadzieścia przyjść mogli z czémś nowém jeszcze. Wielu z nas żyć nie będzie, dla wielu epoka czynu i ruchu minęła, przyszedł wieczór odpoczynku... Róż z nas z drze-

wa, eo miało rodzić owoce złote, zdjął choć jedno jabłko? Kto się szczęściem marzoném pochwali? Ile nronionych nadziei! ile postradanych złudzeń! ile rozbitków po burzy na brzeg wyrzuconych kalekami!— Otóż życie!

—Uragowisko! uragowisko! podchwycił Longin— tym którym ono samo, którzy sobie najwięcej obiecywali, nic— a Cymbusiowi dostatek, a Cyryllowi miliony... a Longin bez butów!

—Jużes to najmniej dziesięć razy powtórzył! kwaśno przerwał Baltazar, włoż choć cudze, a więcej już tego nie gadaj! I ty, i ja, i każdy z nas, jeśli pokutuje to za głupstwo własne, pozwólcie powiedzieć.

—Dajeież pokój narzekaniom! wtrącił Albin, nie przystoi nam, jak zowiecie rozbitkom, kończyć wesoly wieczór żałami gorzkiemi, elegijami i wyrzutami losom.— Co n licha! życie ma swą dobrą stronę!

—Tak dla tych eo jak ty wspaniale wiecezrze płacić i jeść mogą! rzekł Longin... ale dla nas...

—Żle pojmujemy życie, kończył filozof gastronom— my je sobie zrazu wystawiamy jakąś wielką całością jednolitą, potężnym obrazem z zu-

pełną harmoniją kolorytu, tymczasem wszystko w niém chwilą, ułamkiem i całe zszyte ze skrawków. Łapać potrzeba chwile (*carpe diem*); przedłużać dnie jasne, i połowem godzin żywić się w czas posępny, jak Eskimośowie łowami letnimi podczas ciemności zimowych...

Błogo temu kto umie skorzystać z każdej chwili i schować ją niedojedzoną do torebki podróżnej.

—Wszyscy sposobnieli! rzekł po chwili oglądając się na towarzyszków.— Na Boga, cóżby to zrobić żeby twarze wasze rozjaśnić? każę muzyce zagrać nam jeszcze starodawne *Gaudeamus*.

—I niech dadzą... począł Longin nie śmiejąc dokończyć.

—Co? wazę pończu! nieprawdaż? zawołał gospodarz, zgoda?

—A ja go sam spreparuję! porwał się wścieknie spragniony Łazarz.

—Nie! to do mnie należy, njął się Albin, ręczę że będziecie zadowoleni...

Klasnął w ręce i słudzy jakby myśl jego zgadując wnieśli natychmiast kosz cytryn i pomarańcz, kilka butelek wina i araku, stos cukru i potrzebne ku temu naczynia.

Wszyscy jęli pomagać, radzić, dodawać, ale wśród tego trzpiotowstwa sarkazmy i smutne uwagi jak émy ezarne przelatywały... Skosztowano ponczu w miłczeniu... wychylili po szklance, i on nawet nie ożywił, nie rozweselił ludzi złamanych walką i odartych z nadziei... Gdy zapalono napój, pogaszono świece, i w niebieskiem świetle płonącego rumu okazały się zmęczone twarze starych towarzyszków, ulękli się sami siebie... wyglądali na trupów z trumien wyjętych...

—Nie! rzekł Albin, ciemność nie miła! światło złowrogie jakieś, nicch wniosą świece... jak konający Goethe, wołam *Licht! mehr Licht!*

Stało się światło ale nie stało wesele... smutek rozścielał się całunem po twarzach, każdemu coś na piersi ciążyło.

A że duszno było w pokoju, otwarto okna i księżyc w pełni zajrzał ciekawie przez drżące akacyi gałęzie... woń letniego powietrza, przejętego wyziewami roślin, zalała pokój, trzęwiąc pijanych i chłodząc ezola rozpalone...

—Ej, panowie, rzekł Teofil, który pełną pierś przyszedł jęj zaczerpnąć spragniony— eo będziemy siedzieć w tęg dziurze? skończmy po mło-

demu i chodźmy z procesją starym się pokłonić pamiątkom, uczcić wspomnienia i relikwije...

—Myśl nie zła, tylko nie wiem czy nogi jój posłuchają, odezwał się Longin, który swoim jaksos nie nfał.

—Myśl przedoskonała! podchwycili inni, kto nie dotrzyma tego potrzymamy! Pod ręce się weźmy a siłniejsi będziemy— chodźmy, Panowie! chodźmy!

I wszyscy podnieśli się z ochotą chwytając swoje i nie swoje czapki, aby odbyć tę nocną pielgrzymkę, której celu nikt jaśniej nie określał, ale noc była ciepła i pogodna, księżyc świecił wspaniale, a im tak duszno było po zeznaniach i wspomnieniach!

Prócz dwóch więc, którzy wcześniej opuścili towarzystwo, wszyscy ruszyli się na przechadzkę, a jeden tylko Longin, skutkiem powtórzonych libacyj, cokolwiek chwiał się na nogach...

Większa część dawnych uczniów Uniwersytetu od lat dwudziestu nie była w mieście, które te-

raz o nocnej godzinie wydało im się puste jak ementarz i smutne jak grobowiec. Żywěj duszy nie spotykali na ulicach; niespracowane nawet szejne-katerynki już były zamilkły; wiatr, nowy gość z pól przyległych, korzystał z opuszczenia i wdzierał się żywo szumiąc po zaułkach; dzwony kościołów nie odzywały się, ludność pozamykana nsypiała, w małych tylko szynezkach jeszcze gdzie niegdzie błyskało światelko i gwar lub śpiew ochrypły słyszeć się dawał z za drzwi przymkniętych...

Dla tych co pamiętali Wilno rojące się młodzieżą wesolą, widok murów czarnych starėj Akademij Batorowskiej, nlic pustych, okien bez światel, pozapiéranych sklepów i pozamykanych kawiarni, których szyldami wiatr się zabawiał tłukąc je o ściany... dziwnie był przejmujący. Nocami nawet nigdy tak cicho, tak smutnie dawniej nie było. Lipcowa noc ciepła od tego wrażenia przejmowała chłodem.

Mimowolnie wyszedłszy ze Ś. Michalskiego zaułka i zakręciwszy się chwilę na placu przed Ś. Janem, którego eisząc śmierć tylko wody jednostajny przerywał, zawrócili się i posunęli po

nad Wiliją ku Antokolowi. I tu droga szeroka była pusta... a światło księżycowe pozór ruiny zamarłej dawało uśpionemu grodowi.

Każdy coś przypominał, westchnął, łzę miał na oku dawnego wesela, które się tak dobrze pamiętało, zaufania w przyszłości, odwagi, w nicojem sercu nie było... Zaczynali rozmowę i nikt jej nie przedłużał, pół słowa, westchnienia z ust śpiących się dobywały.

—Heż to razy śpiwając Fra-Diavolo i Niemę szło się tą drogą, rzekł Teofil, do Tivoli, na Antokol, lub, tak, nigdzie... w świat tylko, zaczerpnąć piersią powietrza, oczyma światła... Jakżeby to był człowiek szalał taką nocą jak dzisiejszą..., jasną, cichą, majestatyczną! Dziś świat ten samy, my inni, i wszystkie uroki znikły...

—Bo młodość jedua tylko, rzekł Albin— jedna młodość i miłość jedua, jeden Allah i prorok jego; później w tysiąc form przechodzi życie, jest w nim wszystkiego po troszę, ale nie ma téj iskry, którą pierwszą boleść zgasila.

Zégary zdaleka powoli ochryply, wybiły pół-

noc, a dźwięk ich rozchodził się po rosą zlanéj okolicy, jakoś żałośnie i smutno.

—Chodźmy i usiadźmy nad Wiliją rzek naszych królową, rzekł Teofil, po co iść dalej... tu tak dobrze nam będzie śpiewać nasze *super flumina Babilonis*. Darmo szukać wspomnień pogubionych jak paciórki różańca, nieć co je łączyła zerwana.

—O lirycy i poeci! zaśmiał się Longin sztydersko— idący choć niezbyt pewnym krokiem za kupką pielgrzymów. Noc taka sama i wesołość też sama dla tych co się wprzód nie bałamucili ideałami. Co tu odmienionego? daj mi tylko *o czém*, a będę śpiewał i tańcował...

—I ja! dodał Baltazar, rozsądnie mówi!

—Prawda, rzekł Albin, ale to *o czém*, każdy inaczej rozumie; każdemu braknie czegoś, Longinowi butów, a innym wiary i nadziei... i wszyscy boso.

—Przyznajcie kochani koledzy— zawołał nie słuchając rozprawy pierwszy, że mamy minę ludzi co się od Bonifratrów wyrwali! Iść się przechadzać po nocy, żeby oblewać łzami wspomnienia głupiej młodości, kiedy można było wypić

drugą wazę ponczu siedząc spokojnie na kanapie.

—Poncz daje tylko ból głowy! rzucił Teofil.

—A ból głowy jest derywacją i odprowadza jak wezykatorya ból od serca, to i dobrze! rzekł Lougin.

—A że febry dostać możemy, to też pewna! zawołał Baltazar— rosa, woda... chłód nocny... jabym wam chętnie życzył dobrej nocy.

—Nie! nie! dotrzymajmy! krzyknął Teofil— potrzeba dosiedzieć tak do wschodu słońca i przy młodym jego blasku spójrzym raz jeszcze na blade twarze, żegnając się do zobaczenia na Jozafatowej dolinie.

—Żeby zaś nie próżnować, przerwał Albin— i kataru ani febry nie dostać, kazałem tu przynieść tego co generał Romarzewski nazywał limonijadką... Mamy tu kosz Szampańskiego leciuchny klikocik, ludzie go noszą za nami... Siądźmy na trawie i raz jeszcze zdrowie młodości! lub dobranoc królowej!

Na dany znak wyskoczyły korki, ale z butelek połał się smutek tylko... wszystkie piersi tak go były pełne, że przeszedł do szumiących kie-

lichów. Młodość, na której dnie jest wesele, do-
bywa je winem z siebie, później co kto ma
w głębi na wierzch wychodzi... najczęściej na-
rzekać i smutek.

—Nie podobna widzę niezem tych szczęśliw-
ców rozdobruhać, rzekł Longin— podobno ja
z was wszystkich jeszcze jestem najweselszy! po-
cieszna rzecz! a gdybyśmy co zaśpiewali?

Wszyscy się uczuli ochrypli.

—O życie! zawolał Longin— oto sprawy two-
je! z tylu półgłówków, porobiłoś czaruo odzia-
nych grabarzów, jeden Cynibuś i ja co jeszcze
weseli jesteśmy!

Gdy to mówił wszystkich oczy zwróciły się
w jedną stronę, cień jakiś mignął przed niemi...
Postać dziwna ukazała się nad brzegiem rzeki
wlokąca powoli, za nią sunął się olbrzymi pas
ciemności; księżyc dozwalał w niej rozpoznać
chudego i wysokiego mężczyznę, który szedł z gło-
wą spuszczoną i rękami w kieszeniach, widocznie
bez celu, bo kręcił się, zatrzymywał, stawał i
błądził po wybrzeżu. Kilka razy zatrzymał się
nad rzeką, i długo w jej połyskujące fale pogła-

dał. Wszysey uciszywszy się zwrócili nań oczy, coś niezwyčajnego było w krętym chodzie i ruchach tego człowieka, w zaprzątuieniu głębokiém, które mu nie dawało dotąd dostrzedz nie daleko od niego siedzących, ani usłyszć dość głośnieć ich rozmowy.

—To coś bardzo podejrzanego!— rzekł Baltazar— uzbrajając się na wszelki wypadek w swoją laskę.

—Może waryat— zawołał Longin.

— Albo jak my... trochę pijany!— dodał Konrad.

—Lub złodziej! najprędzėj!— powtórzył Dr. Baltazar.

—Cicho! cicho! panowie, rzekł Albin, on widocznie czegoś szuka.

—Cicho!

Wszysey przyczaili się w milczeniu, postawivszy na ziemi kieliszki, oczy wlepiając w nieznanomego; który odechodził od nich i zdala migał jak cień fantastyczny... Długo tak przesunwał się po brzegu Wilii jakby szukając dogodnego miejsca do spuszczenia się ku rzecce, nareszcie dosyć ostróżnie zszedł rękami się podpici-

rając nad samą wodę i tu znowu przypatrywać się zdawał jęć biegowi z uwagą.

— On się może chce utopić! wstając żywo zawołał Longin.

W chwili kiedy tych wyrazów domawiał, cień mignął i plusk się dał słyszeć na fali... Teofil zerwał się pierwszy i jak stał natychmiast zbiegł i rzucił się w rzekę za samobójcą... Całe grono zbiegło się nad urwisko z ciekawością i niepokojem gotując dać pomoc Teofilowi, Konrad zrzucał odzienie... Topielec nie spodziewał się pewnie tak szybkiego ratunku, i ledwie zanurzył się w głębi, został schwycony i pociągnięty do brzegu, gdzie mnóstwo rąk czekało na Teofila, i podniosły się ku niemu.

Wyciągniono ich na brzeg obn; topielec mიაł się i wyrywał, kołem obstapili go wszyscy, a Longin, który pierwszy pochylił się nad nim zakrzyknął z podziwieniem.

— Tego nam tylko brakło, to Jordan! traf osobliwszy!

Na głos ten i imię swe wymówione po nad głową, topielec dźwignął się, obląkanym wzrokiem wodząc do koła.

—Co to jest? zawołał— kto wy jesteście?

—Jordanie... godziłoż się to!

—Ale któż mówi do mnie?

—No! ja Longin, stary kolega, a oto Ichmość Konrad, Teofil, Albin... znajomi, przyjaciele, towarzysze, z których jeden za kołnierz wyciągnął cię po ośliżnieniu.

—A! to oni! cóż się stało? gdzie jestem?

—Po kiego licha zachciało ci się kąpać o pół nocku..?

Jordan milczał.

—To przypadek a nie rozpacz... osunęła ci się noga...

Hruszka uśmiechnął się gorzko.

—Życie, rzekł powoli spluwając w wodę— przeje się nareszcie,— nie było już z nim co robić! Chciałem jeszcze zobaczyć was i poskarżyć się na nie przed wami, ale przybyłem na Łoteczek zapóźno, a od nikogo o was dowiedzieć się nie mogłem. Błądziłem więc po mieście ze szczęś godzin zbijając bruki i zagryzając wspomnieniami... Nudne i głupie życie! reszty wcale nie jestem ciekawy! nie mam ochoty dopijać

do dna... Poszedłem tak nad Wiliją, bez myśli
błądząc, i chętka przyszła szalona zobaczyć co
się dzieje na dnie. Skoczyć, skończyć... Dłu-
gom się wahał, chodził, walczyłem, w końcu,
uległem pokusie, ale po cóż mnie było wyciągać?

— Żebyś żył i pogodził się z życiem po chrze-
ścijańsku, rzekł Teofil.

— Kieliszek winaby mi nie zaszkodził, prze-
rwał Baltazar, to lepiej rozgrzewa od mo-
rałów...

Albin pobiegł i podał nalaną szklenicę szam-
pana temu, który przed chwilą walczył ze śmier-
cią; ale Jordan spojrzawszy odrzucił napój ze
wstrętem.

— Nie!— rzekł— nie, od kropli bym oszalał—
i tak jestem pijany rozpaczą...

— Ale godziż się jej poddawać?

— Życia mojego nie znacie...

— Owszem Longin nam twoją opowiedział
historycę, aleśmy cię sądzili przybitym, uciśnio-
nym, ubogim, nie rozpaczającym; trwającym
w pracy, aby dojść do końca jak Bóg przy-
kazał...

—Tak! i w końcu wytrwałości się przebrało.

—Czemużeś nie zwrócił się ku Bogu!— rzekł Teofil.

—Bom nie miał nikogo coby mnie nauczył się modlić, odparł Hruszka— bo w nie nie wierzę... Cóż jest po za życiem? nicość! Iskierka co płonie we mnie zagaśnie, ciało się rozsypie, pamięć zginie... i odpoczynek wiekuisty!

Gdy tak bluznił, a wszyscy otaczający go milczeli zasępieni, pierwszy blask zorzy porannej ukazał się na niebie, powoli rozjaśniać się zaczęło na wschodzie, księżyc pobladł, obłoki się zarumieniły, lekkie chmury złociste przebiegły jak posły oznajmujące słońce, i pierwszy promyk dnia oblał ziemię życiem i ciepłem.

—Do miasta! wracajmy do miasta!— rzekł Albin.

—Jak z pogrzebem... dodał cicho Baltazar.

—I ty Jordanie z nami.

Topielec nie odpowiedział, podniósł się z ziemi, wstrząsł i powoli pociągnął za gromadką, która w cichości opuściła brzeg Wilii, nie wiedząc po co i dokąd idzie.

Twarz jego po dniu była straszliwą, oczy zagasłe, wargi blade, czoło pomarszczone, policzki zsiniałe, ani śladu na niej młodości; zgarbiony dźwigał na grzbiecie brzemię lat przeżytych w boju i niepokoju.

Ze zdobyczą swą, szli tak powoli uliczkami ku miastu, które się rozbudzać zaczynało, kierując do mieszkania Albina, lecz gdy przeszli Ś. Michalski zaułek, posłyszeli dzwonek sygnujący na mszę u Bernardynów i Teofil szepnął prowadzącemu Albinowi:

— Do Kościoła!

Nikt prócz Baltazara, który się wilgości kościelnej obawiał, nie sprzeciwił się téj myśli zakończenia dnia spędzonego tak dziwnie, na modlitwie u ołtarza. Longin milczał, Jordan zdawał się niepojmować co się z nim działo, obmokła ta i straszna postać wlokła się przerażając wyrazem swój twarzy, która nie z wody, ale z drugiego świata wyciągnioną się zdawała.

Zamiast do domu zajezdnego skierowali się mileżąc na cmentarz Bernardyński, mimo kościółka Ś. Anny, do drzwi, które już stały otworem.

Przy drzwiach na stołeczku jedna tylko siedziała żebraczka stara ze wzrokiem oślepiałym i zapadłemi usty, miała w ręku różaniec, ale się nie modliła.

—To Wawrzyńcowa! rzekł przypatrując się jój Teofil.

Na to imie staruszka podniosła głowę zdziwiona, powiodła oczyma blademi, i ruszyła ramionami...

Wszysey wiodąc Jordana, który się nie opierał, wsunęli się do Kościoła. W świątyni była cisza poranna, pusto, smutno, ale spokojnie; blask nowego dnia przedzierając się przez szyby wązkich okien oświecał gdzieniegdzie grobowce poobijane Radziwiłła i Wiesiołowskiego, czepiał się po ołtarzach, migotał w złoceniach i lusterkach. Właśnie w chwili, gdy wchodzili wewnątrz, dzwonek od zakrystii uderzył trzykrotnie i ksiądz wyszedł przed W. Ołtarz ze Mszą Świętą.

Gdy twarzą ku nim schodząc na stopnie się odwrócił, poznali w nim Serapiona,— oblicze jego jasne, spokojne, wypogodzone uśmiechem,

rozlewało pokój dookoła. Oko padło mimowolnie na orszak towarzyszków młodości, w którego środku stał topielec zbolący,— na chwilę wstrzymał się przed rozpoczęciem ofiary, ale wprędce opamiętawszy, stanął odprawiać ją z gorącością i łzami.

Każdy się łatwo domysli, że ją odprawiał za tych, których życie przybiło, zmęczyło, obłąkało... potrzebujących modlitwy i pomocy z niebios, głos jego był tak przejęty i rzewny, że chwilkami do najzamkniętszych serek się dociskał... A gdy przy Kanonie przyszło wspomnienie żywych:

*Memento, Domine, famulorum famularumque
tuarum....*

Wymienił imiona wszystkich stojących u ołtarza...

Gdy potem podniósł hostyą i kielich wiekuistej ofiary; Jordan co dotąd stał niemy i kamienisty, z łkaniem i płaczem rzucił się nagle na kolana, i Longin pochylił głowę w milezeniu... dreszcz święty przeszedł wszystkich przytomnych, bo modlitwa przebiła niebiosy i nawróciła dusze zbłąkane...

A słowa— pokój z wami! istotnie rozlały do-
kój na tych, którzy się go już nigdy zażywać
nie spodziewali.

Nazajutrz rankiem znowu rozpierzchła się gro-
madka, ale z nadzieją trwalszą, niż młode na-
dzieje, z nadzieją jaką daje wiara głęboka,
która nigdy nie zawodzi i nie opuszcza; z krzy-
żem na sereu i zaufaniem w serea ludzi. Wspar-
ci siłami wspólnemi, dźwigniem, pokrzepieni,
łzawemi oczyma pożegnali się tęskno do widze-
nia na Józefata dolinie...

A Serapion rozstając się z przyjaciółmi, ka-
żdemu z nich zostawił na pamiątkę ręką swoją
przepisane rady, które Ś. Paweł dawał na bój
życia Efezom...

»A przetoż weźcie zupełną zbroję Bożą: aby-
ście mogli sprzeciwić się w dzień zły, i we
wszystkiem doskonali stać... Stójcież tedy prze-
pasawszy biodra wasze prawdą, a oblókłszy pan-
cerze sprawiedliwości, i obuwszy nogi w goto-

wość Ewangelij pokoju, we wszystkiém biorąc
tarczę wiary, którąbyście mogli wszystkie strza-
ły ogniste złośliwego zgasić. I przyłbicę zba-
wienia weźmijcie... i miecz ducha... które jest
Słowo Boże.«

(S. Paweł, List do Efezów. R. VI.)

1856 — 1857.

Żytomierz. -

KONIEC TOMU TRZECIEGO I OSTATNIEGO.



Twarz jego po dniu była straszliwą, oczy zagasłe, wargi blade, czoło pomarszczone, policzki zsiniałe, ani śladu na niej młodości; zgarbiony dźwigał na grzbiecie brzemień lat przeżytych w boju i niepokoju.

Ze zdobyczą swą, szli tak powoli uliczkami ku miastu, które się rozbudzać zaczynało, kierując do mieszkania Albina, lecz gdy przeszli Ś. Michalski zaułek, posłyszeli dzwonek sygnujący na mszę u Bernardynów i Teofil szepnął prowadzącemu Albinowi:

— Do Kościoła!

Nikt prócz Baltazara, który się wilgoci kościelnej obawiał, nie sprzeciwił się téj myśli zakończenia dnia spędzonego tak dziwnie, na modlitwie u ołtarza. Longin milczał, Jordan zdawał się niepojmować co się z nim działo, obmokła ta i straszna postać wlokła się przerażając wyrazem swój twarzy, która nie z wody, ale z drugiego świata wyciągnioną się zdawała.

Zamiast do domu zajezdnego skierowali się mileżąc na cmentarz Bernardyński, mimo kościoła Ś. Anny, do drzwi, które już stały otworem.

Przy drzwiach na stołeczku jedna tylko siedziała żebraczka stara ze wzrokiem osłupiałym i zapadłemi usty, miała w ręku różaniec, ale się nie modliła.

—To Wawrzyńcowa! rzekł przypatrując się jój Teofil.

Na to imie staruszka podniosła głowę zdziwiona, powiodła oczyma blademi, i ruszyła ramionami...

Wszyscy wiodąc Jordana, który się nie opierał, wsunęli się do Kościoła. W świątyni była cisza poranna, pusto, smutno, ale spokojnie; blask nowego dnia przedzierając się przez szyby wązkich okien oświecał gdzieniegdzie grobowce poobijane Radziwiłła i Wiesiołowskiego, czepiał się po ołtarzach, migotał w złoceniach i lusterkach. Właśnie w chwili, gdy wchodzili wewnątrz, dzwonek od zakrystii uderzył trzykrotnie i ksiądz wyszedł przed W. Ołtarz ze Mszą Świętą.

Gdy twarzą ku nim schodząc na stopnie się odwrócił, poznali w nim Serapiona,— oblicze jego jasne, spokojne, wypogodzone uśmiechem,

rozlewało pokój dokoła. Oko padło mimowolnie na orszak towarzyszków młodości, w którego środku stał topielec zbolący,— na chwilę wstrzymał się przed rozpoczęciem ofiary, ale wprędce opamiętawszy, stanął odprawiać ją z gorącością i łzami.

Każdy się łatwo domyśli, że ją odprawiał za tych, których życie przybiło, zmęczyło, obłąkało... potrzebujących modlitwy i pomocy z niebios, głos jego był tak przejęty i rzewny, że chwilami do najzamkniętszych sere się dociskał... A gdy przy Kanonie przyszło wspomnienie żywych:

*Memento, Domine, famulorum famularumque
tuarum....*

Wymienił imiona wszystkich stojących u ołtarza...

Gdy potem podniósł hostyą i kielich wiekuistej ofiary; Jordan co dotąd stał niemy i kamienny, z łkaniem i płaczem rzucił się nagle na kolana, i Longin pochylił głowę w milezeniu... dreszcz święty przeszedł wszystkich przytomnych, bo modlitwa przebiła niebiosa i nawróciła dusze zbłąkane...

A słowa— pokój z wami! istotnie rozlały do-
kój na tych, którzy się go już nigdy zażywać
nie spodziewali.

Nazajutrz rankiem znowu rozpierzchnęła się gro-
madka, ale z nadzieją trwalszą, niż młode na-
dzieje, z nadzieją jaką daje wiara głęboka,
która nigdy nie zawodzi i nie opuszcza; z krzy-
żem na sercu i zaufaniem w serca ludzi. Wspar-
ci siłami wspólnymi, dźwigniem, pokrzepieni,
łzawemi oczyma pożegnali się tęskno do widze-
nia na Józefata dolinie...

A Scrapion rozstając się z przyjaciółmi, ka-
żdemu z nich zostawił na pamiątkę ręką swoją
przepisane rady, które Ś. Paweł dawał na bóg
życia Efezom...

»A przetoż weźcie zupełną zbroję Bożą: aby-
ście mogli sprzeciwić się w dzień zły, i we
wszystkiem doskonali stać... Stójcież tedy prze-
pasawszy biodra wasze prawdą, a oblókszy pan-
cerze sprawiedliwości, i obuwszy nogi w goto-

wość Ewangelij pokoju, we wszystkiem biorąc
tarczę wiary, którąbyście mogli wszystkie strza-
ły ogniste złośliwego zgasić. I przyłbicę zba-
wienia weźmijcie... i miecz ducha... które jest
Słowo Boże.»

(S. Paweł, List do Efezów. R. VI.)

1856 — 1857.

Żytomierz.

KONIEC TOMU TRZECIEGO I OSTATNIEGO.





Biblioteka Raczyńskich

JK 1195



JK1195

Niektóre Dzieła Duchowne,

wydane nakładem Księgarni pod firmą

Józefa Zawadzkiego, w Wilnie.

- Historja Święta** dla użytku młodzieży, przez X. S. Kozłowskiego. Historja Starego i Nowego Testamentu. W 2-ch Częściach. 12.
- Głos Duszy.** Zbiór Nabożeństwa, Katolickiego, mieszczący w sobie kilka sposobów słuchania Mszy S., Nabożeństwo na wielki Tydzień, Nabożeństwo do Trójcy Przenajświętszej, do Najświętszej Maryi Panny, do Świętych Aniołów Bożych, Nowennę o śmierć szczerliwą, Modlitwy na głównejsze uroczystości roczne, oraz Pieśni Kościelne. 16. 1857.
- Ołtarzyk Złoty,** czyli krótkie zebranie różnego nabożeństwa, z przydaniem niektórych modlitw i pieśni w Kościele Rzymsko-Katolickim używanych. Wydanie nowe przez jednego gorliwego Kapłana przejrane, poprawione i pomnożone. Z rycinami na stali. 16. 1858.
- Pieśni nabożne** (Kantyczka) w Kościele Katolickim używane.
- Wykład Obrzędów** i Religijnych Zwyczajów Rzymsko-Katolickiego Kościoła, ze względu na ich duchowne znaczenie; zebrane i ułożone przez X. Jana Łukiewicza Pijara. Wydanie drugie. 12.
- Ogień miłości Jezusa Chrystusa** czyli dowody gorącej ku nam miłości Zbawiciela w dziele odkupienia ludzkiego, podług Xiedza Pinart. Przerobione z francuskiego. Wydanie nowe poprawne. 16.
- Skarb Duszy pobożnej** czyli zbiór różnego Nabożeństwa, z różnych przez Kościół potwierdzonych Autorów z przydaniem Kalendarza na nowo przedrukowany. 16.
- Zbiór Modlitw Odpustowych** z dodaniem dziewięćdziesięciu jedna Litanij, ułożony przez X. Wincentego Wnukowskiego, Prałata Katedry Żytm., M. S. Telegii. Wydanie nowe, poprawne i znacznie pomnożone. 18.
- Ewangelje i Epistoły** na Niedziele, Wielki Post i wszystkie Święta całego roku, które w Kościele Rzymsko-Katolickim wedle porządku czytają. Wydanie nowe poprawne. 12.
- Officjum** albo Codzienné Nabożeństwo ku większej czci i chwale Bożej w Trójcy Świętej Jedynej, i niepokalanie poczętej Najświętszej Maryi Matki Bożej, tudzież wielu Świętych Patronów, zebrane i dla pożytku Chrzęścijan przedrukowane 1857. W różnych oprawkach.
- Akt Konsekracyi** Kościoła Niemieczyńskiego dokonany przez JW. Biskupa Wilńskiego W. Żylińskiego w dzień Narodzenia N. Maryi Panny 8 Września 1855. z dołączonym opisem i wyjaśnieniem całego obrzędu Ułożył. X. A. L. in 12. Wilno 1856.
- Mowy Pogrzebowe** po ś. p. Ks. Ignacym Hołowińskim Metropolicie w Kościele Rzymsko-Katolickich Kościołów w Cesarstwie Rosyjskim. 12. 1856.

